

ISSN 0585-556X

STUDIA SOCJOLOGICZNO- -POLITYCZNE

2(02)/2014

PÓŁROCZNIK

SERIA NOWA

DYSKUSJA:

„Kondycja współczesnego państwa narodowego:
kryzys – zmierzch – rozkwit?”

Zygmunt Bauman, Jerzy Wiatr, Witold Morawski

Jarosław Kiliński, Andrzej Antoszewski

Jerzy Bartkowski, Krzysztof Gorlach

Aleksandra Jasińska-Kania, Jacek Raciborski

Renata Siemieńska-Żochowska,

Krystyna Skarżyńska, Andrzej Waśkiewicz

Włodzimierz Wesołowski

Błażej Popławski Nacjonalizm iworyjski

Łukasz Pawłowski Demokracja deliberatywna
i jej słabości

STUDIA SOCJOLOGICZNO-POLITYCZNE

Seria Nowa

2(02)/2014



Wydawca

Instytut Socjologii

Uniwersytet Warszawski

Partner wydawniczy

Wydawnictwa

Uniwersytetu Warszawskiego

**STUDIA
SOCJOLOGICZNO-
-POLITYCZNE**

SERIA NOWA

RADA REDAKCYJNA

- Prof. dr hab. **Zygmunt Bauman** – przewodniczący Rady (Leeds University)
Prof. dr hab. **Jerzy J. Wiatr** – z-ca przewodniczącego Rady (Wyższa Szkoła
Prawa i Administracji; prof. em. UW)
Prof. dr hab. **Andrzej Antoszewski** (Uniwersytet Wrocławski)
Prof. dr hab. **Mirosław Chałubiński** (Uniwersytet Zielonogórski)
Prof. dr hab. **Krzysztof Gorlach** (Uniwersytet Jagielloński)
Prof. UW dr hab. **Mirosława Grabowska** (Instytut Socjologii UW)
Prof. dr hab. **Aleksandra Jasińska-Kania** (prof. em. Instytutu Socjologii UW)
Prof. UW dr hab. **Wiesława Kozek** (Instytut Socjologii UW)
Prof. dr hab. **Roman Kuźniar** (Instytut Stosunków Międzynarodowych UW)
Prof. dr hab. **Grzegorz Lissowski** (Instytut Socjologii UW)
Prof. UW dr hab. **Sławomir Łodziński** (Instytut Socjologii UW)
Prof. dr hab. **Witold Morawski** (Akademia L. Koźmińskiego; prof. em. UW)
Prof. dr **Adam Przeworski** (New York University, USA)
Prof. dr hab. **Jacek Raciborski** (Instytut Socjologii UW)
Prof. dr hab. **Renata Siemińska-Żochowska** (Instytut Socjologii UW; APS)
Prof. dr hab. **Krystyna Skarżyńska** (Instytut Psychologii PAN)
Prof. dr hab. **Włodzimierz Wesołowski** (Instytut Filozofii i Socjologii PAN;
Collegium Civitas)
Prof. dr **Ray Taras** (Tulane University, USA)

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

- Prof. dr hab. **Jacek Raciborski** – Redaktor Naczelny
Mgr **Michał Bielecki** – Sekretarz Redakcji
Prof. UW dr hab. **Jerzy Bartkowski**, dr **Maciej Gdula**, dr hab. **Jacek Haman**,
prof. UW dr hab. **Jarosław Kiliński**, dr hab. **Lech Nijakowski**,
dr **Wojciech Rafałowski**, dr **Przemysław Sadura**, dr **Tadeusz Szawiel**

STUDIA SOCJOLOGICZNO- -POLITYCZNE

rok 2014
numer 2(02)

SERIA NOWA

Wydawca
Instytut Socjologii
Uniwersytet Warszawski

Partner wydawniczy
Wydawnictwa
Uniwersytetu Warszawskiego

Projekt okładki Wojciech Markiewicz
Redaktor prowadzący Dorota Dziedzic
Redaktor Sylwia Breczko
Tłumaczenie i opracowanie streszczeń Izabela Ślusarek
Łamanie Beata Stełęgowska

© Copyright by Uniwersytet Warszawski, Instytut Socjologii, Warszawa 2014
© Copyright by Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2014

Wersją pierwotną (referencyjną) czasopisma jest wersja papierowa

Wydawca

Instytut Socjologii UW, ul. Karowa 18, 00-927 Warszawa
www.is.uw.edu.pl

Partner wydawniczy

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego
ul. Nowy Świat 4, 00-497 Warszawa
wuw@uw.edu.pl

Dział Handlowy

tel. (48) 22 55 31 333
dz.handlowy@uw.edu.pl

Księgarnia internetowa

www.wuw.pl/ksiegarnia

ISSN 0585-556X

Ark. wyd. 7, ark. druk. 7,50
Nakład 230 egz.
Druk i oprawa

SPIS TREŚCI

■ Contents	6
------------------	---

DYSKUSJA REDAKCYJNA

■ Kondycja współczesnego państwa narodowego: kryzys – zmierzch – rozkwit?	7
--	---

ARTYKUŁY

■ Błażej Popławski Nacjonalizm iworyjski	37
■ Łukasz Pawłowski Demokracja deliberatywna i jej słabości	59

ESEJ RECENZYJNY

■ Katarzyna Jasikowska, Krzysztof Gorlach Państwo odchodzi? Państwo powraca? Państwo się zmienia. Esej recenzyjny na temat książki Stephena Paula Haigha <i>Future States. From International to Global Political Order</i> (Farnham: Ashgate, 2013)	87
--	----

RECENZJE

■ Jacek Raciborski Kontrowersje teoretyczne wokół zjawiska apatii politycznej Polaków. Recenzja książki Lecha Szczegóły <i>Bierność obywateli. Apatia polityczna w teorii demokratycznej partycypacji</i> (Warszawa: Dom Wydawniczy Elipsa, 2013)	103
■ Informacje dla Autorów	113

CONTENTS

EDITORIAL DISCUSSION

- **Condition of Contemporary Nation State: Crisis – Twilight – Bloom?** 7

ARTICLES

- Błażej Popławski
Ivorian Nationalism 37
- Łukasz Pawłowski
Deliberative Democracy and Its Weaknesses 59

REVIEW ESSAY

- Katarzyna Jasikowska, Krzysztof Gorlach
Withdrawal of the State? Return of the State? Change of the State. Review Essay on the Book by Stephen Paul Haigh *Future States. From International to Global Political Order* (Farnham: Ashgate, 2013) 87

REVIEWS

- Jacek Raciborski
Theoretical Controversies over Phenomenon of Political Apathy of the Polish People. Review of the Book by Lech Szczęgół *Bierność obywateli. Apatia polityczna w teorii demokratycznej partycypacji* (Warszawa: Dom Wydawniczy Elipsa, 2013) 103
- **For the Authors** 113

D Y S K U S J A R E D A K C Y J N A

KONDYCJA WSPÓŁCZESNEGO PAŃSTWA NARODOWEGO: KRYZYS – ZMIERZCH – ROZKWIT?

Jacek Raciborski

■ Słowo wstępne

Dlaczego problem kondycji państwa narodowego zaproponowałem jako temat pierwszej dyskusji redakcyjnej? Otóż państwo wydaje mi się najbardziej skomplikowanym i niezrozumiałym tworem społecznym, a refleksja nad nim zaniedbana i niesystematyczna. Niezależnie od gwałtowności zmian technologicznych, kulturowych i politycznych we współczesnym świecie państwo nadal wydaje się najważniejszą ramą społeczeństwa. Społeczeństwa są społeczeństwami państwowymi.

Ten pogląd o centralnej roli państwa zaczął być kwestionowany już w dwóch ostatnich dekadach minionego wieku. Nastąpiło odczarowanie państwa. Ale mam wrażenie, że skutek jest odwrotny: gdy dostrzeżliśmy jego skomplikowanie, policentryczność, „bezgraniczność”, to stało się ono bytem tak tajemniczym, że przestało nawet być przedmiotem empirycznych badań społecznych. Jeszcze tylko makroekonomiści starają się określić granice państwa poprzez badanie przepływów budżetowych.

Wreszcie państwo jest fundamentem jednej z najsilniejszych zbiorowych tożsamości: tożsamości narodowo-państwowej, bo tak – jak mi się wydaje – należy traktować szczególny splot poczucia przynależności do narodu i państwa, jaki dość powszechnie zaistniał w Europie.

Każda z wypowiedzianych uwag o państwie jest kontrowersyjna. I dlatego właśnie warto problem uczynić przedmiotem debaty.

Proponuję następującą formułę dyskusji. O głos wprowadzający poprosił prof. Zygmunta Baumana – mam nadzieję, że będzie to jednak głos stronniczy, w tym sensie, że podtrzyma on liczne swoje tezy o wielowymia-

rowym kryzysie państwa i państwa narodowego w szczególności. Później na zasadzie pierwszych głosów zaprosiłem do dyskusji: prof. Jerzego Wiatra, klasyka zagadnienia i autora bardzo ważnej książki *Naród i państwo. Socjologiczne problemy kwestii narodowej* (Warszawa: Książka i Wiedza, 1969), prof. Witolda Morawskiego, który podjął tę problematykę między innymi w niedawno opublikowanych *Konfiguracjach globalnych* (Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2010), oraz prof. UW Jarosława Kiliasa, mego współpracownika w Zakładzie Socjologii Polityki, autora dwóch książek ważnych dla naszego problemu: *Wspólnota abstrakcyjna. Zarys socjologii narodu* (Warszawa: Wydawnictwo IFIS PAN, 2004) i *Narodowość jako problem naukowy* (Warszawa: Scholar, 2000).

Po tej części poproszę o komentarze, uwagi, pytania pozostałych uczestników naszego spotkania. Prof. Bauman i autorzy głosów pierwszych odniosą się do nich w podsumowaniu dyskusji.

Zygmunt Bauman

■ Polityka, dobre społeczeństwo i „suwerenność westfalska”

Yongjune Park – twórca i redaktor naczelny „Indigo”, jednego z najambitniejszych, najżywszych i najbardziej obrazoburczych czasopism zaangażowanych w krytyczną analizę rzeczywistości, a zwłaszcza w sprawę odzyskania utraconej kontroli nad kondycją ludzką – skłonił mnie parę miesięcy temu do podsumowania mych poglądów na najważniejsze przyczyny, które doprowadziły do utraty tejsze kontroli.

Jak można się było spodziewać, jego pierwsze pytanie dotyczyło modelu „dobrego społeczeństwa”, do którego doprowadziłaby nas taka kontrola, gdyby udało się ją odzyskać. Odpowiedziałem na to, że o ile na świecie panuje chyba dość szeroki, jeśli nie powszechny, konsensus co do tego, że alternatywne i – miejmy nadzieję – lepsze społeczeństwo *jest* do pomyślenia i że społeczeństwu dzisiejszemu wiele do ideału brakuje, o tyle nie ma mowy o zgodzie powszechnej, gdy dochodzi do opisania owego ideału: co mianowicie skłonni bylibyśmy nazwać „dobrym społeczeństwem”. Łatwiej nam dogadać się co do tego, *od czego* chcielibyśmy, a wręcz czujemy nakaz uciekać; *dokąd* jednak mielibyśmy zmierzać, to już całkiem inna sprawa.

Sądzę, że debata wokół kształtu „dobrego społeczeństwa” straciła wiele ze swego dawnego ferworu i tempa przede wszystkim z racji *kryzysu sprawczości*: wielka wątpliwość, która spowodowała zniknięcie modelu „dobrego społeczeństwa” z debaty publicznej, z tego się bierze, że nie widać dziś na

scenie politycznej podmiotu sprawczego, po którym można byłoby się spodziewać zdolności i woli wcielenia go w życie. Wątpliwość ta z kolei płynie z coraz bardziej ewidentnego rozwoju mocy (owego *Macht* w terminologii Maxa Webera, czyli zdolności realizacji celów) i polityki (to znaczy zdolności decydowania o tym, które cele należy zrealizować). Dziś te dwie zdolności, połączone przez kilka wieków w instytucjach państwa-narodu, ułożyły się w rezultacie procesów globalizacji w dwu różnych przestrzeniach: moc w „przestrzeni przepływów”, polityka zaś w „przestrzeni miejsc” (korzystając z terminologii Manuela Castellsa).

Spora część mocy „wyparowała” z państwa-narodu w ponadnarodową przestrzeń globalną, podczas gdy polityka, jak dawniej, pozostaje lokalna i zamyka się w granicach suwerenności terytorialnej państwa. Stajemy więc dziś w obliczu, z jednej strony, mocy uwolnionej od politycznego nadzoru i sterowania, a z drugiej, po staremu uwiązanej do terytorium i nim ograniczonej polityki, skazanej na permanentny niedobór mocy. Mamy dość powodów po temu, aby podejrzewać moce zglobalizowane o to, że nie życzą sobie one reformy obecnego stanu rzeczy ani nie są nią zainteresowane. Co się zaś tyczy polityki, nie byłaby ona zdolna podjąć się takiej reformy, nie mówiąc już o doprowadzeniu jej do końca – nawet gdyby taki pomysł przypadł jej do gustu.

Żaden z odziedziczonych czy też ocalałych podmiotów politycznych, zaprojektowanych i zainstalowanych pod kątem potrzeb społeczeństwa zintegrowanego na szczeblu państwa-narodu, nie nadaje się do tej roli; żaden nie jest wystarczająco potężny, aby podolać skali i wadze zadania. W tak wielu krajach, nawet tych najmożniejszych, częstuje się na co dzień obywateli bynajmniej niebudującym widowiskiem rządów zabiegających o zgodę „rynków” na to, co zamierzają uczynić – a już w szczególności na to, czego uczynienia obywatele by się po nich spodziewali lub od nich żądali. To właśnie „rynki” uzurpują dziś sobie (nie bez przyzwolenia, a często i jawnego czy ukrytego poparcia i wsparcia ze strony bezsilnych i bezradnych rządów państwowych) prawo do pierwszego i ostatniego słowa w sporach o granice oddzielające to, co realistyczne, od nierealistycznego. „Rynki” zaś to skrótowa nazwa dla zbiorowiska anonimowych, bezosobowych mocy bez domowego adresu: mocy, których nikt nie wybierał ani nikt nie zdoła przywołać do porządku i powstrzymać od wyrządzenia szkód; sił, którym nikt się nie kwapi ani nie jest w stanie zakreślić limitów i których poczynań nikt nie potrafi poddać kontroli.

Narastające i mocno już ugruntowane przekonanie potoczne, a w coraz większym stopniu także i opinia ekspertów głoszą, że wybieralne parlamenty oraz rządy, którymi owe parlamenty zobowiązane są kierować i które powinny nadzorować, są niezdolne do wypełniania swych zadań. Równie niezdolne

do tego są partie polityczne notorycznie wycofujące się ze swych poetyckich obietnic wyborczych w momencie, w którym ich przywódcy zasiadają w ministerialnych biurach i stają w obliczu prozy przemożnych i nieposkromionych sił rynkowych i giełdowych, pozostających daleko poza zasięgiem uprawnień i mocy „suwerennych” rzekomo państw-narodów. Stąd głęboki i nieustannie pogłębiający się kryzys zaufania do „władz”. Epoka ufności w zdolność instytucji państwowych do skutecznego działania ustępuje miejsca erze instytucjonalnej niepewności i pospolitej nieufności do skuteczności poczynań rządowych.

Idea terytorialnej suwerenności państwowej sięga roku 1555, kiedy to na spotkaniu zwołanym w Augsburgu przez zwaśnione dynastie panujące, desperacko szukające ucieczki lub choćby chwilowego wytchnienia od przedłużającej się rzezi i siejących spustoszenie wojen religijnych rozdierających chrześcijańską Europę, ukuto formułę *cuius regio, eius religio* (czyje panowanie, tego religia). Suwerenność władcy, jak wskazywała formuła, którą wypracowali Machiavelli, Luter, Bodin (w swym wyjątkowo wpływowym dziele *Six Livres de la République* opublikowanym dwadzieścia jeden lat po traktacie augsburskim) czy Hobbes, oznaczała nikim i niczym nieograniczone prawo królów i książąt do zaprowadzania oraz egzekwowania praw wiążących każdego, komu przydarzyło się przebywać na obszarze ich władzy. „Suwerenność” oznaczała najwyższą – nieograniczoną przez zewnętrzną ingerencję i niepodzielną – władzę w *obrębie terytorium*: od momentu pojawienia się w słowniku polityki, pojęcie „suwerenności” odnosiło się do terytorialnie ograniczonego stanu rzeczy i terytorialnie zakreślonych uprawnień.

Jak twierdził Machiavelli, a później powtarzali wszyscy politycy zasługujący na to miano, wyłącznym zobowiązaniem księcia jest *raison d'état – état*, czyli państwa, będącego nieodmiennie terytorialną całością określoną przez swe granice. Jak mówi *Stanford Encyclopedia of Philosophy*: „Władza suwerenna sprawowana jest w obrębie granic, ale także, ze swej definicji, w stosunku do innych, którym nie wolno ingerować w sferę rządów suwerena”, przy czym owi „inni” to oczywiście władze również terytorialnie określone, tyle że po drugiej stronie granicy. Wszelka próba wtrącania się w porządek rzeczy ustanowiony przez suwerena na terytorium jego panowania była zatem uznana *a priori* za bezprawną, godną potępienia i stanowiła *casus belli*. Formuła augsburska może być traktowana jako akt założycielski nowoczesnej suwerenności państwowej, ale też – i tak jest odczytywana – jednocześnie i z konieczności jako tekstowe źródło nowoczesnego pojęcia granic państwowej władzy.

Trzeba było jednak prawie stu lat dalszego rozlewu krwi i spustoszeń, aż do roku 1648 i porozumienia o „suwerenności westfalskiej”, podpisanego po

długich pertraktacjach w Osnabrück i w Münster, ażeby zasadę rekomendowaną przez formułę augsburską zaadaptowała społeczna i polityczna rzeczywistość Europy: niepodzielna suwerenność każdego władcy na terytorium, nad którym panuje i nad jego mieszkańcami – to znaczy uprawnienie władcy do stanowienia praw wedle własnego wyboru, który znosił wybory dokonywane indywidualnie przez jego poddanych, włącznie z wyborem Boga, w którego winni byli wierzyć i którego czcić.

To ta właśnie formuła miała nieodwracalnie zapewnić, poprzez prosty wybieg zastępujący *religio* przez *natio*, myślową ramę czy też szablon zastosowany niedługo później do stworzenia (świeckiego) porządku politycznego rodzącej się nowoczesnej Europy i zarządzania nim. Był to wzór *państwa narodowego* – to znaczy *narodu* używającego suwerenności państwowej do oddzielenia „nas” od „nich” i zastrzegającego sobie monopolistyczne, niezbywalne i niepodzielne prawo do projektowania porządku wiążącego kraj jako całość, a także państwa zgłaszającego roszczenie do dyscyplinowania poddanych poprzez przywoływanie wspólnego charakteru narodowej historii, przeznaczenia i dobrobytu. Zakładano i postulowano, że oba te konstytutywne elementy wzorca mają na siebie terytorialnie nachodzić.

Ten historycznie ułożony wzór, wybrany spośród wielu innych wyobraźalnych, wykonalnych i wiarygodnych zasad porządkujących, w czasie kolejnych stuleci został „znaturalizowany” – nadano mu status oczywistego i niepodważalnego w większości Europy. Stopniowo, acz konsekwentnie, narzucano go również całej planecie przez umiejscowione w Europie imperia światowe – w toku długiego cyklu wojen prowadzonych przeciwko lokalnym, nazbyt często uparcie stawiającym opór rzeczywistościom (pomyślmy na przykład o jawnie i otwarcie sztucznych „granicach narodowych” państw postkolonialnych, nieograniczających bynajmniej plemiennych waśni, albo straszliwym losie republik byłej Jugosławii).

Gdy po koszmarze dwudziestowiecznej wojny światowej podjęto pierwszą próbę ustanowienia realnie dającego się utrzymać konsensualnego porządku planetarnej pokojowej koabitacji, to właśnie na westfalskim modelu suwerenności ufundowano Kartę Narodów Zjednoczonych – zgromadzenia przywódców suwerennych państw powołanych do wspólnego monitorowania, nadzorowania i obrony zębami i pazurami owego stanu pokojowej koegzystencji. Artykuł 2 Karty w paragrafie 4 zabrania ataków na polityczną niepodległość i terytorialną integralność, podczas gdy w paragrafie 7 wyraźnie ogranicza możliwość interwencji z zewnątrz w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa, jakkolwiek byłyby one niepokojące.

Wciąż żyjemy w „erze postwestfalskiej”, liżąc dotąd niezaleczone (być może nieuleczalne) rany, których zasada *cuius regio, eius religio* przysporzyła i wciąż przysparza społeczeństwom dążącym do integracji bądź walczącym o jej ochronę i utrzymanie. Proces wyzwalania się z cieni rzuconych przez „westfalską suwerenność” jest rozciągnięty w czasie i przebiegał boleśnie, do tego bynajmniej nie w jednorodny sposób. O ile wiele sił (finanse, interesy biznesowe, handel informacją, bronią i narkotykami, przestępczość i terroryzm) zyskało już – w praktyce, jeśli nie w teorii – wolność odrzucenia i zanegowania owej zjawy, o tyle polityka (możność decydowania o tym, jak i po co stosowana jest władza) wciąż cierpi z powodu jej ograniczeń. Jaskrawa nieobecność globalnych podmiotów politycznych, zdolnych nadażyć za globalnym już zasięgiem i potencjałem różnych sił oraz odzyskać kontrolę nad nimi, stanowi zapewne najpoważniejszą przeszkodę na nierównej i wyboistej drodze w kierunku „świadomości kosmopolitycznej”, pasującej do nowych, globalnych współzależności między ludźmi.

Jak już była mowa wcześniej, Organizacja Narodów Zjednoczonych, instytucja powołana do życia w reakcji na wojnę rozpoczętą aktami agresji jednych suwerennych państw narodowych na suwerenność innych, najbliższa idei „globalnego ciała politycznego”, umocnienie i obronę westfalskiej reguły za wszelką cenę ma wpisaną w swą Kartę. Rodzaj „międzynarodowej” (czytaj: między państwowej, między rządowej, międzyministerialnej) polityki, który ONZ musi promować i praktykować, do którego ma prawo i jest zdolna, sam nie będąc w żadnym razie krokiem na drodze do prawdziwie globalnej polityki, okazałby się raczej główną barierą ustawioną w poprzek takiej drogi, gdybyśmy kiedykolwiek mieli na nią wstąpić.

W pewnym sensie na niższym, acz strukturalnie równokształtnym poziomie znajduje się euro: absurd wspólnej waluty obsługiwanej i podtrzymywanej przez osiemnastu ministrów finansów, z których każdy z konieczności reprezentuje suwerenne interesy swego kraju i ich broni. Losy euro wystawionego na kaprysy polityk lokalnych (tzn. państw narodowych), cierpiących pod presją dwóch różnych, nieskoordynowanych i tym samym niełatwych do pogodzenia ośrodków wpływu (ograniczonych narodowo elektoratów i ponadnarodowych instytucji europejskich, nazbyt często instruowanych do działania i działających w imię sprzecznych celów), to tylko jeden z przejawów sytuacji bez wyjścia: bycia wciśniętym niczym w imadło, unieruchomionym i ubezwłasnowolnionym pomiędzy widmem westfalskiej suwerenności państwowej z jednej, a realiami globalnego bądź przynajmniej ponadnarodowego uzależnienia od innych z drugiej strony. W 2012 roku debata prowadzona przez wówczas 27 państw członkowskich Unii Europejskiej na temat

sposobu ratowania euro, a może i samej Unii Europejskiej, została zawieszona (z możliwością straszliwych konsekwencji dojścia do punktu, z którego nie będzie już odwrotu, i pewnością jeszcze większej liczby pobocznych szkód, jakie całej Europie przyniesie kolejny miesiąc wolnoamerykanki zaoferowanej hazardzistom giełdowym i spekulantom walutowym) aż do czasu greckich i francuskich wyborów parlamentarnych.

W telegraficznym skrócie: wciąż pozbawieni jesteśmy globalnego ekwiwalentu instytucji wynalezionych, zaprojektowanych i uruchomionych przez naszych dziadów i pradziadów na poziomie terytorialnego państwa narodowego po to, by zabezpieczyć mariaż władzy i polityki: instytucji, które służą – a przynajmniej były pomyślane i sterowane tak, aby służyły – łączeniu i koordynacji rozproszonych interesów i opinii, ich właściwej reprezentacji, a także odzwierciedleniu w praktyce organów wykonawczych oraz uniwersalnie wiążących kodeksów praw i procedur sądowych.

Co nam pozostało, to zastanawiać się, czy wyzwaniu temu można podołać, a zadanie to zrealizować z zachowanymi jeszcze instytucjami, stworzonymi i sporządzonymi w końcu po to, by służyły zupełnie innemu (tj. państwowo-narodowemu) poziomowi ludzkiej integracji i aby chroniły ów poziom przed wszelkimi ingerencjami „z góry”. Wszystko zaczęło się przecież, przypomnijmy, od monarchów chrześcijańskiej Europy walczących o odrzucenie pretensji papieża do nadzoru nad ich posiadłościami. Przez kilka stuleci ten odziedziczony układ był stosunkowo dobrze dostosowany do realiów swych czasów, czasów władzy i polityki wzajemnie splecionych na poziomie rozkwitającego państwa narodowego, czasów *Nationalökonomie* i Rozumu utożsamianego z racją stanu – ale to już przeszłość.

Nasza współzależność stała się globalna, podczas gdy nasze instrumenty zbiorowego działania i ekspresji woli pozostają lokalne i uparcie opierają się poszerzeniu, a także naruszeniu czy ograniczeniu. Luka pomiędzy skalą współzależności a zasięgiem instytucji powołanych do ich obsługi jest już gigantyczna, a do tego z każdym dniem się poszerza i pogłębia. Zasypanie tej przepaści bądź przerzucenie nad nią mostu stanowi w mojej ocenie „metawyżwanie” naszych czasów – to, które powinno zyskać najwyższą rangę pośród trosk mieszkańców XXI wieku. Wyzwaniu temu musimy sprostać tak, abyśmy w ogóle mogli zacząć się mierzyć z mniejszymi, wtórnymi wobec niego, acz równie nieuniknionymi wyzwaniami w sposób uczciwy, właściwy i skuteczny.

Już na koniec – tytułem nadchodzącej dyskusji – można się zastanowić nad tym, jak w kontekst rozważań nad kondycją państwa narodowego wpisuje się propozycja oddania władzy w ręce burmistrzów, prezydentów miast i powołania światowego parlamentu burmistrzów, którą głosi Benjamin Barber w książce

Gdyby burmistrzowie rządili światem. Sugeruje on, iż miasta byłyby nie tyle konkurencyjne względem państw, co komplementarne, bo będąc obecnie, jego zdaniem, podstawową przestrzenią wspólnotową, mogłyby rozwiązywać problemy, z którymi państwa sobie nie radzą.

Jerzy Wiatr

Profesor Raciborski zrobił mi przyjemność, przypominając moją starą książkę *Naród i państwo*. Zacznę więc od niej.

Wydałem tę pracę w 1969 roku, a pisałem w roku poprzednim. Na jej treść wielki wpływ miały wydarzenia 1968 roku. Była to moja intelektualna odpowiedź na „pomarcowy” klimat polskiego życia politycznego. Nie uszło to uwagi baczного recenzenta – Jana Szczepańskiego – który na łamach „Nowych Książek” napisał, że jest to „książka z kluczem”. Tym kluczem było rozumienie narodu i państwa narodowego – dwóch pojęć, które, tak wtedy jak i teraz, odgrywają zasadniczą rolę w dyskursie politycznym.

W dyskursie tym ścierają się dwie zasadniczo odmienne wizje. Pierwsza to wizja narodu jako „wspólnoty krwi”, wyrażającej się we wspólnej kulturze (w tym zwłaszcza – wspólnej wierze) i tworzącej swoje państwo jako polityczną formę bytu narodowego. Naród tak rozumiany tworzy swoje państwo, a państwo narodowe jest podstawowym dobrem tak rozumianego narodu. Roman Dmowski, najważniejszy i najciekawszy przedstawiciel tej koncepcji na gruncie polskim, pisał o „katolickim państwie narodu polskiego”, w którym obcoplemieńcy powinni być traktowani jak goście – czyli życzliwie, ale też jako ci, którzy nie mają prawa wyręczać gospodarza w urzędowaniu jego domu. To z tej wizji państwa narodowego wyrastał przedwojenny nacjonalizm z jego skrajnymi przejawami, do których należała zaciekle kampania przeciw prezydentowi Gabrielowi Narutowiczowi – został on zamordowany nie za jakieś osobiste przewiny, lecz za to, że wybrano go dzięki „niepolskim” głosom. Niemal pół wieku później podobny ton zabrzmiał, gdy protestującym wypominano „niepolskie” pochodzenie i odmawiano prawa do uważania się za Polaków.

Etnocentrycznej wizji narodu i państwa narodowego przeciwstawia się druga wizja, mianowicie narodu obywatelskiego. Tym, co naród tak rozumiany konstytuuje, nie jest ani mit „wspólnej krwi”, ani nawet wspólnota kultury – skądinąd bardzo ważna, ale niebędąca warunkiem *sine qua non* istnienia narodu – lecz poczucie więzi z państwem. Używając klasycznego określenia Stanisława Ossowskiego, powiemy, że członkami narodu obywatelskiego są ci wszyscy, którzy to samo państwo uważają za swoją „ojczyznę ideologiczną”.

Mogą oni, ale nie muszą, być połączeni pochodzeniem etnicznym i wspólnymi wartościami kultury. Są bowiem członkami narodu obywatelskiego także ci, którzy należąc do mniejszości narodowej czy etnicznej, identyfikują się z państwem narodowym i dają temu wyraz czynem.

Pozwolę sobie tu na dygresję. Mam wśród swych przyjaciół najstarszego obecnie członka znanego rodu grafów von Götz, których odłam zamieszkiwał na Śląsku, między innymi władając Okocimem. Był to stary ród niemiecki. Tytuł otrzymał w roku 1000 od cesarza Ottona III. W Drugiej Rzeczypospolitej von Götz byli lojalnymi obywatelami państwa polskiego, a w czasie drugiej wojny światowej odrzucili ofertę podpisania niemieckiej listy narodowej, co jeden z nich przypłacił śmiercią w hitlerowskim obozie, drugi zaś walczył w Wojsku Polskim na uchodźstwie. Czy może być lepsze świadectwo polskości, pełniejszy dowód polskiego patriotyzmu?

We wspomnianej na początku książce opowiadam się za obywatelskim rozumieniem narodu i takim rozumieniem terminu „państwo narodowe”, przy którym to poczucie obywatelskiej więzi z państwem konstytuuje naród, a naród określa się przez jego stosunek do państwa. Własnego, to znaczy stanowiącego wspólne dobro wszystkich obywateli. Tak to zresztą rozumie polski hymn narodowy, w którym mówi się: „przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami”. Legioniści polscy, śpiewając *Mazurek Dąbrowskiego*, byli w zgodzie z ówczesną konwencją terminologiczną, która termin „Polacy” rezerwowała dla członków państwa polskiego – w ostatnich latach XVIII wieku już nieistniejącego. „Będziem Polakami” to nic innego jak zapowiedź, że odzyskamy państwo polskie. Bez niego nie jesteśmy bowiem narodem obywatelskim.

Obywatelskie rozumienie narodu jest zakorzenione w tradycji zachodniej demokracji. Nie tylko w Stanach Zjednoczonych – państwie stworzonym przez imigrantów – ale także we Francji przynależność do narodu utożsamiana jest z obywatelstwem, co zresztą łatwo sprawdzić, zaglądając do paszportów, gdzie polskiemu słowu „obywatelstwo” odpowiadają angielskie *nationality* lub francuskie *nationalité*. W tym duchu napisana jest preambuła do Konstytucji 1997 roku, w której znajduje się doniosła formuła: „my, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”. Wszyscy, a więc nie tylko etniczni Polacy. Wszyscy, którzy Rzeczypospolitą uważają za swoją ojczyznę.

Uważam przyjęcie takiego – obywatelskiego – rozumienia narodu i państwa narodowego za jedno z ważniejszych osiągnięć polskiej demokracji. Nie łudzę się jednak, że stało się ono jedynym sposobem myślenia o narodzie i państwie. Politycy prawicy „narodowej” wnoszą okrzyki „Polska dla Polaków”. Wiadomo, o co im idzie. O Polskę rozumianą w duchu Romana

Dmowskiego, zgodną z kanonami nacjonalizmu etnicznego. To nie jest jeszcze idea martwa, choć – jak mam nadzieję – lata jej największej popularności mamy już za sobą.

Pojawia się obecnie pytanie, czy procesy integracji europejskiej oznaczają kres państwa narodowego, jego roztopienie się we wspólnej tożsamości europejskiej. Czasem przytaczana jest analogia z historią Stanów Zjednoczonych. Sam przypominam studentom prawdziwą anegdotę z przedednia wojny secesyjnej, kiedy to prezydent Abraham Lincoln zaproponował generałowi Robertowi Lee dowództwo wojsk Unii. Zasłużony generał prezydentowi podziękował za zaszczytną propozycję, ale odmówił jej przyjęcia, gdyż – jak powiedział – „ojczyzna mnie wzywa”. Tą ojczyzną była Wirginia – jeden ze stanów Konfederacji. W połowie XIX wieku było jeszcze naturalne, że dla generała Lee ojczyzną był jego stan. Dziś brzmi to jak anachronizm. Ojczyzną dzisiejszego Amerykanina są Stany Zjednoczone, a nie Wirginia, Pensylwania czy Kalifornia.

Nie sądzę, by Europa miała podążać tą samą drogą. Narody europejskie mają długą, niekiedy liczącą ponad tysiąc lat historię. Mają odrębne języki i kultury narodowe. Myślę z zadowoleniem o tym, że będą się one zbliżały do siebie, że będzie się między nimi wytwarzała więź, że wreszcie wspólna Europa stawać się będzie dla nich wszystkich coraz silniej odczuwaną meta-ojczyzną. To bardzo długi proces, którego uwieńczenia zapewne nie zobaczą nawet wnuki najmłodszych uczestników naszego spotkania. Zgodziłbym się jednak z Hieronimem Kubiakiem, że Europa pozostanie wspólnotą ojczyzn narodowych, a więc że państwo narodowe nie zniknie, nie rozplynie się w europejskiej wspólnocie.

Nie podzielam także poglądu, że państwo narodowe utraciło zdolność skutecznego działania, gdyż o najważniejszych sprawach gospodarczych decydują potężne korporacje ponadnarodowe. Nie zgadzam się z tym poglądem z dwóch powodów. Po pierwsze, choć gospodarka jest bardzo ważna, to jednak polityka się do niej nie sprowadza. Państwo ma w swym ręku instrumenty regulujące wielkie obszary życia, w których jego decyzje nie są ograniczane przez siły ponadnarodowe. Takie kwestie, jak model rodziny, prawo kobiety do decydowania o utrzymaniu lub przerwaniu ciąży czy polityka kulturalna, pozostają w gestii państwa narodowego. Integracja europejska nie zniósła różnic w tych dziedzinach. Jeśli różnice te będą zanikały, to przez dyfuzję wzorów kultury, a nie przez ograniczenie kompetencji państwa narodowego.

Drugi argument dotyczy gospodarki. Jeśli powiada się, że państwo narodowe niewiele już w tej dziedzinie może, to zapytam: dlaczego widzimy tak wyraźne różnice w sukcesach i porażkach państw narodowych? Jeśli Polska

lepiej niż inne państwa Unii Europejskiej radzi sobie w warunkach światowego kryzysu finansowego, to czy nie jest to dowodem, że państwo ma jednak jakiś wpływ na gospodarkę? Zgadzam się, że wpływ ten jest inny niż w czasach państwowego protekcjonizmu, ale nie uważam, że należałoby ogłosić kres roli państwa.

A skoro tak, to perspektywa państwa jako ważnego, choć przez socjologów często pomijanego podmiotu społecznego zasługuje na przemyślenie. To szczególna rola socjologii polityki.

Witold Morawski

■ Państwo narodowe: co, kto, dlaczego i jak?

1. Co to jest państwo narodowe?

Nie da się mówić o państwie narodowym dziś, nie uwzględniając jego wielu odmiennych wcieleń, jakie znamy z historii. Jakoż stwierdzić trzeba, że wyłaniają się jego kolejne wcielenia, wbrew popularnej w ciągu ostatnich trzydziestu lat tezie o jego zaniku. Co więcej, zapewne będzie ich nawet więcej niż w przeszłości, bo od drugiej wojny światowej na mapie świata przybyło wiele nowych państw. Chyba jednak nie przybiorą one tak wyrazistych kształtów, jakie znamy z historii XIX i XX stulecia. Mam tu na myśli między innymi jakże podziwiane państwo narodowo-rewolucyjne, a następnie – już rzadziej podziwiane – narodowe państwo imperialne. Pamiętamy także jego wcielenia dziś całkowicie zdyskredytowane, jak narodowe państwo totalitarne (w tym nazistowskie). Choć są to formuły na ogół przebrzmiałe, czasem proponuje się je ożywiać, na przykład określać Stany Zjednoczone czy Unię Europejską mianem imperium liberalnego, mimo iż przecież w obu przypadkach podobieństwa do klasycznego imperium, na przykład brytyjskiego, też właściwie liberalnego, są zgoła niewielkie. Takie porównania czynione są z całą powagą, a co jeszcze ciekawsze – bywają całkiem udane. Na przykład Niall Ferguson pisze o Stanach Zjednoczonych jako imperium, które nie nauczyło się nic od Wielkiej Brytanii.

Proponuję, aby szukać nowych określeń dla nowych praktyk funkcjonowania państwa narodowego, które samo podlega redefinicji. Najlepiej jest to czynić przez identyfikację sił, które kształtują nowe formuły. Używam liczby mnogiej, albowiem nie wyłania się jakaś jedna nowa mutacja państwa narodowego. Muszę wszak dodać, iż są autorzy – przykładowo John W. Meyer, John Boli, George M. Thomas i Francisco O. Ramirez – którzy trafnie wskazują, że globalizacja (społeczeństwo światowe, zrjonalizowany

światowy system instytucjonalny, kultura światowa) modeluje czy też konstruuje państwa narodowe, zwłaszcza młode, które pojawiły się po drugiej wojnie światowej. Sprzyja również częściowemu ich upodobnieniu.

2. Kto nie chce państwa narodowego?

Zamiast dociekać, jakie wyłaniają się nowe warianty państwa narodowego, atakowana jest sama idea państwa narodowego. Zwrócę uwagę na dwa kierunki ataku.

Pierwszy to neoliberalna formuła „państwa minimum”, która ma doprowadzić nie tylko do erozji czy eliminacji wymiaru narodowego w funkcjonowaniu państwa, ale również do podważenia sensu państwa w ogóle. Niektórzy autorzy, jak Robert Nozick, łaskawie dopuszczają myśl, że da się zaakceptować państwo w charakterze czegoś w rodzaju agencji ochrony mienia. Można się zgodzić, że niektóre funkcje państwa obumierają (wewnętrzne), ale trzeba natychmiast dodać, że inne zyskują na znaczeniu (np. funkcje zewnętrzne). U podłoża tego rozumowania przewija się myśl, że współzależności narzucone przez kolejną falę globalizacji uprzywilejowują poziom globalny czy polityczno-regionalny, jak Unia Europejska, kosztem narodowego (choć nie lokalnego!).

Drugi kierunek ataku jest zupełnie inny. Opiera się na inspiracjach płynących nie tyle ze świata ekonomii, co raczej polityki, kultury, społeczeństwa itd. Wiąże się niekiedy z postulatami bezpośredniej demokracji czy poszanowania wspólnot (czego brakuje części myśli liberalnej) w imię wartości kosmopolitycznych.

Obu typom ataku przyświeca idea lepszego niż dotąd wykorzystania przestrzeni globalnej, która cechuje się większą niż kiedykolwiek współzależnością, będącą rezultatem działania nowych sił napędowych (rynków ekonomicznych, międzynarodowych instytucji politycznych, potrzeb społecznych, atrakcji kulturowych, wpływu nauki i technologii, zwłaszcza komunikacyjnych i informacyjnych). Atakujący zgłaszają propozycje, jak budować nowe instytucje, które mogłyby w tym pomóc (w domyśle: ponieważ państwo narodowe nie jest do tego zdolne). Powiedziałbym – rzekomo nie jest zdolne, gdyż jeśli nawet w pewnych sprawach państwo staje się mniej użyteczne, to przecież pojawiają się nowe potrzeby, które należą do jego obowiązków, jak obsługiwanie powiązań zewnętrznych. Najrozmaitsze praktyki funkcjonowania państwa narodowego po drugiej wojnie światowej potwierdzają empirycznie, że tak się właśnie dzieje. Wystarczy przyjrzeć się, jak zręcznie z handlu

światowego potrafiły korzystać „azjatyckie tygrysy” (państwa narodowe, często o reżimach autokratycznych), nie mówiąc o wielkim „smoku”, jakim są Chiny po 1978 roku (początek reform Denga).

Oba wskazane kierunki krytyki państwa narodowego skłonny jestem uważać za utopijne, powiedzmy, częściowo utopijne. W krytykach bowiem i postulatach, jakie im towarzyszą, są – łatwo się na to zgodzę – ziarenka prawdy i czasem także szlachetne intencje. Atak neoliberalny był (i nadal jest) prowadzony z prawej strony sceny ekonomiczno-politycznej. Trafniej zresztą jest w tym wypadku mówić o libertariańskim ataku niż o liberalnych jego źródłach (od lat powtarzana teza Andrzeja Walickiego). Dodam, że do ataku neoliberalistów (libertarian) z przyjemnością dołączyli neokonserwatyści. Tegoż aliansu świadkiem była Ameryka George’a W. Busha. Druga linia ataku rodziła się na lewicy i centrolewicy. Odwołuję się do pojęć lewica–prawica, choć sens tego starego podziału cały czas blednie.

Tym sposobem państwo narodowe zostało wzięte w dwa ognie. Jednak z pomocą przyszło mu samo życie. Mam tutaj na myśli światowy kryzys finansowy z lat 2008–2009, a potem kryzys w ramach Unii Europejskiej. Dziś siły obu tych opcji są poważnie osłabione, choć nie unicestwione; czasem jedynie ośmieszono. Jeszcze za prezydenta George’a W. Busha państwo narodowe zostało przywołane do pomocy w gospodarce. Realnie interweniowało, aby ratować banki czy firmy samochodowe, które mogły upaść. Państwo, to niby neoliberalne państwo, uznało, że pewne przedsiębiorstwa są „zbyt duże, aby pozwolić im upaść”.

Państwo zaczęło więc być bronione: w Stanach Zjednoczonych słabo, w Europie i na świecie – mocniej. Często jest to obrona warunkowa. Spójrzmy na książki Ulricha Becka, który mimo swojej kosmopolitycznej filozofii społecznej starannie szuka formuł zabezpieczających uszanowanie tożsamości narodowych, etnicznych itd. Ich instytucjonalizacja wiąże się bowiem z państwem narodowym. Wspólne dla szeroko pojętej liberalnej lewicy (gdzie lokowałbym również zwolenników kosmopolityzmu) jest to, że nie widzą oni w swoich postulatach większej sprzeczności z funkcjonowaniem Unii Europejskiej, choć poprawionej (miałaby stać się jakąś formą federacji). Przyjmują, że istnienie Unii jest nieodwracalnym faktem. Bez niej nie da się szybciej i lepiej naprawić błędów, jakie ona sama popełniła. W tejże sprawie potrzebny jest aktywny udział państwa narodowego. Wolfgang Streeck czy Claus Offe do takich błędów zaliczają między innymi unię walutową, wprowadzenie euro, zadłużenie, bezrobocie, nierówności ekonomiczno-społeczne.

W Polsce cieszymy się, że nie mamy u siebie na razie pieniądza euro. Widok samochodów ze Słowacji wywożących towary kupione w naszych sklepach to przekonanie umacnia. Można zapytać: jak długo? Nie uciekniemy od decyzji i w tym obszarze, jeśli ścisły Zachód będzie umacniać strefę euro. Tym bardziej, że dotychczasowa wymiana handlowa z Unią jest dla nas wielce korzystna. Nadto poprawiamy naszą pozycję w Europie i na świecie dzięki członkostwu w strukturach UE. Pomijam jakże dla nas korzystne zastrzyki pieniężne, które otrzymujemy od kilkunastu lat. Efekty w naprawie infrastruktury są widoczne gołym okiem.

3. Dlaczego państwo narodowe jest potrzebne?

Naród-lud staje się potrzebny, aby demokratycznie wyrażać zgodę. Nie da się uwspólnić długów czy nałożyć nowych podatków bez takiej zgody. Ale tu pojawia się kłopot: kto bowiem będzie ponosił ciężar napraw, które nie mogą być chyba równe? Inne muszą być dla tych, którzy na integracji najwięcej skorzystali (np. Niemcy), a inne – dla biedniejszych (np. Greków) i ogólniej peryferii UE. Jedno jest pewne, mianowicie że inwestorzy i instytucje finansowe nie będą się godzić na uszczuplenie swych zysków. Dlatego płacimy już za to strzyżeniem osłony socjalnej, w tym zmniejszaniem wydatków na zdrowie czy oświatę. Zwiększa to deficyty budżetowe, zwiększa nierówności społeczno-ekonomiczne, sprzyja wzrostowi bezrobocia tak groźnego zwłaszcza dla pokolenia młodych.

Ale legitymizowane narodowo państwo potrzebne jest nie tylko ze względów ekonomiczno-społecznych. Te argumenty są najczęściej oferowane – to prawda, ale w świadomości ludzi pełni ono także funkcje, które ośmieliłbym się porównać do funkcji kapci, jakich używamy do chodzenia w domu. Zwykle uważamy je za niezbędne. Podobnie jest z państwem narodowym. Jest ono kluczowym elementem naszych imaginariów społecznych, obok rodziny, religii itd. Imaginaria społeczne są pełne mitów, emocji, jak opisuje to Charles Taylor. Jest w nich miejsce na rozum i racjonalność instrumentalną (ale nie tak chyba dużą, jak się zwykło sądzić). Imaginaria społeczne są elementami tego, co określiłbym jako mniejszy lub większy zaścianek, w jakim każdy z nas tkwi. I tkwić chce! Nawet wtedy, kiedy wie, że ten zaścianek jest czasem „brudny”. Najczęściej jest lokalny, a nawet zredukowany do grona przyjaciół i znajomych, ale dla wielu to państwo narodowe jest takim zaściankiem – trzeba przyznać, całkiem dużym. Jeśli chodzi o identyfikacje polityczno-prze-strzenne, to państwo narodowe jest niezmiennie na drugim miejscu. Identyfikacja z Europą jest dalej na liście, z globem jest oczywiście jeszcze rzadsza. Takie są ustalenia empiryczne.

4. Jak korzystać z państwa narodowego w świecie nasilających się współzależności?

Referendum, które poprzedziło nasze wejście do Unii Europejskiej, dowodzi, że Polacy całkiem dobrze rozumieją uwikłania zewnętrzne: ich konieczność i korzyści, jakie wynieść z nich można. Korzystamy z nich; wcześniej wspominałem o naszym handlu w ramach UE. Poprawiamy swoje parametry cywilizacyjne za pieniądze z Unii (z pewnością do 2020 roku). Otrzymaliśmy ogromnie wsparcie finansowe i spożytkowujemy je dobrze, podobnie jak dobrze zagospodarowujemy czas po 1989 roku. Dam przykład aktualny: Polska była w 1990 roku na podobnym co Ukraina poziomie wzrostu gospodarczego (PKB) mierzonego na głowę mieszkańca, a 24 lata później ta relacja jest mniej więcej jak 3 do 1. W porównaniach z innymi krajami postkomunistycznymi wypadamy nie tak dobrze, ale wyraźnie dobrze. W wypadku porównań z krajami Europy Zachodniej ten obraz również się poprawia. Sam stosunek polskich rolników do UE dowodzi, że ludzie są elastyczni mentalnie, jeśli się pamięta blokady i tyrady Leppera przed wejściem Polski do Unii.

Mówię o sukcesach Polski w ostatnich 24 latach, bo są one obrazem tego, jak państwo narodowe może dobrze korzystać z instytucji ponadnarodowej. Jest prawdą, że dla wielu Unia Europejska jest instytucją-hamulcem dla państwa narodowego, ale dodajmy, że pojmowanego na sposób tradycyjny. Dziś państwo narodowe jest inne, jutro będzie jeszcze inne, ale nadal będzie to państwo narodowe. Pewne funkcje mu ubędą, inne przybędą.

Czekają nas kolejne transformacje. Trudno wyrokować, czy będą one mniejsze niż wcześniejsze, na przykład ograniczonego państwa z czasów PRL czy postkomunistycznego po 1989 roku. Tamte były częścią losu nam danego, te, które nadchodzą, w większym stopniu będą dziełem naszych własnych wyborów, ale dokonywanych w warunkach zapewne jeszcze większej niepewności. Skutkiem mogą być kryzysy, z którymi nie wiadomo, jak sobie radzić. Nie ma co prawda na horyzoncie wojen, które były tak ważne w historii starych państw narodowych, ale dodać trzeba, że i obecnie zdobywanie przewagi nad innymi aktorami na scenie Europy budzi silne emocje. To, co nazywaliśmy geopolityką, dzisiaj funkcjonuje w formie geoeconomiki. Czas na geopolitykę może jednak wrócić w każdym momencie. Już chyba wraca.

Dodatkowo sprawę komplikuje cała sfera kultury, zawsze nieco tajemnicza, bo nie wiadomo, kiedy i którą mackę uruchomi kultura pojmowana jako ośmiornica, jak widział kulturę Clifford Geertz. Państwo narodowe jest niezastąpionym, jak dotąd, miejscem rozwiązywania tych tajemnic lub ich ukrywania. Wielu twierdzi, że nasza kultura nie jest tak tajemnicza. Zgadzam się,

że stosowniejsze są metafory bardziej mieszane. Nowe polskie państwo narodowe, ale działające w ramach Unii Europejskiej, zadba o to z pewnością.

Jarostaw Kilias

Naszą dyskusję na temat państwa narodowego, podobnie jak wiele innych, trapi problem wynikający z zasadniczej niejednoznaczności tego pojęcia, skutkującej tym, że w gruncie rzeczy każdy z jej uczestników mówił o czym innym. Znaczenia terminu „państwo narodowe” mieszczą się w przestrzeni rozpościerającej się między dwoma biegunami. Z jednej strony chodzi o pojęcie państwa jako instrumentu hegemonii politycznej określonej większościowej zbiorowości narodowej – Rogers Brubaker w swej książce *Nationalism Reframed* określił to mianem *nationalizing state* („państwo unarodowiające” – w polskim przekładzie jego pracy, zatytułowanym *Nacjonalizm inaczej*, termin ten przełożono jako „państwo narodowo zorientowane”, odbierając mu jego drapieżność). Bez wątpienia tak właśnie pojmowane państwo narodowe stanowiło główny przedmiot rozważań Jerzego Wiatra. Z drugiej strony to, co w anglosaskiej literaturze określa się jako *nation-state*, a co zazwyczaj także przekłada się jako „państwo narodowe”, to najogólniejsza nazwa nowoczesnej formy organizacji państwowej. Także termin *nation-building* zwykle odnosi się do powstawania nowoczesnych państw, a nie narodzin narodów. Jak mi się wydaje, bezpieczniej byłoby w tym przypadku zrezygnować z przymiotnika „narodowe”, zastępując go określeniem „nowoczesne”. W tym rozumieniu państwo narodowe bywa rutynowo przeciwstawiane imperium, co tworzy opozycję tyleż nazbyt wyrazistą, co nie dość ostrą, pozostawiając poza swoim obrębem całe spektrum form przed- i wczesnonowoczesnych organizacji politycznych. Czy Druga Rzesza była imperium, czy państwem narodowym? A Wielka Brytania? A Związek Radziecki? Jak się wydaje, w takim właśnie rozumieniu używał pojęcia „państwo narodowe” Witold Morawski.

Warto przy tym pamiętać, że wbrew temu, co mogłyby sugerować moje dotychczasowe słowa, także sposób użycia angielskiej terminologii daleki jest od jednoznaczności. Choć Charles Tilly był zwolennikiem pojęcia *national state*, starając się uzasadnić jego użycie znaczeniem związku między narodem a państwem, w praktyce jego prace, na czele ze zredagowaną przezeń, pionierską książką *The Formation of National States in Western Europe*, podejmowały kwestię genezy państwa jako nowoczesnej organizacji politycznej w podobny sposób, co, powiedzmy, praca *The Nation-State and Violence* posługującego się odmienną terminologią Anthony’ego Giddensa. Jak widać, problem

nachodzenia się i przenikania dwóch rozumień pojęcia i typów problematyki badawczej dotyczy nie tylko nauki polskiej.

Jeśli chodzi o socjologiczną refleksję nad państwem narodowym (w drugim znaczeniu), jego domniemanym kryzysem i przewidywanym przez wielu zmierzchem, to na początku wspomnianej już przeze mnie, po raz pierwszy opublikowanej w roku 1985 pracy *The Nation-State and Violence* Anthony Giddens konstatawał, że podobna problematyka jest w socjologii niedostatecznie obecna. Rzecz jasna, istnieje określona tradycja dociekań na ten temat, wywodząca się z niemieckiej nauki o państwie i prawie, a za której dziedzica może na gruncie socjologii uchodzić Max Weber. Ja także jestem jej miłośnikiem – nie tylko Webera, ale chociażby jego przyjaciela, prawnika Georga Jellinka. Choć już u progu XX wieku pojawiły się pionierskie prace, takie jak chociażby *Der Staat* Franza Oppenheimera, to we współczesnej socjologii zainteresowanie państwem to rzecz w istocie stosunkowo nowa. Zrodziło się ono na gruncie socjologii historycznej, dyscypliny słabo w Polsce znanej (aczkolwiek propagowanej choćby przez Łukasza Wojakowskiego w pracy *Państwo i zmiana społeczna w koncepcjach amerykańskiej socjologii historycznej*) i w zasadzie nieuprawianej (względnie: częściej uprawianej przez historyków niż przez socjologów). Literaturze tej można niebezpiecznie zarzucać jednostronne zainteresowanie Europą czy szerzej, krajami Zachodu, lecz pozostaje ona nieocenioną inspiracją. Z kolei w latach dziewięćdziesiątych XX wieku pojawiła się fala publikacji na temat kryzysu czy wręcz upadku państwa narodowego. Obecnie, po kryzysie finansowym, który jasno pokazał, że państwo jest niezbywalnym i póki co wciąż niezastąpionym aktorem życia gospodarczego, głosy o jego upadku trochę przycichły. Warto dodać, że kluczowej roli państwa dowiodło w jeszcze bardziej dobitny sposób inne aktualne doświadczenie, któremu uczeni nie poświęcili wszakże należytej uwagi, mianowicie niedawne bałkańskie oraz minione i nadal trwające afrykańskie wojny domowe, prowadzące do rozpadu instytucji państwa oraz ujawniające jego rolę jako podstawy wszelkiego ładu społecznego. Doświadczenie to sugeruje także, że nie wolno zapominać o roli odgrywanej przez przemoc – ściślej mówiąc, o znaczeniu jeśli nie monopolu, to istotnej przewagi instrumentów przemocy będących w dyspozycji władzy politycznej, jako niezbywalnego warunku zaistnienia i przetrwania państwa.

Jak mi się wydaje, przeciwko tezie o kryzysie, nie mówiąc o upadku państwa narodowego, świadczy fakt, że ono wciąż tutaj jest i jakoś nie znika, nawet jeśli nie zawsze potrafimy dostrzec jego aktywną obecność. Często spotykany rodzaj populistycznej krytyki Unii Europejskiej głosi, że jej macki obejmują coraz to nowe dziedziny życia, narzucając kolejne, biurokratyczne

standardy. Rzecz jasna, w większości przypadków regulacje istniały i przedtem, a unijne ustawodawstwo ujednolicając je, uczyniło je po raz pierwszy od dawna widocznymi! Dyskretną obecność państwa można dostrzec, chociażby jeżdżąc samochodem za granicę: przepisy drogowe są niby zasadniczo takie same, ale analogiczne znaki drogowe wydają się jakieś inne, mają inne odcienie i kształty, przez co nawet nie czytając nazw na drogowskazach, można od razu dostrzec, że jest się za granicą. Także internet, o którym wspominał prof. Bauman, okazuje się zadziwiająco i coraz bardziej lokalny! Nie chodzi nawet o to, że niektóre państwa blokują takie czy inne witryny. Nie proszę o to, ale wyszukiwarki uparczywie profilują wyniki moich wyszukiwań tak, że gdybym nie zdawał sobie z tego sprawy i nie usiłował, nierzadko daremnie, skłonić ich do poszukiwania treści z innych krajów i w językach innych niż polski, mógłbym sobie pomyśleć, że cały internet ma polski charakter. Dotyczy to zresztą również międzynarodowych witryn, od eBaya po Facebooka, których lokalne wersje różnią się nie tylko pod względem języka, ale i pokazywanej treści. Większość z tych ulokowanych na polskich serwerach pokazuje mi od pewnego czasu zupełnie zbyteczny komunikat o stosowaniu *cookies*, ewidentny rezultat usiłowania czynionego przez urzędników naszego państwa, by uczulić mnie na ograniczenia mej anonimowości w sieci.

■ Dyskusja

Włodzimierz Wesółowski

Jednym z poruszanych wątków był wątek państwa, trochę oderwany od problematyki narodu. W pierwszym wystąpieniu bardzo ciekawe było zakończenie, przynajmniej dla mnie, bo książki [Barbera] nie znam. Czy nie byłoby dobrze, gdyby rządził burmistrzowie? Dobrze, niech rządzą. Tylko że w tym całym pięknym przedstawieniu problematyki narodu i państwa, choć zaczynało się od wojny trzydziestoletniej o panowanie religii w Europie – którejsz z wersji religii chrześcijańskiej: katolicyzmu czy protestantyzmu; chociaż zaczynało się od takich bardzo dobrych przypomnień, to – proszę Państwa – jak już mówimy o państwie, to musimy jednak powiedzieć o czymś, co padło tylko w ostatnim referacie i to jako jedno słowo u prof. Kiliasa. Przecież mówimy o państwie liberalnym, więc też o przemocy. U Webera mamy nie tylko *Macht* i *Politik*, ale też *Gewalt* – i to jest cecha państwa: przemoc. Przemoc nieuchronna ze względów organizacyjnych, że tak tylko przypomnę Webera, choć być może da się ją jednak przezwyciężyć. Ja na przykład wcale nie wierzę, że jest to konieczna cecha życia społeczeństw w kolektywach. Tak Weber

sądził, ale ja wcale w to nie wierzę, że tak musi być, jak sądził Weber. Niemniej należy pamiętać, że wedle Webera *Gewalt*, czyli przemoc, jest cechą zasadniczą. Wszystkie wersje uspołecznienia to, po pierwsze, zaprzestanie *Gewalt*, a może uspołecznienie *Gewalt*.

W świecie współczesnym *Gewalt* to nie jest rzecz do zminimalizowania w myśli teoretycznej, to nie jest rzecz do pominięcia w praktyce. Nie było tu mowy w ogóle o geopolityce. A geopolityka dziś to jest przygotowanie – przepraszam za wyrażenie humorystyczne – trzeciej wojny światowej. Rzecz polega na tym, że my, myśląc o państwie, mówimy tak: regionalizm jako forma organizacji społecznej, państwo narodowe jako forma organizacji społecznej, imperium jako forma organizacji społecznej. A może ponadnarodowe pokojowe stowarzyszenie? O tym ostatnim marzymy. Mamy zatem cztery takie formy. Pamiętajmy, iż dwie wojny światowe wybuchły między czterema pretendentami do panowania nad światem: Niemcami, Francją, Anglią i Rosją. Każde z tych państw uważało, że należy mu się panowanie nad globem. Hitler, zdaniem niektórych, wyprzedził innych, ale druga wojna światowa – co nie jest tak pewne, jak on twierdził, lecz tak uważał – była pewna, gdyż gdyby nie on zaczął, to ktoś inny wszcząłby konflikt zbrojny, ponieważ znów chodziło o supremację w świecie. Mnie się wydaje, że Hitler przesadził. Niemniej nad nami wisi kat następnej wojny – kto będzie silniejszy.

Tego, co robią Chińczycy, nie można opisywać w ten sposób, że stają się coraz silniejsi. To nie jest takie proste. Próba uporządkowania świata przez Baracka Obamę i Europy przez Angelę Merkel to jest próba zachowania pewnych sił. Jak już mówimy o władzy, to zastanówmy się nad tym, czy ta władza coś może, czy nic nie może; czy zmierza ku temu, by nic nie mogła. Zwłaszcza że tendencja jest jednak odwrotna: władza istniejących państw, a właściwie istniejących coraz mocniejszych kilku centrów świata, zmierza ku powiększeniu swej władzy. Czyli: czy ta władza może, czy nie może, może nie chce, a może w ogóle nic nie może – taki był tenor naszej dyskusji.

Władza jest spętana. Prof. Bauman wspomniał o pracach angielskich mówiących o tym, że władza jest spętana, może lepiej powiedzieć, iż polityka jest spętana, bo jakieś formy władzy pączkują od dołu. Lepiej, żeby pączkowały mocniej niż robią to dotychczas. A socjologia jest po to, aby ogarnąć te pączkowania władzy.

Przepraszam, że nadałem taki pesymistyczny ton wypowiedzi, ale bądźmy świadomi, iż są też te formy władzy, które są groźne. One lubią czasami wykorzystywać naród, poprzez te kilka centrów, które chcą pęcznić. Chiny pragną pęcznić, Brazylia pragnie pęcznić. Europa chce się bronić, bo to jest to centrum, które zawsze było, lecz teraz jej rola może maleć, jej rola

jako centrum jest zagrożona i jej waga w dyskursie światowym kurczy się. Tak wygląda to zagrożenie, które jest przed nami. Przepraszam, że wprowadziłem ten pesymistyczny wątek, lecz jego mi brakowało.

Jerzy Bartkowski

Ze względu na szczupłość czasu i pamięć o innych prelegentach przedstawiam moje komentarze do problemu współczesnego państwa w formie krótkich tez. Dyskusja tego problemu często przyjmuje nieświadomie pewne założenia, z którymi chciałbym polemizować. Są to: po pierwsze, zakładany bezrefleksyjnie europocentryzm relacji państwa i narodu; po drugie, ahistoryczność – przyjmowanie, że przedmiot dyskusji o państwie jest niezmienny – państwo sto lat temu i dziś to ten sam obiekt; po trzecie, postrzeganie słabości i siły jako procesów rozłącznych – że jeśli państwo „słabnie”, to jednocześnie „zanika”. Pomija się to, że właśnie procesy postrzegane jako prowadzące do zaniku państwa mogą skutkować wzrostem jego znaczenia. Teraz chciałbym to krótko rozwinąć.

Po pierwsze: europocentryzm relacji państwa i narodu. Problem narodu „obywatelskiego” i „etnicznego” pojawia się wtedy, gdy postrzegamy naród jako efekt powstania świadomości narodowej i dążenia do posiadania własnego państwa na podstawie etnokulturowej, legitymizowanej przez ciągłość historyczną. „Obywatel” jest określony poprzez cechy kulturowe, odczytywane jako definiujące naród. Rodzi to szereg problemów związanych z relacją tych pojęć i społeczno-politycznych napięć, szczególnie nasilonych w Europie Wschodniej. Takie rozumienie tych relacji jest absolutyzacją tej sytuacji. Przykładem mocno podważającym zasadność takiego ujęcia są obie Ameryki. Stany Zjednoczone to naród świadomie ukonstytuowany w określonym momencie historycznym przez akt założycielski. Z kolei Ameryka Południowa przedstawia obraz krajów o takiej samej genezie etnicznej (kolonizacja i emigracja hiszpańska i portugalska), a więc które z zasady nie mogą się odwoływać do wyróżniającej odmienności etnicznej w budowie swej tożsamości narodowej.

Po drugie: ahistoryczność – przyjmowanie, że przedmiot dyskusji o państwie jest niezmienny – państwo sto lat temu i dziś to ten sam obiekt. Pojawienie się państwa było w określonym momencie w jakimś sensie konieczne. Ale potrzeba jego istnienia i jego rola wciąż się zmienia. Jego „zaniekanie” powinno być dyskutowane w perspektywie jego funkcji w społeczeństwie. Współcześnie jest to kwestia jego głębokiej penetracji w całość życia społecznego i bardzo znaczącego rozwoju solidarności społecznej, której jest realiza-

torem. Zapotrzebowanie na jego rolę nie maleje, a rośnie. Szereg tych funkcji jest poza procesami globalizacji.

Po trzecie: postrzeganie słabości i siły państwa jako procesów rozłącznych – że jeśli państwo „słabnie”, to jednocześnie „zanika”. Państwo potrzebuje „osłabnięcia” (wejścia w szersze struktury ograniczające jego suwerenność) właśnie po to, by się wzmocnić i lepiej realizować swoje cele (określone funkcje wobec wspólnoty narodowej i obywatelskiej). Przynależność do niego zwiększa zapotrzebowanie na jego obecność – jak choćby potrzeba reprezentacji interesów zbiorowych w owych nowych strukturach.

Andrzej Antoszewski

Przysłuchując się dotychczasowej dyskusji, zwracam uwagę na zarysowaną w niej tendencję do poszukiwania uniwersalnej odpowiedzi na pytanie o przyczyny i przejawy zmiany istoty współczesnego państwa. Istnieje wiele dowodów na to, że traci ono przypisywaną mu moc przetwarzania rzeczywistości w terytorialnie zakrojonych granicach. Możliwość dokonywania zmian (lub utrzymywania *status quo*) staje się przedmiotem struktur ponadpaństwowych, pozapaństwowych lub znajdujących się na poziomie poniżej państwa. W sumie, wiele wskazuje na kryzys instytucji państwa, co dla niektórych może stanowić dowód na potwierdzenie słuszności z dawna głoszonej tezy o zbędności czy wręcz szkodliwości państwa jako instytucji społecznej. Powstaje jednak pytanie, jakie są konsekwencje dostrzegalnego słabnięcia państwa. Widzę tu pewną analogię do kryzysu gospodarczego. Uderza on z niejednakową mocą w państwa rozwinięte, rozwijające się i zacofane. Te pierwsze odczuwają jego efekty w mniej bolesny sposób i łatwiej sobie z nim radzą. Te drugie i trzecie mają z tym większe kłopoty. Podobnie jest z kryzysem państwa. Inaczej przebiega on i skutkuje w ustabilizowanych, okrzepłych demokracjach, inaczej w państwach, które na drogę demokracji wkroczyły stosunkowo niedawno, jeszcze inaczej w państwach autorytarnych. W tych ostatnich zresztą jest on najmniej widoczny, co nie znaczy, że nieobecny. Jeśli idzie natomiast o państwa demokratyczne lub dążące do stania się takimi, sprawa jest bardziej złożona. Demokracje ustabilizowane borykają się z kryzysem zaufania do instytucji politycznych, malejącą frekwencją wyborczą, wzrostem poparcia dla partii radykalnych, wybuchami społecznego niezadowolenia, ale wciąż jeszcze zachowują niezbędny poziom systemowej równowagi, wyrażający się w zdolności współdziałania władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Te same zjawiska zachodzące w państwach postautorytarnych, zwłaszcza

tych, które wyłoniły się z bloku komunistycznego, stanowią daleko poważniejsze zagrożenia systemowej natury.

Dzieje się tak między innymi dlatego, że pokomunistyczna transformacja jest procesem zachodzącym na wielu płaszczyznach. Prócz przekształceń politycznych w grę wchodzi przebudowa systemu gospodarczego (to zadania uniwersalne) oraz – w licznych przypadkach – budowa państwowości właśnie. Tak widzi rzecz Claus Offe, konstruując kategorię *triple transition*, w ramach której, prócz ustanawiania demokratycznych instytucji politycznych i przeobrażenia gospodarki nakazowo-rozdzielczej w rynkową, zachodzi też proces określany przezeń jako *state-building*. Dotyczy to zwłaszcza państw, które wyłoniły się z rozpadających się komunistycznych federacji, na przykład Słowacji, Chorwacji, Macedonii, Bośni i Hercegowiny, Mołdawii, Ukrainy czy Białorusi, gdzie brak jest tradycji własnej państwowości lub jest ona niezwykle odległa. We wszystkich z nich doszło do zablokowania lub co najmniej zahamowania procesu demokratyzacji. Z wyjątkiem przyjętej do Unii Europejskiej Słowacji żadne z nich nie jest uznawane przez ośrodki monitorujące proces demokratyzacji na świecie za skonsolidowaną demokrację. Potwierdza to tezę głoszoną przez badaczy tego procesu, między innymi przez Juana Linza i Alfreda Stepana, że utworzenie państwa – i to silnego państwa, ze wszystkimi jego atrybutami – jest warunkiem demokratyzacji. *No state, no democracy* – słowa te znajdują mocne empiryczne poświadczenie na gruncie przemian politycznych dokonujących się w Europie Środkowej i Wschodniej. Podkreślmy: idzie tu o państwo silne sprawnością swoich instytucji, które potrafią efektywnie działać w warunkach, które demokracja stwarza, i tworzyć warunki dla jej rozwoju.

Ustanowienie silnego państwa nie może być jednak postrzegane jako cel sam w sobie. Po zjednoczeniu Włoch padły znamienne słowa Massimo d’Azeglio: Stworzyliśmy Włochy, teraz musimy stworzyć Włochów. Oznaczało to, że państwo musi stać się instrumentem kreowania tożsamości narodowej, której w momencie jego proklamacji jeszcze nie było lub też nie była w pełni rozwinięta. Z taką samą sytuacją mamy do czynienia w niektórych państwach Europy Środkowej i Wschodniej. Dlatego właśnie niektórzy badacze uważają *nation-building* za kolejną cechę pokomunistycznej transformacji, odróżniającą ją od innych przypadków „trzeciej fali” demokratyzacji. O ile jednak naród może zrodzić się, istnieć i przetrwać bez państwa, o tyle zasadnym wydaje się pytanie, czy państwo może przetrwać bez narodu. Narodu rozumianego nie tylko i tyle jako wspólnota etniczna (*ethnos*), ale przede wszystkim jako wspólnota polityczna (*demos*). Nie jest to zagadnienie czysto

teoretyczne, o czym przekonują nas problemy, z jakimi borykają się Bośnia i Hercegowina, Mołdawia czy też – choć w mniejszym stopniu – Ukraina. Na tych przykładach widać dokładnie, jaką rolę odgrywa państwo: nie tylko w zabezpieczeniu integralności terytorialnej, ale przede wszystkim politycznej. Większość badaczy procesu demokratyzacji zgadza się ze stwierdzeniem wspomnianego już Clausa Offe, że wymaga ona, po pierwsze, określenia tego, kim jesteśmy „my” – a więc co kształtuje naszą tożsamość polityczną; po drugie, jakie reguły politycznej gry mają w tak określonej wspólnotcie obowiązywać; i po trzecie, „kto, co, kiedy i jak otrzymuje”, a więc jak dzielone są korzyści i obciążenia. Na tej trzeciej płaszczyźnie, określanej jako *public policy*, państwo wykazuje słabnącą moc, czego dowody obserwujemy na każdym kroku i o czym była już mowa. Jednak jeśli idzie o ukształtowanie wspólnoty politycznej i określenie obowiązujących w jej ramach reguł, to nic państwa nie jest w stanie zastąpić. Utrata mocy w tym sensie byłaby nie tylko samounicestwieniem, ale ostatecznym zniweczeniem szansy na wprowadzenie idei demokracji w życie. Dążenie do zachowania tej mocy – także poprzez interwencję zewnętrzną, jak dzieje się to w Bośni i Hercegowinie – winno stać się jednym z elementów „powestfalskiego” ładu politycznego.

Krzysztof Górlach

Jestem zaskoczony, że żaden z referentów nie wspomniał w kontekście rozważań o kondycji państwa narodowego w dobie współczesnej o pojęciu *governance*. Mam na myśli perspektywę, w której traktuje się ośrodki władzy jako sieć sprawczą, będącą źródłem mocy we współczesnym świecie, a której to sieci państwo jest tylko jednym z elementów. Czy Panowie prelegenci nie widzą potrzeby ujmowania państwa we współczesnej dobie za pomocą tej kategorii pojęciowej?

Andrzej Waśkiewicz

Mnie zainspirował głos prof. Wesołowskiego, który mówił o monopolu przemocy. Powiedziałbym, że jest to legitymizowana przemoc i to jest najważniejsze, że państwo jest największą wspólnotą, w której przemoc może być legitymizowana – dotychczas większej wspólnoty nie stworzono. Pytanie, czy pomysł Benjamin Barbery, którego książki [*Gdyby burmistrzowie rządzili światem*] nie znam, ale czytałem wywiad z nim bezpośrednio po

opublikowaniu tej książki, może się powieść. Czytałem też jego inne książki, w których zafascynowany jest ideą partycypacji. W miastach ta partycypacja wygląda dobrze, ale kto będzie rozstrzygał spory między miastami? Musi istnieć jakiś globalny suweren, który będzie rozstrzygał spory na poziomie miast, które wówczas przejmą rolę mini-państw. Jego koncepcja jest tak piękna, jak piękne są utopie, ale pomija ten istotny element przemocy i owej legitymizacji przemocy. Dopóki nie stworzymy porządku globalnego, dopóty nie będziemy mogli oddać władzy burmistrzom.

Krystyna Skarżyńska

Słuchałam tej dyskusji jednak jako pewnej dyskusji o możliwościach różnych wspólnot i różnych bazach tych wspólnot. Dosyć mnie przekonała teza Witolda Morawskiego, właściwie zapożyczona przez Morawskiego, ale ładnie powiedziana, o kulturze jako ośmiornicy, która nie wiadomo kiedy i którą macką uderzy. Można się domyślić z tego, co mówił Jerzy Wiatr, że to jest tak, iż wspólnota etniczna zostaje przekształcona we wspólnotę inkluzywną, państwową, i być może będą też tego jakieś konsekwencje, na przykład będziemy się globalizować. Jednak nikt z Panów nie wziął pod uwagę tego, że w ogóle tego typu stabilna wspólnota jest dzisiaj ludziom potrzebna.

Gdy prof. Bauman mówił o miastach, za Barberem, to widziałam tam taką możliwość, że w miastach jest łatwiej wybrać bycie na jakiś czas, że można zmieniać te wspólnoty. To byłoby optymistyczne, gdyby przyszłość wyglądała tak, że właśnie sobie wybieramy takie dowolne, inkluzywne wspólnoty. Wówczas państwo może już przestawać być ludziom potrzebne. Jeżeli się śledzi badania i obserwuje to, co robią młodzi w Polsce i Europie, to państwo jest im mało potrzebne. To jest optymistyczna hipoteza.

Druga hipoteza jest taka, że wspólnoty narodowo-etniczne zaczynają być potrzebne ludziom rozczarowanym, załęknionym, przestraszonym procesami globalizacji i utraty siły. I nie jest tak, że państwo coś robi ludziom; państwo po prostu mało daje ludziom, zatem jest im mało potrzebne. Być może tworzą się takie hipotezy, że byłoby lepiej, gdyby to było takie narodowe, niezależne państwo. Tutaj jest jakieś niebezpieczeństwo. Nie wiem, którą macką sięgnie kultura. Równie dobrze może to pójść w kierunku celowościowych, zmiennych wspólnot ludzi, którzy się dowolnie zrzeszają, ale i w takich technicznych, zamkniętych wspólnotach może przejawiać się ta chęć poradzenia sobie z jakąś formą przynależności. Nie wiem, którą macką sięgnie kultura.

Tadeusz Szawiel

Zawsze jak słyszę narzekania na państwo, na słabnięcie państwa, na koniec państwa, to przypominam sobie dyskusję z połowy lat siedemdziesiątych XX wieku o kłopotach państwa demokratycznego. Otóż w raporcie Komisji Trójstronnej pt. *Kryzys demokracji*, w formie ograniczonej do paru regionów, suntu bardzo katastroficzne scenariusze i zgłaszano pomysły uzdrowienia, które, jak się je dzisiaj czyta, to włos staje na głowie. Znakomity politolog, Samuel Huntington, proponuje, żeby uzdrowić ówczesne państwo demokratyczne, ni mniej, ni więcej tylko poprzez ograniczenie szkolnictwa wyższego, ponieważ studenci stanowili wówczas jeden z kłopotów. To tytułem anegdoty.

Teraz argumenty, które, w moim przekonaniu, ten pesymizm nieco rozpraszają. Była mowa o przeciwstawieniach; jeśli takim przeciwstawieniem jest państwo – brak państwa, jak na przykład w Somalii, to widzimy, że żadne współczesne wynalazki, żadne socjotechniki, żadnego typu działania kontrolne nie wytwarzają takiego porządku, który byłby alternatywą dla państwa.

Druga sprawa to moc globalnych aktorów, którzy powodują skarlenie państwa narodowego. Możliwe jest, moim zdaniem, także inne spojrzenie, takie mianowicie, że to państwa tolerują te rzekomo ponadpaństwowe, niezależne, globalne moce, na przykład rynki finansowe. Już tutaj wspominało, że być może jest tak, że państwom opłaca się do pewnego stopnia taki instrument jak swoboda przepływu kapitału itp. Przecież globalny rynek finansowy jest w sposób oczywisty uzależniony od państw narodowych. Bez siły tych państw, bez respektowania porozumień, rynki finansowe przestałyby w ogóle mieć jakiegokolwiek moce z dnia na dzień. Problem jest inny, polega on na braku kreatywności ze strony państw narodowych, jeśli chodzi o sposoby radzenia sobie z dysfunkcjonalnością tych mocy. To jest jednak inny kłopot. W sytuacji, gdy państwu będzie się opłacała jakaś regulacja tych globalnych instytucji, to ona nastąpi. Tyle że będą z tym związane koszty. Jeśli one będą do zaakceptowania i jeśli diagnoza będzie oczywiście taka, że te globalne moce rzeczywiście zagrażają stabilności porządku państwa, to niewątpliwie zmiana nastąpi.

Jedna sprawa, o której nie wspominałem, jeżeli chodzi o państwo. Dzisiaj często się zastanawiamy, jaka jest rola Niemiec w zjednoczonej czy jednoczącej się Europie i nie jest to tylko akademicka dyskusja. Za tym tkwi świadoma bądź nieświadoma opcja historyzoficzna. Mianowicie, państwo jest jednym ze sposobów osiągnięcia czegoś przez podmioty zbiorowe, podmioty dziejowe. Jeżeli zastanawiamy się, jakie plany mają Niemcy, to w mniej lub bardziej udolny sposób adresujemy ten problem – roli państwa narodowego jako podmiotu dziejowego. Narody po prostu też chcą coś osiągnąć. To nie jest

żadna hipostaza. To jest tylko przypomnienie tego, że historia Europy w ciągu ostatnich stu lat wyglądała tak, a nie inaczej. Nie dlatego, że mieliśmy udolnych bądź nieudolnych, szalonych bądź tchórzliwych przywódców politycznych, ale dlatego, że państwa narodowe są także podmiotem dziejowym. Państwa też chcą coś osiągnąć. Jeśli mówimy o Chinach lub Indiach czy ograniczamy się do Europy i mówimy o Niemczech, to adresujemy ten problem. To nie jest problem, którego intelektualnym rozwiązaniem jest jakiś rodzaj związku czy forma globalnego suwerena, bo kto miałby być suwerenem? Wówczas pojęcie „suwerena” straciłoby sens.

Renata Siemieńska-Żochowska

Jakieś trzydzieści, czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu uczyliśmy się – i to zostało tutaj zaakcentowane – że państwo jest potrzebne do budowania tożsamości narodu, sprzyja tworzeniu narodu. O tym byliśmy przekonani, sięgaliśmy do rozwoju ekonomicznego XIX wieku, z kolei XX wiek to większe rynki, organizacja, kontrola, przymus. Niemniej byłabym ogromnie wdzięczna, gdyby któryś z prelegentów był uprzejmy ustosunkować się do zjawiska, które obserwujemy. Mam na myśli to, że te państwa, które dawaliśmy jako przykłady, również studentom, i czytaliśmy o nich: Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Hiszpania, one przeżywają problem, ponieważ ludzie tam mieszkający, na przykład Niemcy, mówią: „Dlaczego my, Bawarczy, mamy płacić tym słabszym regionom? To może by to podzielić jednak ekonomicznie, bo my tak z nimi nie czujemy się bardzo związani?”. Następuje zatem pewna erozja wspólnoty. Jeżeli popatrzymy na Belgię, to przecież jest ona wstrząsana problemem: „Dlaczego my mamy tkwić w tym jednym państwie?”. W Hiszpanii, co oczywiście nie trzeba przypominać, problem utrzymania jedności jest bardzo częsty. Czyli można postawić hipotezę, że mamy do czynienia z pewną trajektorią: te państwa pomogły tworzyć tożsamość narodową, ale coś się stało z substratem ludzkim: to nie są już ci sami ludzie, to są ludzie wyedukowani, a poziom edukacji wzrósł bardzo. Wiemy też z przykładu Związku Radzieckiego, że poziom edukacji nie sprzyja tworzeniu sowieckiego człowieka, bo ci ludzie sobie uprzytamiali, że oni są Czeczenami itp. Być może to państwo, które istniało, które świadczyło usługi również w sensie edukacji i działało na rzecz podniesienia poziomu życia w Europie, sprzyja teraz pewnym tendencjom odśrodkowym: rodzeniu się nowych tożsamości i potrzeby tworzenia jakichś innych państw lub regionów. Myślę, że ten proces warty jest zauważenia, że jest to proces dynamiczny, w którym lud nie jest tym

samym ludem, który kiedyś był zarządzany przez państwo. Ten lud dzisiaj już czegoś innego oczekuje, część tego ludu ma już inne ambicje.

Jeśli można jeszcze coś dodać w kwestii problemu zarządzania miastem: to naturalnie ładnie brzmi. Jeśli jednak popatrzymy na przykłady – nie szukając nawet w Azji, gdzie są olbrzymie slumsy, gdzie nie ma mowy o rozwiązywaniu problemów, bo nikt nie zamierza ich rozwiązywać. Jeżeli popatrzymy nawet na Europę, choćby na Paryż, to widzimy miasto, które jest co jakiś czas wstrząsane zajściami, ponieważ jest napływ imigrantów i mimo że władze francuskie prowadzą politykę asymilacji, zaspokajania potrzeb w różnych wariantach, to jednak nie jest to takie proste. Dlatego myślę, że na pewno powstaje problem tworzenia jakichś innych jednostek dla ludzi, innych niż państwo, ale to wcale nie oznacza, że właśnie miasto jest tym czymś, co potrafi rozwiązać problemy tam, gdzie one faktycznie istnieją.

W badaniach *World Values Survey*, które robiłam w 2012 roku, pojawił się wyraźny trend, gdy porównywałam je z wcześniejszymi wynikami. Pojawił się typ dualizmu tożsamości. Z jednej strony wzrasta poczucie przywiązania do społeczności lokalnej. Z drugiej strony coraz więcej Polaków czuje się Europejczykami, i między tymi tożsamościami nie ma konfliktu. We Włoszech była obawa, że w przyszłości staniemy się obywatelami planety, a już nie Unii Europejskiej. Okazuje się, że tak nie jest: ludzie tworzą bardziej skomplikowane tożsamości, których wcale nie uważają za konfliktowe.

Witold Morawski

Padło tutaj pytanie o *governance*. To jest piękna problematyka. Jako „ustratifikowane rządzenie” właściwie jest nie do uniknięcia, ale ten temat rzeczywiście nie został tutaj poruszony. Coś jest nad państwem, coś poniżej państwa, więc to jest dobra uwaga. W ogóle jest problem z przetłumaczeniem tego pojęcia: ja to tłumaczę jako „rządzenie”, inni, na przykład Jerzy Hausner, jako „współzarządzanie”, czyli jest to trochę takie słowo-zagadka.

Jerzy Wiatr

Ja tylko jedną rzecz dodam w związku z głosem prof. Siemieńskiej-Żochowskiej. Te ruchy separatystyczne oczywiście świadczą o tym, że idea państwa narodowego nie jest martwa, ale równocześnie warto zwrócić uwagę na to, że żaden z tych ruchów nie zyskał dostatecznego poparcia, żeby doprowadzić do secesji. Zatem ostatecznie idea wspólnego państwa ciągle dominuje i w Kanadzie, i w Hiszpanii, i w Belgii.

Aleksandra Jasińska-Kania

Ale Jugosławia się rozpadła, Czechosłowacja się rozpadła i jeszcze kilka innych państw.

Jerzy Wiatr

Tak, ale to państwa federacyjne.

Zygmunt Bauman

Helmut Kohl stwierdził, że Słoweńcom trzeba dać niepodległość, bo są jednolici etnicznie. To było hasło odwoławcze dla czystek etnicznych w Jugosławii, ale to tylko tak nawiasem mówiąc.

Wspólnym wysiłkiem stworzyliśmy wspaniały obraz stopnia skomplikowania dzisiejszego świata. Dodaliśmy mnóstwo alternatyw do tej zawartej w tytule dyskusji, czyli alternatywy między zmierzchem a rozkwitem. Bardzo trafnie powiedział Václav Havel, który doświadczył życia społecznego i polityki od każdej z jej stron, bo był zarówno w lochach, jak i w pałacu prezydenckim. Swoje doświadczenia spointował takim oto zwrotem: „Żeby przewidywać historię, trzeba wiedzieć, jakie pieśni naród skłonny jest śpiewać”. Tylko zaraz po tym dodał, że szkopuł tkwi w tym, iż żadną miarą nie można przewidzieć, jakie pieśni naród będzie chciał śpiewać następnego roku. Tu jest cały ten problem i on się potwierdza w każdym miejscu. Ja mogę tylko zaprezentować swoje stanowisko w krótkich punktach.

Między Treitschkem a Mazzinim, między Dmowskim a Piłsudskim nie można wybierać. To nie są stanowiska, według mnie, „albo–albo”, lecz są to stanowiska „i – i”; elementy jednego i drugiego muszą występować. Jest po prostu tak, że jeżeli przyjmie się stanowisko Jürgena Habermasa patriotyzmu konstytucyjnego i się zrealizuje jego postulaty, to liczba członków narodu się powiększy, ale treść pojęcia narodu się bardzo zuboży. Taki będzie rezultat.

Druga sprawa, czego mi zabrakło w naszej dyskusji, choć było w niej wiele wątków. Zabrakło mi zjawiska diasporyzacji, która bardzo wspiera reguły gry. W samej Brazylii jest 70 urugwajskich diaspor: religijnych, językowych. Żadna z ich nie zamierza rezygnować ze swojej tożsamości, w przeciwieństwie do tego, co się działo z ich przodkami sto lat temu. Oni chcą być lojalni, płacić podatki, ale zarazem zachować swoją odrębność religijną, etniczną, językową. Powstaje zatem pytanie: czy ta historycznie utworzona więź terytorium i narodu jest dziełem Bożym, jest uniwersalną zasadą ludzkiej organi-

zacji, czy też jest epilogiem historycznym? Czy Polacy w Londynie, a jest ich tam 1,5 miliona w Anglii i Irlandii, czy oni są Polakami, gdy przejdą Wisłę i przejdą Wartę? Prof. Wesołowski mówił o wpływie internetu, możliwości komunikowania się na odległość, która zastępuje wysyłanie pocztówek. Młodzi opanowali tę sztukę. Otóż w tych warunkach kwestie terytorialne tracą na wadze przy kwestiach kulturowego utożsamiania się narodu. Ale poza separacją kwestii narodowości, kwestii miejsca zamieszkania, pobytu w terenie, terytorium ciągle można być członkiem narodu, jak to kiedyś było w Imperium Rzymskim, które wytrzymało sześćset lat.

Druga rzecz, która wynika z diasporyzacji, to konieczność sztuki życia na co dzień z różnicą. Otóż w ostatnich czasach rzeczywiście przybysze do kraju byli – jak to mówił Dmowski – gośćmi i tak byli traktowani, a jeśli chcieli przestać nimi być, to musieli się zasymilować, czyli zrezygnować ze swojej tożsamości. Teraz ta rzecz odpada; nie jest przejściowym kłopotem sąsiedztwo ludzi biednych, którzy z natury rzeczy są niewygodni w swoim sąsiedztwie, bo trudno przewidzieć ich zachowania, budzą strach, czasami mogą wręcz odrażać. W związku z tym, że ta perspektywa przebywania w towarzystwie odmieńców to nie jest przejściowy kłopot, gdyż tak już będzie w wyniku diasporyzacji przez długie lata, musimy stworzyć nową sztukę życia, życia zróżnicowanego, co jest niezmiernie ważne i trudne. Z tego powodu sądzę, że wymiaru kulturowego w naszej dyskusji trochę zabrakło. W gruncie rzeczy uważam, iż bez mini-rewolucji kulturowej tu się nie obejdzie.

Jacek Raciborski

Mam wielką satysfakcję z tej dyskusji. Bardzo się cieszę, że osiągnęliśmy zgodę co do rangi tej problematyki, że zgadzamy się iż państwo stanowi nadal wielkie wyzwanie teoretyczne i praktyczne. Ten temat znajduje się w centrum zainteresowań moich i mojego zespołu. Jako Zakład Socjologii Polityki rozpoczynamy teraz projekt badawczy zatytułowany „Państwo współczesne: style działania”. To, co tutaj było mówione, będzie dla nas źródłem inspiracji i będziemy mogli o tym później pisać także na łamach „Studiów Socjologiczno-Politycznych. Seria Nowa”. Zapis dyskusji zostanie opublikowany w numerze drugim. Nie zamknie to naszego zainteresowania tą problematyką. Bardzo Państwu dziękuję za udział w dyskusji. W szczególności dziękuję Profesorowi Baumanowi za przygotowanie wprowadzenia.

Dyskusję opracował Michał Bielecki

A R T Y K U Ł Y

Błażej Popławski

Polskie Towarzystwo Afrykanistyczne*

NACJONALIZM IWORYJSKI

■ Narody w świecie postkolonialnym

Malcolm Hailey (1872–1969), brytyjski lord, urzędnik kolonialny, autor licznych prac o narodzinach narodu indyjskiego, w opublikowanym w 1937 roku artykule stwierdzał, że niedostrzeżenie przez Europejczyków narastania ideologii nacjonalistycznej w Afryce wkrótce srodze się na nich zemści. Pisał: „w przypadku wykształcenia się świadomości narodowej, powstanie nowy fenomen, ale i wytworzy się nowy problem” (Hailey 1937: 134). Stwierdzenia takie jak to świadczyły bardziej o lękach Starego Świata, niż o zrozumieniu złożonej problematyki i dynamicznego charakteru identyfikacji społecznej w Afryce. Sir Hailey nie próbował dokonywać naukowej analizy przyczyn procesów narodotwórczych w Afryce. Jego refleksja o nacjonalizmie jest esencjalistycznym spojrzeniem zafrapowanego urzędnika kolonialnego, „przeczuwającego”, że Czarny Ląd wkrótce przeistoczy się w laboratorium polityczne, w którym zniewolenie kolonialne zastępowane będzie przemocą nacjonalistyczną, a dyskurs imperialny – etniczną mową nienawiści.

W momencie, gdy lord Hailey pisał powyższe słowa, od konferencji berlińskiej i „rozbioru” Afryki między potęgi europejskie minęło pół wieku. Ich granice nie korespondowały ze strukturą etniczną. Kolejne traktaty pokojowe, kończące wojny światowe, nie wpłynęły znacznie na poprawę losu ludów kolonialnych. Zmieniały się jedynie instrumenty administracji i formy eksploatacji ekonomicznej Afrykanów. Dopiero po drugiej wojnie, a tak naprawdę w latach pięćdziesiątych dyskusja nad suwerennością ludów kolonialnych nabrała nowego charakteru. Mapa polityczna Afryki z końca lat sześćdziesiątych

* E-mail: blazej@afrykanista.pl.

zmieniła swoją barwę. Powstały nowe kraje – pozornie niepodległe, a w rzeczywistości pozostające w silnej zależności od byłych metropolii.

Proces samostanowienia państw Czarnego Łądu miał od początku charakter reglamentowany, podatny na szereg uwarunkowań natury wewnętrznej i geopolitycznej. Sam moment proklamacji niepodległości jest dość sztuczną cezurą dla badacza identyfikacji narodowościowej. Formowanie się tożsamości wspólnotowej to proces o wiele dłuższy, ściśle powiązany z transformacją struktur społeczno-gospodarczych. W tym artykule scharakteryzowano rozwój identyfikacji narodowej Iworyjczyków¹ – mieszkańców Wybrzeża Kości Słoniowej (WKS), byłej kolonii francuskiej, niepodległej od 1960 roku.

■ Narodziny ideologii nacjonalistycznej w Wybrzeżu Kości Słoniowej

Zręby identyfikacji narodowościowej wykształciły się w Wybrzeżu Kości Słoniowej jeszcze w okresie kolonialnym². Wiązać je należy z rozwojem ruchów religijnych oraz agrarystycznych – funkcjonujących bez wiedzy i często też wbrew władzom francuskim. Przykładem sekty religijnej działającej w czasach kolonialnych, której wpływ jest zauważalny do dzisiaj, jest harrizm – utworzony przez liberyjskiego kaznodzieję Williama Wadé Harrisa (ok. 1860–1929). Ten nawrócony na protestantyzm czarownik z plemienia Kru i hipnotyzer (Komorowski 1966: 25) propagował na wybrzeżu Zatoki Gwinejskiej indygenistyczną wersję chrześcijaństwa. Mieszkańcy regionu, uczęszczając na wiece religijne, brali udział w dyskusjach nad przyszłością kolonii. W trakcie tego typu egalitarnych spotkań rodziła się świadomość wspólnoty losów – nie tylko

¹ W artykule przyjęto używać określenia Iworyjczyk, Iworyjka (franc. *Ivoirien, Ivoirienne*) wobec mieszkańców czy obywateli Wybrzeża Kości Słoniowej. W pracach Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami Polski przy Głównym Geodecie Kraju nie występują określenia konkurencyjne wobec „mieszkaniec czy obywatel Wybrzeża Kości Słoniowej” (*Nazwy państw świata, ich stoli i mieszkańców* 2004: 47–48). Zgodnie z regułami słotwórczymi mieszkańca tego kraju należałoby tłumaczyć jako „Wybrzeżo-kościłosłonianin” lub – zgodnie z transkrypcją fonetyczną – „Iwluarianin”, jednak te nazwy nie są używane. *Ivoirien* oddano jako „iworyjski”. *Ivoirité* – oznaczającą tożsamość społeczno-narodową mieszkańców – spolszczono jako „iworyjskość”.

² Początek zinstytucjonalizowanej kolonizacji francuskiej terenów dzisiejszego WKS przypada na XVII wiek. W 1844 roku admirał, gubernator Senegalu Louis Édouard Bouët-Willamez podpisał z władcami Akan porozumienie uznane za oficjalne objęcie protektoratem ludności Anji i Baoulé. Obszar ten stał się kolonią *de iure* w 1893 roku. Wielka Brytania uznała nabytki terytorialne Francji w tym regionie dopiero w 1889 roku.

religijnych. Tworzyły się też resentymenty i uprzedzenia, powstawał religijno-natywistyczny podział na „swoich” i „obcych” (McGovern 2011: 92–93).

Z kolei organizacje agrarystyczne, w porównaniu do stowarzyszeń religijnych, miały początkowo charakter bardziej elitarystyczny – zrzeszały liderów wspólnot wioskowych, lokalnych przywódców pochodzących z większych grup etnicznych³. Czynnikiem jednoczącym ich wysiłki był opór wobec opresywnej polityki Francuzów, nakładających coraz większe obciążenia na kolonie. Jak pisał Craig Calhoun (2007: 162): „Kolonializm przyczynił się do rozwoju nacjonalizmu nawet starając się stawiać mu opór. W większości miejsc obecność i władza kolonialnego reżimu stymulowała afirmację lub rozwój tożsamości narodowej jako przeciwwagi i podstawy oporu. W wielu przypadkach kolonialna ideologia stymulowała nacjonalizm, głosząc, że wśród ludów brakuje jedności (...) i zdolności do samoorganizacji”.

W WKS to rynek wytwórców surowców plantacyjnych stał się modelowym miejscem stwarzającym możliwości samoorganizacji polityki narodowościowej i kolebką iworyjskiej sfery publicznej. Hasła sprzeciwu wobec zasad „pracy przymusowej”⁴ na plantacjach kakao⁵ jednoczyły drobnych rolników, a ruch zyskiwał charakter coraz bardziej inkluzywny. Rozwijała się jednocześnie świadomość potencjału gospodarczego regionu – przeświadczenie, że eksport kakao i kawy może być rozwijany bez kontroli europejskiej. Produkty plantacyjne – obce Afryce i przywiezione przez Europejczyków z Ameryki

³ Współcześnie populacja WKS liczy 22–23 mln ludzi. Składa się na nią ponad 60 grup etnicznych, z których największe to: Akan (ok. 40% ludności kraju zamieszkałe na południu i w pasie centralnym; spośród nich Baoulé stanowią ok. 25% ludności całego kraju); ludy woltyjskie Gur (ok. 20% populacji WKS zamieszkałe na południu; największe zespoły tworzą Senufowie, Bobo i Lobi); Kru (ok. 10% ludności kraju; głównie przedstawiciele grupy etnicznej Bété) oraz Mande (ok. 20%; na północy kraju największe grupy tworzą Bambara, Dioula). Największe skupiska nie-Afrykanów tworzą Libańczycy (100–130 tys.) i Francuzi (20 tys.). Sytuację Libańczyków porównać można do statusu Hindusów w Afryce Wschodniej bądź Ormian w południowo-wschodniej części Europy na początku XX wieku – stanowią oni niezwykle ważne ogniwo w handlu regionalnym, nie angażując się przy tym w świat polityki (Popławski 2013a: 21–29).

⁴ *Travail forcé* została narzucona mieszkańcom kolonii francuskich na podstawie wprowadzonego w 1881 roku Kodeksu tubylczego (fr. *Code de l'indigénat*). *De facto* stanowiła ona zamiennik zakazanej już wówczas pracy niewolniczej.

⁵ WKS jest głównym eksporterem kakao na świecie. Z kraju tego pochodzi blisko 1/3 światowych zbiorów ziarna kakaowca. To główny towar eksportowy WKS – inne, mniej istotne dla lokalnej ekonomiki, to kawa i kaczuk. Szerzej o roli WKS w gospodarce kakaowej zob. Popławski (2013b: 305–326).

Południowej – urastały do miana „hieroglifów społecznych”, dóbr narodu (jeszcze bez państwa) (Chauveau, Colin 2010).

Katalizatorem zmiany identyfikacji narodowej w koloniach francuskich stały się dwie wojny światowe. Z frontów w Europie i Azji wracali nad Zatokę Gwinejską żołnierze, którzy – uczestnicząc w konflikcie globalnym – zrozumieli potencjał tkwiący we wspólnocie narodowej oraz dostrzegli, że ład kolonialny jest konstruktem chwiejnym. Ich opinie trafiały na podatny grunt. Rozprzestrzenianiu się haseł nacjonalistycznych sprzyjała postawa części *évolués*. Mianem tym określa się grupę społeczną Afrykanów wykształconych na uniwersytetach francuskich, która – wracając do ojczyzny – stawała się nośnikiem nowych idei (Genova 2004). W tym wymiarze nacjonalizmu europejskie stawały się punktem odniesienia dla kształtowania idei narodowych na Czarnym Lądzie.

Aktywizacji ruchów narodowych we Francuskiej Afryce Zachodniej⁶ sprzyjała regionalizacja władzy kolonialnej. Stopniowe odchodzenie od wizji imperium kolonialnego i równoczesne zwiększenie znaczenia lokalnych struktur pogłębiło świadomość autonomiczności na terenach dzisiejszego WKS. Równoległe kształtowały się coraz wyraźniejsze orientacje ideologiczne Iworyjczyków. Powstawały pierwsze partie polityczne i związki zawodowe, wyłaniali się liderzy odwołujący się do haseł nacjonalizmu. W 1944 roku utworzono Afrykański Związek Rolniczy (Syndicat Agricole Africain) – organizację broniącą praw plantatorów, postulującą emancypację gospodarczą kolonii i, co należy podkreślić, jawnie artykułującą swoje żądania przed władzami kolonialnymi. W dyskursie działaczy związkowych hasła ekonomiczne przeplatały się z politycznymi, postulaty suwerenności gospodarczej wiązano z niezależnością od kolonii. Spiwem dla ruchu była ideologia narodowa, silnie oparta na wspólnocie losów i prawie własności ziemi. Dyskurs ten zawierał zarówno komponenty tradycjonalistyczne (znaczenie ziemi i relacji rodzinnych, wartości komunitariańskich charakterystycznych dla kultur Czarnej Afryki), jak i nowoczesne (emancypacja polityczna, demokratyzacja władzy, apele o modernizację rolnictwa). Wzrost identyfikacji społecznej plantatorów stał się kluczowym elementem iworyjskiej idei protonarodowej.

⁶ Francuska Afryka Zachodnia (Afrique-Occidentale Française) stanowiła federację zrzeszającą osiem kolonii, ze stolicą w Dakarze. Powołano ją do życia w 1904 roku.

■ Ojciec narodu

Twórcą państwowości iworyjskiej, a także idei narodu iworyjskiego, był Félix Houphouët-Boigny⁷ (1905–1993). Jego autorytet społeczny opierał się na łączeniu tradycji (był wodzem tradycyjnym z okolic dzisiejszej stolicy – Jamusukro, następcą królowej Kuassi N’Go, jednym z najpotężniejszych plantatorów iworyjskich) z nowoczesnością (zdobył elitarne wykształcenie w senegalskiej École de formation d’instituteurs William Ponty⁸, był lekarzem oraz urzędnikiem państwowym – *chef de canton* regionu Akouè, parlamentaryzstą we francuskim Zgromadzeniu Narodowym, kilkakrotnym ministrem, liderem ruchów związkowych w WKS). Te dwa komponenty – jeden sięgający w daleką (bardziej afrykańską), a drugi w bliższą (bardziej europejską) przeszłość – stały się podstawą budowania wizji narodu iworyjskiego.

Houphouët-Boigny w 1946 roku stanął na czele nowo utworzonej Partii Demokratycznej Wybrzeża Kości Słoniowej (Parti Démocratique de Côte d’Ivoire; PDCI), stanowiącej gałąź Afrykańskiego Ruchu Demokratycznego (Rassemblement Démocratique Africain; RDA) (Amondji 1986). Ugrupowanie to do dziś dominuje na iworyjskiej scenie politycznej. Immanuel Wallerstein, pisząc o formowaniu się ideologii politycznej PDCI, nazywał proces ten propagowaniem idei nacjonalistycznej – wizji narodu młodego, szukającego tożsamości i odnajdującego ją dzięki osobie charyzmatycznego przywódcy. Pisał: „Iworyjczycy w okresie od drugiej wojny światowej do rozpadu systemu kolonialnego mawiali: «Jeżeli jestem zawsze z RDA, to z powodu Houphouëta-Boigny»” (Wallerstein 1964: 160).

W ideologii państwo- i narodowotwórczej Houphouëta-Boigny dostrzec można wyraźne inspiracje francuską wersją „kultu jednostki” – gaullizmem.

⁷ Polityk urodził się jako Dia Houphouët. Dia w języku baule oznaczało proroka. Imię Félix – „szczęśliwy” – przyjął podczas chrztu w okresie nauki w liceum. Boigny to przydomek dodany do nazwiska w okresie intensyfikacji działalności politycznej. Buani w języku baule oznacza przewodnika stada.

⁸ Seminarium nauczycielskie, początkowo działające jako szkoła dla synów notabli i tłumaczy, z czasem otwierające kolejne, nie tylko pedagogiczne katedry. Instytucja ta stanowiła jeden z filarów nowoczesnego systemu edukacyjnego we Francuskiej Afryce Zachodniej. Jak pisał antropolog Ryszard Vorbrich (2012: 227): „W szkołach typu zachodniego, zwłaszcza francuskich, młodzi Afrykanie poddawani byli swoistej pedagogice wstydu i potrzebie jej przeobrażenia na wzór podsuwany przez kolonizatorów. Tak wychowani młodzi Afrykanie łatwiej mogli stać przedmiotem manipulacji. Z jednej strony jako wzór do naśladowania wskazywano im cywilizację i historię francuską (...), z drugiej zaś deprecjonowano kulturę rodzimą”.

Biografowie polityka (w realiach iworyjskich to najczęściej hagiografowie, zob. Siriex 1975, 1986) podkreślają szacunek, jakim darzył on Charles'a de Gaulle'a (1890–1970). Uznaje się go także za twórcę terminu *Françafrique* – postkolonialnego uzależnienia byłych kolonii od metropolii⁹. Wybrzeże Kości Słoniowej w okresie rządów Houphouëta-Boigny zaliczane było, obok Senegalu, Togo i Gabonu, do afrykańskiego „przedmurza” Francji – obszaru uprzywilejowanego w geopolityce byłego kolonizatora.

Z pewnością w wyborach politycznych Houphouëta-Boigny (zacieśnienie relacji z Francją, antykomunizm, sceptycyzm wobec idei integracjonizmu) nietrudno dostrzec zjawisko charakterystyczne dla wielu afrykańskich mężów stanu, które nazwać można „mimikrą postkolonialną”. Iworyjski polityk przejął sposób sprawowania władzy od kolonizatorów, próbował odtworzyć wizję państwa i narodu, a nawet i *civilisation française*. Konstytucja WKS wzorowana była na Konstytucji V Republiki Francuskiej z 1958 roku – w dokumencie tym przeczytać można między innymi: „Republika Wybrzeża Kości Słoniowej jest jedna i niepodzielna, laicka, demokratyczna i społeczna. Jej zasadą są rządy narodu sprawowane przez naród dla narodu. (...) Republika zapewnia wszystkim równość wobec prawa niezależnie od pochodzenia, rasy, płci lub religii. Szanuje ona wszelkie wierzenia. Wszelka propaganda partykularystyczna o charakterze rasowym lub etnicznym, wszelkie przejawy dyskryminacji rasowej są karane przez prawo” (*Konstytucje państw afrykańskich* 1965: 265). Z kolei flaga WKS przywołać może na myśl – nieco wypłowiałą – wersję flagi francuskiej. Składa się z pasa pomarańczowego (symbol sawanny i ludów północy), białego (symbol zgody i czystości) oraz zielonego (symbol żyznych pól i lasów na południu kraju). Przypomina *Tricolore*, aczkolwiek dyskretnie akcentuje wartości rdzennie afrykańskie oraz pluralizm w społeczeństwie postkolonialnym. Jak pisał Michael Billig (2008: 165), „banalne symbole «naszej» specyfiki są również banalnymi symbolami «naszej» uniwersalności”.

Politolodzy, analizując ideologię Houphouëta-Boigny, często posługują się określeniem „houphouetyzm”. Według Bara Ndiaye (2011: 172), houphouetyzm to „spuścizna polityczna, styl politycznego rządzenia, a co najważniejsze teoria polityczna (...). Można zdefiniować to zjawisko jako zbiór zasad oraz praktyk funkcjonujący jako system odniesienia w kulturze politycznej,

⁹ Pojęcia *Françafrique* jako pierwszy użył Houphouët-Boigny. Głównym architektem geopolitycznej konstrukcji „Mafiafrique” – jak często nazywano strategię Francji wobec Afryki – był jednak Jacques Foccart (1913–1997), polityk, dyplomata, wieloletni sekretarz generalny ds. afrykańskich w kancelarii prezydenta Francji, nazywany „Panem Afryką” (*Monsieur Afrique*) (Keese 2008).

uznany społecznie, ale nie konceptualizowany i różnie oceniany”. Houphouëtizm jest trudny do jednoznacznej klasyfikacji w oparciu o europejskie etykiety ideologiczne. Niewątpliwie w modelu tym centralne miejsce zajmował naród iworyjski, choć Houphouët-Boigny wolał unikać tego określenia. Houphouëtizm – jako ideologia państwowa – opierał się na dwóch fundamentach: gaullizmie i filozofii grupy etnicznej Akan. Dokonywanie porównań między nimi może wydawać się karkołomne, warto jednak dostrzec elementy wspólne dla modelu prezydentury francuskiej i wodzostwa ludów z Afryki Zachodniej. W obu systemach wspólnotą narodową powinien kierować charyzmatyczny lider. Gaullizm – czerpiąc z tradycji bonapartystowskiej – kreował autorytet władzy w oparciu o legitymizację ludową, odwołanie się do stylu uprawiania polityki „ponad podziałami” oraz wiary w projekt modernizacji struktur państwa. Z kolei źródłem legitymizacji władcy Akan – *a priori* – nie był konsensus społeczny, lecz założenie o nieomylności przywódcy, który posiada uprawnienia do kierowania innymi grupami etnicznymi (Toungara 1990). Mit ten, jak pisze Ndiaye (2009: 127), stanowił także „element pseudonaukowego dziedzictwa kolonialnego, hierarchizującego rasy na podstawie istnienia państwa, rozwoju piśmiennictwa oraz literatury”.

Houphouët-Boigny był sceptyczny wobec idei integracji panafrkańskiej. W jego polityce można dostrzec stosunkowo wąski horyzont percepcji polityki, zbliżony do etnocentrycznej wizji władzy arystokracji Baoulé (podgrupy Akan, z której wywodził się sam prezydent). Naród iworyjski, zgodnie z filozofią polityczną houphouëtizmu, był zatem „narodem wybranym” Baoulé, których mesjanistycznie predestynowano do sprawowania władzy nad całym społeczeństwem. Taki model nacjonalizmu bliski jest koncepcjom Ernesta Gellnera. Według niego, jednostki polityczne powinny się pokrywać z jednostkami narodowościowymi. Państwo narodowe – starsze od samego narodu, połączone z narodową kulturą i będące dobrem chronionym – jest naturalną jednostką polityczną, która wykształca się w trakcie modernizacji systemów polityczno-gospodarczych (Gellner 1991: 9, 14). Model narodu iworyjskiego z czasów Houphouëta-Boigny cechował się jednak pozorną, deklarowaną inkluzywnością. W rzeczywistości wszelkie korzyści ze wzrostu gospodarczego trafiały do wąskiej klienteli etnicznej prezydenta (Chappell 1989). Inne plemiona, zwłaszcza Bété i Dioula, podlegały wieloaspektowej marginalizacji, a opozycję odcinano od sceny politycznej¹⁰. Formowanie elit

¹⁰ Już na samym początku prezydentury Houphouët-Boigny szybko usunął głównych oponentów politycznych, zmuszając do opuszczenia kraju wicepremiera Jeana-Baptiste’a Mockeya – oskarżył go o *complot du chat noir* (dosłownie: konspirację czarnego kota), czyli stosowanie praktyk czarnej magii w polityce (Diarra 1997).

politycznych objęło także elity wojskowe. Obawiając się zamachu, Houphouët-Boigny zdecydował się też na ograniczenie potencjału armii iworyjskiej, powierzając kwestie obronności kontyngentom francuskim, które stacjonowały w WKS.

Jak pisał Anthony D. Smith (2009: 103), „państwa stały się produktem nie jakiegoś dążenia do jedności kulturowej, ale potrzeby zabezpieczenia bogactwa i przywilejów małej klasy rządzącej, żyjącej ze specjalistycznych usług podporządkowanych warstw społecznych”. Ideał homogeniczności traktowany był w WKS synonimicznie wobec asymilacji społeczeństwa z elitą rządzącą (wywodzącą się w większości z ludów Akan). Główną płaszczyzną do eliminacji napięć etnicznych Houphouët-Boigny uczynił partię. Trafnie proces między ewolucją rządów w stronę autorytaryzmu a nacjonalizacją dyskursu politycznego w Afryce scharakteryzował antropolog Ryszard Vorbrich (2012: 281): „Elity afrykańskie budujące państwo, zaklinające jedność (...), a jej największego wroga upatrujące w plemienu (synonimie zacofania i tendencji odśrodkowych), sięgnęły po płytko sformułowaną koncepcję systemu jednopartyjnego, w którym supremacja jedynej partii miała być zarazem instytucjonalnym gwarantem integralności nowej wspólnoty – narodowej. Afrykańskie ideologie narodowe budowane były od początku w opozycji do koncepcji wielopartyjnych oraz ideologii panetnicznych”.

WKS stało się zatem państwem monopartyjnym, quasi-dyktaturą, o której stabilności na kilka dekad zadecydowała pomyślna koniunktura w handlu „czarnym złotem” – kakao. Budowanie potęgi wokół eksportu surowców nieprzetworzonych wiązało się ze stymulowaniem migracji do WKS taniej siły roboczej z krajów ościennych. W efekcie odsetek migrantów z Mali i Burkina Faso w społeczeństwie iworyjskim rósł z roku na rok. Od końca lat dziewięćdziesiątych XX wieku *allogènes* (obcy) stanowią blisko jedną czwartą populacji całego kraju.

Proces kształtowania się nowoczesnego państwa przebiegał jednocześnie z kształtowaniem się identyfikacji narodowej Iworyjczyków. Rozwój biurokracji na szczeblu centralnym i w interiorze, procesy terytorializacji i standaryzacji, wprowadzenie dowodów osobistych czy prawa jazdy, dostępność map i nauczanie geografii afrykańskiej w szkołach, usprawnienia komunikacji, rozwój – jak pisał Benedict Anderson (1997) – dyskursywnego piśmiennictwa, obowiązek szkolny oraz zwiększenie oferty uniwersyteckiej, spisy ludności, powołanie do życia instytucji statystycznych, prowadzenie nowoczesnej polityki ludnościowej – wszystkie te zjawiska były obce tradycyjnym kulturom Afryki. Ich implementacja, która odbywała się za namową polityków i naukowców, wprowadzała sztuczne, rzekomo obiektywne kryterium podziału

na swoich i obcych, lepszych i gorszych. Obiektywizacja i biurokratyzacja identyfikacji narodowej wymuszała na obywatelach WKS – zwłaszcza mieszkańcach metropolii i regionów o największej mobilności – dokonanie wyboru tożsamości. Narodowość iworyjska stała się w okresie I Republiki elementem szerszego procesu wyobrażenia świata jako mapy gospodarczej – plantacji kakaowca zarządzanych przez ludy Akan i kontrolowanych przez elitę PDCI (Dozon 2009).

■ Dobro narodowe

Według Benedicta Andersona (1997: 51), „«ostatnia fala» nacjonalizmów, głównie w krajach kolonialnych Afryki (...), była w swej istocie reakcją na rodzaj globalnego imperializmu, jaki wykształcił się dzięki osiągnięciom kapitalistycznego przemysłu”. Warto pokrótce przybliżyć ewolucję postkolonialnego modelu plantacyjnego, którego głównym architektem był Houphouët-Boigny, a który to zdecydował o „cudzie gospodarczym” WKS. W istocie, rozwiązania ekonomiczne przyjęte przez Houphouët-Boigny wyznaczyły ramy do formowania się narodu iworyjskiego. System ten opierał się na założeniu o wewnętrznej kolonizacji WKS: zmianie stosunków władzy i podległości bez przesunięcia granic państwa, ale z poszanowaniem mistycznego przywiązania i szacunku wobec ziemi przodków.

Na czym owa wewnętrzna kolonizacja polegała? Na jednoczesnym stymulowaniu migracji z biedniejszych państw ościennych, zatrudnianiu migrantów do pracy fizycznej na plantacjach oraz blokowaniu kanałów awansu społecznego. Migranci z krajów ościennych mieli zastąpić na plantacjach rodowitych Iworyjczyków – „weszli we wzajemne horyzontalne stosunki rywalizacji i zostali objęci hierarchią zawodową o ważnym wymiarze etnicznym” (Eriksen 2013: 124). Z kolei Baoulé mieli się wcielić w rolę, którą wcześniej pełnili Francuzi – nadzorców i głównych beneficjentów gospodarki kakaowej. Grupy etniczne „pojawiły się na nowo jako grupy interesu, zorganizowane na podstawie tożsamości etnicznej, języka, pokrewieństwa, ziemi przodków i mitów założycielskich” (Eriksen 2013: 125).

Houphouët-Boigny odtworzył do pewnego stopnia model polityki migracyjnej charakterystyczny dla Francji doby merkantylnizmu. W ustroju absolutystycznym migrantów traktowano bowiem jako element wzbogacający gospodarkę. Starano się jednak ściągać tylko tych migrantów, którzy byli potrzebni. Asymilacja kulturowa odgrywa rolę drugorzędną. Priorytetem zdawał się być szeroko rozumiany postęp społeczeństwa – *de facto* ograniczony do wzrostu gospodarczego (Moffat 1928). WKS, zarządzane przez Houphouët-Boigny,

rozwijało się przez pierwsze dwie dekady od uzyskania niepodległości w tempie „azjatyckich tygrysów”.

Intensyfikacja systemu upraw plantacyjnych sprzyjała wyodrębnianiu się zamożnej elity, ściśle powiązanej z aparatem władzy. Splot interesów gospodarczych z racją stanu wzmacniał tożsamość społeczno-narodową elit. Z kolei polaryzacja ekonomiczna wpływała na narastanie konfliktów społecznych, których osią była plemienność. Druga z płaszczyzn analizowanego procesu wiązała się z subiektywnym postrzeganiem cudu gospodarczego – mitu *prosperity*, złotego wieku, spełnienia marzeń o awansie ekonomicznym (Hecht 1983: 25–30).

Te dwa aspekty rozwoju gospodarczego – obiektywny i subiektywny – znalazły swoje odzwierciedlenie w podwójnym procesie narodotwórczym. Jeden zachodził w obrębie narodu tytularnego (beneficjenci rozwoju gospodarczego), drugi – w akcie wyodrębniania się mniejszości (pracownicy plantacyjni, migranci z krajów ościennych). W trakcie tworzenia narodu iworyjskiego dominowała perspektywa centrum, a nie peryferii. Podział ten wiązał się zarówno ze strukturą etniczną, jak i dostępem do upraw kakaowca, tudzież portów. Peryferyjność oznaczała zatem zarówno położenie geograficzne, jak i miejsce w etnicznym rozwarstwieniu. W efekcie w WKS nie wytworzył się jeden naród, lecz rozwijano równolegle kilka koncepcji identyfikacji wspólnotowej.

Strategia umacniania gospodarki narodowej okazała się jednak mrzonką pozbawioną wsparcia instytucjonalnego. WKS, jak wiele krajów Afryki, stało się ofiarą klątwy surowcowej (*resource curse*)¹¹. Houphouët-Boigny zbagatelizował kwestię formalizacji systemu dystrybucji ziemi. Z jednej strony, nie sprzeciwiał się postępującej indywidualizacji własności ziemi oraz zachęcaniu migrantów do osiedlania się na niezagospodarowanych wcześniej gruntach. Z drugiej jednak, półotwarcie wspierał „baronów kakao” – partyjnych oligarchów, dążących do stworzenia latyfundiów na skutek przejmowania mniejszych plantacji. Regulacje związane z własnością ziemi w WKS z roku na rok traciły na przejrzystości, coraz częściej dochodziło do aktów samowolnego zawłaszczania terenów pod uprawę kakaowca. A – jak pisał Michael Billig

¹¹ Klątwa surowcowa stanowi jedno z tłumaczeń dezintegracji struktur państwowych w Afryce. Związana jest z korelacją między występowaniem na terytorium danego kraju kopalini i nikłej dywersyfikacji wymiany gospodarczej a jego stabilnością polityczną, poziomem rozwoju oraz występowaniem konfliktów. Uzależnienie państwa od renty surowcowej prowadzi do braku zmian na szczytach władzy, wzrostu nierówności społecznych, godzi w samą istotę obywatelstwa oraz przyczynia się do narastania konfliktów etnicznych (Czernichowski, Kopiński, Polus 2012).

(2008: 58) – „system państwa narodowego nie znosi terytorialnej próżni; każda przestrzeń musi być ogrodzona oficjalnymi granicami”.

Polityka Houphouëta-Boigny w krótkiej perspektywie przyspieszała tempo rozwoju ekonomicznego, natomiast w dłuższej – przyczyniła się do narastania napięć społeczno-narodowych, polityzacji i etniczacji sporu o ziemię (Banégas 2006). Załamanie się światowych cen kakao i kawy w 1978 roku zmusiło prezydenta do liberalizacji polityki, z czasem zdecydował się on na wprowadzenie modelu wielopartyjnego. Opozycja nadal jednak była marginalizowana politycznie. W 1993 roku, po śmierci Houphouëta-Boigny, zakończyła się pewna era w dziejach WKS. Czy „ojciec państwa” zdołał zbudować naród? Wydarzenia kolejnych dwóch dekad, walka o władzę, przewroty, zamachy stanu, dwie wojny domowe wyraźnie wskazują, że pozornie inkluzywna ideologia houphouetyzmu doprowadziła do zastępowania podziałów rasowych dystynkcjami etniczno-ekonomicznymi.

■ Walka o władzę

Po śmierci Houphouëta-Boigny władzę w kraju, zgodnie z przepisami Konstytucji, objął przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, Henri Konan Bédié (ur. 1934). Polityk ten, nazywany Małym Baobabem (*petit baobab*), w odróżnieniu od swojego poprzednika – Największego Baobaba (*le plus grand baobab*) – nie posiadał charyzmy. Nie potrafił podtrzymać mitu jedności narodowej. Swoją pozycję próbował budować przy poparciu ludów Akan, dzięki którym wygrał wybory prezydenckie w 1995 roku (Baulin 2000).

Wkrótce pojawiły się pierwsze pęknięcia na iworyjskiej scenie politycznej. W okresie braku stabilizacji, przemian, narastania rywalizacji o władzę i zasoby dały o sobie znać podziały etniczne. Grupa zwolenników byłego premiera, Alassane’a Ouattary (ur. 1942), założyła własną partię – Zgromadzenie Republikanów (*Rassemblement des Républicaines*; RDR). Bazę polityczną dla RDR stanowili głównie mieszkańcy ubogiej północy, zwłaszcza przedstawiciele ludów Mande i Dioula, z których wywodził się Ouattara. Ich celem stała się realizacja postulatów tzw. Karty Północy (*Charte du Nord*) – upodmiotowienie polityczne i gospodarcze grup etnicznych dotychczas marginalizowanych (Chauveau, Bobo 2003: 25–27). Thomas Eriksen społeczność takie nazywa „mniejszościami postniewolniczymi”, dodając: „Ich polityka tożsamościowa opiera się na wspólnej historii przymusowego wykorzenienia i niedoli” (Eriksen 2013: 35). Aktywizacja dyskursu nacjonalistycznego w programach RDR stanowi też potwierdzenie tez Michaela Hechtera (2000) o znaczeniu separatystycznych reakcji na nierówny rozwój gospodarczy ze strony osób,

które trafiły na peryferia systemu i w różnym stopniu integrowały się z systemem kapitalistycznym, oraz mechanizmów formowania się tzw. zastępczego nacjonalizmu, o którym pisał Anthony D. Smith. Według niego, „zastępczy nacjonalizm” pomagał migrantom zrekompensować ich własną transformację oraz konsekwencje utraty części dziedzictwa i instytucji. Cechował się on podwójną orientacją – na polityczną przyszłość i kulturową przeszłość (Smith 2009: 222–223).

Scena polityczna WKS w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia przeistaczała się w laboratorium, w którym eksperymentowano z ideologiami i utopijnymi programami. Na przeciwległym wobec RDR biegunie sytuowali się zwolennicy Laurenta Gbagbo (ur. 1945), zrzeszeni we Frontie Ludowym Wybrzeża Kości Słoniowej (Front Populaire Ivoirien; FPI). W postulatach RDR dostrzegali oni nie tyle hasła federalizacji państwa, zwiększania autonomii, co groźbę separatyzmu i etnicznego podziału kraju (Ellenbogen 2002). FPI zrzeszało przedstawicieli różnych grup etnicznych, przy czym główną rolę odgrywali Bété. FPI uzyskało także poparcie części środowisk studenckich, zrzeszonych w organizacji FESCI¹².

Rozpoczęła się walka elit o rząd dusz i głosy wyborców. Liderzy ugrupowań opozycyjnych, pozbawieni dostępu do kanałów komunikacji zdominowanych przez PDCI, krytykowali zmiany w prawie wprowadzone przez prezydenta. Obarczano go – skądinąd niesłusznie, albowiem decyzję tę podjęli Francuzi¹³ – winą za dewaluację franka CFA. Mimo aktywizacji politycznej dostrzegalnej w całym społeczeństwie, partie opozycyjne poniosły klęskę w wyborach parlamentarnych w 1995 roku. Kampanii wyborczej oraz ogłoszeniu wyników towarzyszyły zamieszki. Za kryzys w państwie obwiniano „obcych” z północy – *Burkinabé*. Stygmatyzacja mniejszości narodowych

¹² Podobieństwo między akronimem FESCI (Fédération Estudiantine et Scolaire de Côte d'Ivoire) a słowem *fascisme* (faszyzm) zostało szybko dostrzeżone przez zwolenników RDR (McGovern 2011: 115).

¹³ WKS nie posiada własnej waluty. Funkcję tę pełni frank CFA (franc de la Coopération Financière en Afrique) – jednostka monetarna dzielona na 100 centymów, emitowana przez Bank Centralny Państw Afryki Zachodniej (Banque Centrale des États de l'Afrique de l'Ouest). Członkami tego banku są, obok WKS, Benin, Burkina Faso, Gwinea Bissau, Mali, Niger, Senegal oraz Togo. Dewaluacja franka CFA, dokonana w 1994 roku, miała wspomóc afrykański eksport. Decyzja ta zachwiała jednak systemami ekonomicznymi dawnej Francuskiej Afryki Zachodniej. Warto umieścić ją w szerszym kontekście tzw. przejścia balladurowskiego (od nazwiska ówczesnego premiera Édouarda Balladura), co oznaczało rezygnację Francji z prowadzenia agresywnej polityki ekonomicznej i początek podporządkowania się nowym, anglo-amerykańskim podmiotom gospodarczym ery globalizacji – Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu i Bankowi Światowemu (Martin 1995).

i etnicznych sprzyjała radykalizacji dyskursu nacjonalistycznego. Prezydent Bédié próbował wprowadzić wojsko na ulice miast, na co nie zgodził się głównodowodzący generał Robert Gueï (1941–2002), przedstawiciel grupy etnicznej Dan; został on zresztą wkrótce po tym pozbawiony stanowiska w wojsku. Prezydent doprowadził do nowelizacji Konstytucji i zwiększenia swoich prerogatyw. Jednocześnie zaostrzono ustawy antyimigranckie oraz zmieniono ustawę o obywatelstwie oraz o własności ziemi (Bah 2010).

Bédié próbował skanalizować negatywne emocje i rozgoryczenie społeczne. W swych wystąpieniach coraz wyraźniej odwoływał się do ideologii nacjonalistycznej, mającej legitymizować jego zagrożony status (Dembélé 2002: 123). Potwierdza to tezy Calhouna, że im słabsza okazuje się władza centralna, tym bardziej zdecydowanie opowiada się za polityką nacjonalizacji i stygmatyzuje mniejszości etniczne. Na skutek tych procesów nacjonalizm stał się zarazem rodzajem dyskursu (współtworzył świadomość kulturową), przedsięwzięciem (wokół niego kształtował się ruch społeczny i program państwowy) i rodzajem wartościowania (etycznym imperatywem do transformacji państwa postkolonialnego) (Calhoun 2007: 15).

Konceptualizacja pojęcia iworyjskości została dokonana przez prezydencki *think-tank* – Uniwersytecki Ośrodek na rzecz Upowszechniania Myśli Prezydenta Henri Konana Bédié (Cellule Universitaire de Réflexion et de Diffusion des Idées du Président Henri Konan Bédié; CURDIPHE), skupiający wykładowców z Uniwersytetu w Cocody. Ich artykuły ukazywały się w periodyku „Racines. Revue culturelle africaine” (Korzenie. Przegląd kultur afrykańskich). Trudno jest dokonać jednoznacznej syntezy przesłania ideowego CURDIPHE. Proprezydencki *think-tank* dokonywał retrospektywnej rekonstrukcji i modernizacji houghouetyzmu – co Eric Hobsbawm (2010) określił mianem „wynajdywania tradycji” – czyli reinterpretacji mitów Akan oraz wywyższenia prepolitycznej i protopaństwowej spuścizny założycielskiej tej grupy ludów z okresu przedkolonialnego. Starano się na nowo zaprojektować *mythomoteur* – konstytuujący mit polityki plemiennej, nadający sens doświadczeniom wspólnoty i definiujący jej istotę (Smith 2009: 34). Jak pisał Anthony D. Smith (2009: 204), „etniczna koncepcja narodu jako misjonarskiego natywizmu, wiara w zbawienne właściwości i niepowtarzalne życie wewnętrzne narodu etnicznego (...) stawały się narzędziem historycyzmu, kiedy tylko zaczęli go rozwijać intelektualiści. (...) Centra etnicznej pamięci i doświadczenia przesunęły się ze świątyni na uniwersytety, oddane z rąk duchowieństwa w ręce społeczności uczonych”.

Nawet system religijny Baoulé starano się wywodzić od wierzeń starożytnych Egipcjan. Przedstawiciele CURDIPHE gloryfikowali „duszę”

narodu iworyjskiego, przestrzegali przed obcymi, naruszającymi mir państwowy (Cutolo 2010). W poglądach na kwestie gospodarcze znaleźć można z kolei zarówno hasła keynesizmu, jak i liberalizacji handlu. Dyskurs ten – pozornie oparty na egalitaryzmie i solidaryzmie społecznym – utrzymywał nierówności ekonomiczne wśród mieszkańców WKS. Strach przed obcymi świadczył także o wzroście konkurencyjności w obrębie gospodarki iworyjskiej, odzwierciedlał obawy plantatorów przed utratą monopolu na handel „czarnym złotem”, lęk przed inwazją Mossich z północy (Boone 1995).

Idea narodu iworyjskiego traktowana była jako wartość sama w sobie, a nie jako oferta dla obywateli. Ideologiczne nawyki zostały nazwane i dzięki temu zauważone. Rozprzestrzeniły się w zdroworozsądkowym myśleniu, stały się – jak pisał Billig (2008: 32) – banalne. Nacjonalizm iworyjski zyskał znamiona ideologicznej świadomości i formy życia społecznego, w której wymyślony naród jawił się jako byt naturalny, jako element moralnego ładu, a także jako wzorzec dominacji konstytuujący wspólnotę państwową.

Nacjonalizm – z racji uprzedzeń etniczno-ekonomicznych – stawał się ideologią coraz bardziej agresywną, wykluczającą ze wspólnoty politycznej „obywateli drugiej kategorii” (Akindès 2004: 6). Do grupy tej zaliczano przede wszystkim migrantów przybywających do pracy na plantacjach kakaowca – przybyszów z Burkina Faso, Mali i Nigru. Grupy te, funkcjonujące w zawieszeniu między światami narodowymi, postrzegano jako anomalię i niebezpieczeństwo. Zwiększenie ich populacji w okresie I Republiki było niezbędne do przyspieszenia wzrostu gospodarczego kraju. W okresie kryzysu politycznego łatwo było ich uczynić „kozłem ofiarnym”, obwinić za wzrost przestępczości, mordy rytualne czy zdradę stanu (Marshall-Fratani 2006). A wyboru owego „kozła” łatwiej dokonać w sytuacji, gdy kryzys polityczny zbiegł się z gospodarczym. W WKS na przełomie wieków spadła opłacalność upraw plantacyjnych, rosła konkurencja ze strony innych państw z Afryki Zachodniej oraz Azji Południowo-Wschodniej. Mieszkańcy iworyjskiego interioru zarabiali coraz mniej na eksporcie „czarnego złota”, malały także dochody pośredników. Coraz częściej pojawiały się spory o własność ziemi – przez dekady dzierżawione migrantom z północy (Babo 2013). Procesy te trafnie podsumował Ndiaye (2009: 121): „Stąd wziął się nacjonalistyczny dyskurs o *ivoirité* i rozparcelowaniu kraju – każdemu się zdawało, że ktoś inny wzbogaca się jego kosztem, mieszkańcy miast wystąpili przeciw chłopom, cudzoziemcy przeciw tubylcom, młodzi przeciw starym”.

Początkowo konflikty te ograniczały się do sporów lokalnych. Owszem, w dyskursie publicznym pojawiały się postulaty eliminacji „obcych”, lecz miały one charakter propagandy etnობójczej, a nie ludობójczej. Etnობójstwo

(*ethnocide*), nazywane także ludobójstwem kulturowym (*cultural genocide*), to według Lecha Nijakowskiego (2013: 321) „niszczenie dziedzictwa grupy, zwłaszcza znaków i symboli jej pamięci zbiorowej i tożsamości. Nie zabijając ludzi, niszczymy zatem grupę jako odrębny byt społeczny. Etnobójstwo stanowi tradycyjną formę zemsty zbiorowej”. Do końca XX wieku większość konfliktów w WKS rozwiązywano bez użycia przemocy na skalę masową, ograniczając się do – scharakteryzowanej przez Nijakowskiego – eliminacji mniejszości z przestrzeni publicznej bez dążenia do ich fizycznej anihilacji.

■ Rozpad państwa i wojny domowe

Rok 1999 stanowi ponurą cezurę w dziejach WKS. Doszło wtedy do tzw. bożonarodzeniowego zamachu stanu (*Le putsch de Noël*) – pierwszego przewrotu w dziejach kraju. Władzę utracił Bédié, przejął ją Narodowy Komitet Ocalenia Publicznego (Comité National de Salut Publique) popierany przez Roberta Guéi i Alassane’a Ouattarę. Opozycja szybko się podzieliła. Dyskurs polityczny został zdominowany przez spór o granice obywatelstwa, zakres biernego i czynnego prawa wyborczego (Bathily 2003: 93–95). Jak pisał Craig Calhoun (2007: 163): „Centralnym motywem antykolonialnego nacjonalizmu jest tworzenie obywatelstwa – (...) [które należy rozpatrywać w kontekście projektu] stworzenia «nowego człowieka» łączącego cechy zachodniego indywidualizmu z wyraźnie miejscowymi treściami kulturalnymi”. Podobnie twierdził Anthony D. Smith (2009: 202), akcentując niemożność wygenerowania w realiach postkolonialnych świadomości obywatelskiej *ad hoc*: „Solidarność obywatelska wymaga wspólnej «religii świeckiej» uformowanej z podzielanych mitów, wspomnień i symboli i przekazywanej w zstandaryzowanym języku przez instytucje edukacyjne”.

Nowa interpretacja politycznej legitymizacji była ściśle związana ze wzrastającym poziomem powszechnego udziału w dyskursie publicznym i działaniach politycznych (Calhoun 2007: 110). Wybory przeprowadzono w 2000 roku, w trakcie których wybuchły krwawe starcia między zwolennikami Gueï, Gbagbo i wykluczonego z walki o urząd prezydenta Ouattary. Regularna wojna rozpętała się na początku 2002 roku. 19 września 2002 roku w walkach w Abidżanie zginął Gueï. Ouattara uciekł do Francji. Kontrolę nad stolicą przejął Gbagbo. Bastionem zwolenników Ouattary stało się położone na północ miasto Bouaké. Społeczeństwo iworyjskie, rozpoczynając etap wojen domowych, dało w ten okrutny sposób wyraz uporczywego dążenia do nowoczesności rozumianej na sposób europejski. Racjonalność tego projektu – jak twierdzi Zygmunt Bauman (1992) – objawiała się usuwaniem

ciał obcych, nieprzystających do wzorca państwa homogenicznego etnicznie. Wojna domowa wyostrzyła i dokonała polityzacji różnic kulturowych, kształtując zintegrowane *ethnosy* (Badmus 2009).

WKS przez kolejną dekadę funkcjonowało jako dwa subpaństwa: północ (w dużym uproszczeniu: mużułmańskie ludy sawanny) popierała Ouattarę, południe zaś (chrześcijanie żyjący w strefie lasów) trzymało stronę Gbagbo (McGovern 2011: 41–47). Wybory przeprowadzone w 2010 roku nie rozwiązały kryzysu – obaj liderzy uznali swoje własne zwycięstwo, zarzucając stronie przeciwnej malwersacje wyborcze (Banégas 2011). Jak komentował Wojciech Jagielski (2011), „Gbagbo (...), szermując antyfrancuską i antyzachodnią retoryką i strojąc się w piórka obrońcy niepodległości przed zakusami imperialistów z Zachodu, (...) twierdził, że Francja w WKS, jak Stany Zjednoczone w Afganistanie i Iraku, wykorzystuje ONZ do własnych, politycznych i gospodarczych celów”. W innym felietonie dziennikarz stwierdził: „Obie części łączyły się tylko wtedy, gdy mecze rozgrywała narodowa drużyna piłkarska, a wyczyny Didiera Drogby i braci Touré stawały się ważniejsze niż spory polityczne” (Jagielski 2010)¹⁴.

W początkowej fazie konfliktu dyskurs nacjonalistyczny został zawłaszczony przez zwolenników Gbagbo. „Mowa nienawiści” stała się główną kontrnarracją wobec Ouattary, stopniowo rezygnującego z posługiwania się retoryką narodową (Akindès 2004: 6). Szowinistyczna ideologia Gbagbo wymierzona była nie tylko w ludy północy. Stronnicy Frontu Ludowego, nazywając siebie „patriotami”, krytykowali obecność Europejczyków w WKS: ich aktywność gospodarczą oraz udział w misji stabilizacyjnej ONZ. Nacjonalizm zyskiwał znamiona antyzachodnie (Koulibaly 2001).

W 2011 roku szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę zwolenników Ouattary. Rosła liczba ofiar wojny domowej. Organizacje humanitarne alarmowały o czystkach etnicznych, do jakich dochodziło w WKS. W Duékoué między 27 a 29 marca 2011 roku „nieznani sprawcy” wymordowali blisko 1000 osób – o sprawstwo masakry oskarżały siebie obie strony konfliktu. Wydarzenia te zogniskowały na WKS uwagę całego świata, na chwilę odciągając ją od Arabskiej Wiosny przetaczającej się przez kraje Afryki Północnej. Obawiano się powtórki wydarzeń z Rwandy, a zarazem dalszego podwyższenia cen, a może nawet i załamania na rynku kakao. Na czystki, jak na wspomnianą masakrę w Duékoué, warto spojrzeć szerzej. Według Philippa Thera

¹⁴ Należy zwrócić uwagę na trwałość paraleli między walką sportową a działaniami wojennymi, percepcję kibicowania jako manifestowania przynależności narodowej, a także zrytualizowanego odtwarzania wojny – zastępczego źródła gwałtownej podniety (Kilias 2004: 253–269; Popławski, Kalisz 2014).

(2012: 15) nadrzędnym celem czystek etnicznych nigdy nie jest wymordowanie danej grupy, lecz usunięcie jej z określonej przestrzeni. Przestrzeń tę rozumieć można zarówno w sensie dosłownym, jako obszar geograficzny, jak i jako pewną niszę ekonomiczną (kontrolę eksportu kakao) bądź pozycję polityczną (stanowisko prezydenta). Gbagbo, walcząc o władzę, walczył o odebranie przestrzeni polityczno-ekonomicznej i kontroli nad dobrami narodowymi, zawłaszczonymi przez „baronów kakao” – skorumpowanych oligarchów z Partii Demokratycznej, związanych z instytucjami takimi jak Fundusz Stabilizacji i Wspierania Cen Produkcji Rolnej (Caisse de Stabilisation et de Soutien des Prix des Produits Agricoles) oraz Krajowe Stowarzyszenie Producentów Kawy i Kakao w Wybrzeżu Kości Słoniowej (Association Nationale des Producteurs de Café-Cacao de Côte d’Ivoire), a także z firmami francuskimi (Piccolino 2012)¹⁵.

Na przełomie marca i kwietnia 2011 roku oddziały Ouattary, wspierane przez kontyngent francuski, zajęły Abidżan. Gbagbo został schwytyany. Obecnie trwa jego proces w Hadze (Sadat 2013: 366–368). Wydarzenie to można uznać za symboliczny koniec II wojny iworyjskiej. Śmierć w niej poniosło blisko 20 tys. ludzi, a prawie 2 mln zostały zmuszone do migracji (Charbonneau 2014).

■ Pojednanie narodowe

Skutki społeczno-ekonomiczne wojny domowej są nadal odczuwalne. W mediach regularnie pojawiają się doniesienia o spiskach i zamachach planowanych przez „zdrajców narodu” – zwolenników Gbagbo. Kwestia pojednania stanowi główne hasło w debatach iworyjskich polityków. We wcielanie w życie założeń sprawiedliwości transformacyjnej (*justice transitionnelle*) zaangażowały się także organizacje pozarządowe, a nawet środowiska artystyczne (Schumann 2012). W dyskusje te nieśmiało włącza się grono akademickie z Uniwersytetu im. Félix’a Houphouëta-Boigny – dawnego Uniwersytetu w Cocody (nazwę zmieniono w sierpniu 2012 roku, między innymi aby zmienić postrzeganie instytucji, która przez dekadę była kojarzona ze środowiskiem radykalnych nacjonalistów i współtwórców CURDIPHE). W czerwcu 2011 roku powołano, wzorowaną na południowoafrykańskiej Komisji Prawdy

¹⁵ W WKS przez dziesięciolecia pozycję swą umacniały takie firmy, jak: Bolloré, Bouygues, Total, France Telecom, Groupe Compagnie Française de l’Afrique de l’Ouest de Côte d’Ivoire, banki Société Générale, BNP-Paribas, AXA. Rozwinięcie gospodarki kauczukowej w WKS po klęsce Francji w I wojnie indochińskiej (1946–1954) przyciągnęło do Afryki Zachodniej także koncern Michelin.

i Pojednania, Komisję Dialogu, Prawdy i Pojednania (Commission Dialogue, Vérité et Réconciliation; CDVR) mającą zbadać akty przemocy i łamania praw człowieka w okresie wojny domowej (Piccolino 2014). Należy mieć nadzieję, że inicjatywy te pozwolą na redefinicję pojęcia narodu iworyjskiego, połączenie go z wizją społeczeństwa obywatelskiego – wolnego od ksenofobii i trybalizmów, niwelującego „przepaść między ideałem obywatelskiego modelu narodu powstałym na Zachodzie a rzeczywistością «państw bez narodów»” (Smith 2009: 214) na globalnym Południu.

LITERATURA PRZYWOŁYWANA

- Akindès Francis (2004), *The Roots of the Military-Political Crises in Côte d'Ivoire*, Uppsala: The Nordic Africa Institute.
- Amondji Marcel (1986), *Côte d'Ivoire: le P.D.C.I. et la vie politique de 1944 à 1985*, Paris: Harmattan.
- Anderson Benedict (1997), *Wspólnoty wyobrażone: rozważania o źródłach i rozprzestrzenianiu się nacjonalizmu*, tłum. Stefan Amsterdamski, Kraków: Znak.
- Babo Alfred (2013), *The Crisis of Public Policies in Côte d'Ivoire: Land Law and the Nationality Trap in Tabou's Rural Communities*, „Journal of the International African Institute”, t. 83, nr 1, s. 100–119.
- Badmus Isiaka Alani (2009), *Even the Stones are Burning: Explaining the Ethnic Dimensions of the Civil War in Côte d'Ivoire*, „Journal of Sociological Science”, t. 18, nr 1, s. 45–57.
- Bah Abu Bakarr (2010), *Democracy and Civil War: Citizenship and Peacemaking in Côte d'Ivoire*, „African Affairs”, nr 109 (437), s. 597–615.
- Banégas Richard (2006), *Côte d'Ivoire: Patriotism, Ethnonationalism and Other African Modes of Self-writing*, „African Affairs”, nr 105 (241), s. 535–552.
- Banégas Richard (2011), *Post-Election Crisis in Côte d'Ivoire: The „Gbonhi” War*, „African Affairs”, nr 110 (440), s. 457–468.
- Bathily Abdoulaye (2003), *La crise ivoirienne: elements pour situer ses origines et ses dimensions sous-regionales*, „Democracy & Development”, t. 3, nr 2, s. 93–99.
- Baulin Jacques (2000), *La succession d'Houphouët-Boigny: les débuts de Konan Bédié*, Paris: Karthala.
- Bauman Zygmunt (1992), *Nowoczesność i zagłada*, tłum. Franciszek Jaszuński, Warszawa: Fundacja Kulturalna Masada.
- Billig Michael (2008), *Banalny nacjonalizm*, tłum. Maciek Sekerdej, Kraków: Znak.
- Boone Catherine (1995), *The Social Origins of Ivoirian Exceptionalism: Rural Society and State Formation*, „Comparative Politics”, t. 27, nr 4, s. 445–463.
- Calhoun Craig (2007), *Nacjonalizm*, tłum. Bohdan Piasecki, Warszawa: Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne.
- Chappell David A. (1989), *The Nation as Frontier: Ethnicity and Clientelism in Ivorian History*, „The International Journal of African Historical Studies”, t. 22, nr 4, s. 671–696.

- Charbonneau Bruno (2014), *The imperial legacy of international peacebuilding: the case of Francophone Africa*, „Review of International Studies”, t. 40, nr 3, s. 607–630.
- Chauveau Jean-Pierre, Bobo Samuel Koffi (2003), *La situation de guerre dans l'arène villageoise. Un exemple dans le centre-ouest ivoirien*, „Politique Africaine”, nr 89, s. 12–33.
- Chauveau Jean-Pierre, Colin Jean-Philippe (2010), *Customary Transfers and Land Sales in Côte d'Ivoire: Revisiting the Embeddedness Issue*, „Africa. Journal of the International African Institute”, t. 80, nr 1, s. 81–103.
- Cutolo Armando (2010), *Modernity, Autochthony and the Ivorian Nation: the End of a Century in Côte d'Ivoire*, „Journal of the International African Institute”, t. 80, nr 4, s. 527–552.
- Czernichowski Konrad, Kopiński Dominik, Polus Andrzej (2012), *Kłątwa surowcowa w Afryce? Przypadek Zambii i Botswany*, Warszawa: CeDeWu.
- Dembélé Ousmane (2002), *La construction économique et politique de la catégorie „étranger” en Côte d'Ivoire*, w: Marc Le Pape, Claudine Vidal (red.), *Côte d'Ivoire. L'année terrible 1999-2000*, Paris: Karthala, s. 123–171.
- Diarra Samba (1997), *Les faux complots d'Houphouët-Boigny. Fracture dans le destin d'une nation*, Paris: Karthala.
- Dozon Jean-Pierre (2009), *La Côte d'Ivoire entre démocratie, nationalisme et ethnonationalisme*, „Politique Africaine”, nr 78, s. 45–63.
- Ellenbogen Alice (2002), *La succession d'Houphouët-Boigny: entre tribalisme et démocratie*, Paris: Harmattan.
- Eriksen Thomas H. (2013), *Etniczność i nacjonalizm. Ujęcie antropologiczne*, tłum. Barbara Gutowska-Nowak, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Gellner Ernest (1991), *Narody i nacjonalizm*, tłum. Teresa Hołówska, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.
- Genova James E. (2004), *Colonial Ambivalence, Cultural Authenticity, and the Limitations of Mimicry in French-Ruled West Africa, 1914-1956*, New York: Peter Lang.
- Hailey Malcolm (1937), *Nationalism in Africa*, „Journal of the Royal African Society”, nr 36 (143), s. 134–149.
- Hecht Robert M. (1983), *The Ivory Coast Economic Miracle. What Benefits for Peasant Farmers?*, „The Journal of Modern African Studies”, t. 21, nr 1, s. 25–30.
- Hechter Michael (2000), *Containing Nationalism*, New York: Oxford University Press.
- Hobsbawm Eric J. (2010), *Narody i nacjonalizm po 1780 roku. Program, mit, rzeczywistość*, tłum. Jakub Maciejczyk, Marcin Starnawski, Warszawa: Difin.
- Jagielski Wojciech (2010), *Kakao zgubiło Wybrzeże Kości Słoniowej*, „Gazeta Wyborcza”, nr 256, s. 12.
- Jagielski Wojciech (2011), *Wybrzeże bez uzurpatora*, „Gazeta Wyborcza”, nr 85, s. 9.
- Keese Alexander (2008), *Bâtir une nouvelle image de l'Afrique: les „États dissidents” et l'émergence du néocolonialisme français au lendemain de la décolonisation*, „Cahiers d'Études Africaines”, nr 48 (191), s. 513–530.
- Kilias Jarosław (2004), *Wspólnota abstrakcyjna. Zarys socjologii narodu*, Warszawa: Wydawnictwo IFIS PAN.
- Komorowski Zygmunt (1966), *Wieś, miasto i oświata w procesie formowania się nowego społeczeństwa na Wybrzeżu Kości Słoniowej*, Warszawa: PWN.
- Konstytucje państw afrykańskich* (1965), oprac. Ludwik Gelberg, t. 2, Warszawa: PWN.

- Koulibaly Mamadou (2001), *La guerre de la France contre la Côte d'Ivoire*, Paris: Harmattan.
- Marshall-Fratani Ruth (2006), *The War of „Who Is Who”: Autochthony, Nationalism, and Citizenship in the Ivoirian Crisis*, „African Studies Review”, t. 49, nr 2, s. 9–43.
- Martin Guy (1995), *Continuity and Change in Franco-African Relations*, „The Journal of Modern African Studies”, t. 33, nr 1, s. 1–20.
- McGovern Mike (2011), *Making War in Côte d'Ivoire*, Chicago: University of Chicago Press.
- Moffat James E. (1928), *Nationalism and Economic Theory*, „Journal of Political Economy”, t. 36, nr 4, s. 417–446.
- Nazwy państw świata, ich stolic i mieszkańców* (2003), Warszawa: Komisja Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami Polski przy Głównym Geodecie Kraju, Główny Urząd Geodezji i Kartografii.
- Ndiaye Bara (2009), *Konflikt na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Uwarunkowania historyczne*, w: Degefe K. Gemechu (red.), *Współczesne konflikty międzynarodowe i etniczne*, Olsztyn: Olsztyńska Szkoła Wyższa, s. 118–133.
- Ndiaye Bara (2011), *Współczesna Afryka Subsaharyjska. Wybrane zagadnienia*, Olsztyn: Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.
- Nijakowski Lech (2013), *Rozkosz zemsty. Socjologia historyczna mobilizacji ludobójczej*, Warszawa: Scholar.
- Piccolino Giulia (2012), *David Against Goliath in Côte D'ivoire? Laurent Gbagbo's War Against Global Governance*, „African Affairs”, nr 44 (111), s. 1–23.
- Piccolino Giulia (2014), *Ultranationalism, democracy and the law: insights from Côte d'Ivoire*, „The Journal of Modern African Studies”, t. 52, nr 1, s. 45–68.
- Popławski Błażej (2013a), *Bogactwo różnorodności. Profil społeczno-demograficzny Wybrzeża Kości Słoniowej*, w: Błażej Popławski, Katarzyna Szeniawska, *Gorzka czekolada. Społeczne aspekty uprawy kakao w Wybrzeżu Kości Słoniowej w kontekście zasad międzynarodowego handlu i konsumpcji*, Warszawa: Polska Akcja Humanitarna, s. 13–32.
- Popławski Błażej (2013b), *Słodkie uzależnienie. Struktura handlu i trendy w konsumpcji czekolady*, w: Błażej Popławski, Katarzyna Szeniawska, *Gorzka czekolada. Społeczne aspekty uprawy kakao w Wybrzeżu Kości Słoniowej w kontekście zasad międzynarodowego handlu i konsumpcji*, Warszawa: Polska Akcja Humanitarna, s. 305–363.
- Popławski Błażej, Kalisz Łukasz (2014), *Futbol na Czarnym Lądzie*, „Kultura Liberalna”, nr 283.
- Sadat Leila N. (2013), *Crimes Against Humanity in the Modern Age*, „The American Journal of International Law”, t. 107, nr 2, s. 344–377.
- Schumann Anne (2012), *A Generation of Orphans: The Socio-Economic Crisis in Côte d'Ivoire as Seen Through Popular Music*, „Journal of the International African Institute”, t. 82, nr 4, s. 535–555.
- Siriex Paul-Henri (1975), *Houphouët-Boigny: L'homme de la paix*, Paris: Seghers.
- Siriex Paul-Henri (1986), *Houphouët Boigny, ou la sagesse africaine*, Paris: Éditions Nathan.

- Smith Anthony D. (2009), *Etniczne źródła narodów*, tłum. Małgorzata Głowacka-Grajper, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Ther Philipp (2012), *Ciemna strona państw narodowych. Czystki etniczne w nowoczesnej Europie*, tłum. Tomasz Gabiś, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie.
- Toungara Jeanne M. (1990), *The Apotheosis of Côte d'Ivoire's Nana Houphouët-Boigny*, „The Journal of Modern African Studies”, t. 28, nr 1, s. 23–54.
- Vorbrich Ryszard (2012), *Plemienna i postplemienna Afryka. Koncepcje i postaci wspólnoty w dawnej i współczesnej Afryce*, Poznań: Wydawnictwo Naukowe UAM.
- Wallerstein Immanuel (1964), *The Road to Independence: Ghana and the Ivory Coast*, Paris: Mouton.

Błażej Popławski

IVORIAN NATIONALISM

The purpose of the article is to characterize the Ivorian nationalism. In the introduction the mechanisms of the creation of the African nation in the post-colonial era and the European perception of this process are shown. Next, the birth of nationalist ideology in Ivory Coast and the role of the “father of the nation” – Félix Houphouët-Boigny – are characterized. Then, the article focuses on the meaning of the national goods among which cocoa should be recognized. Mismanagement on the cocoa economy was one of the most significant reasons of redefining the national identity (Ivoryity), the outbreak of the civil war and the decaying of the state. Finally, the essay presents the attempts of implementation of the transitional justice and ongoing national reconciliation in Ivory Coast.

Słowa kluczowe: nacjonalizm, naród iworyjski, iworyjskość, wojna domowa, państwo upadłe, Félix Houphouët-Boigny, Wybrzeże Kości Słoniowej, Afryka.

Key words: nationalism, Ivorian nation, ivoryity, civil war, collapsed state, Félix Houphouët-Boigny, Ivory Coast, Africa.

Lukasz Pawłowski

Uniwersytet Warszawski*

DEMOKRACJA DELIBERATYWNA I JEJ SŁABOŚCI

■ Wprowadzenie

Teoria demokracji deliberatywnej nie jest spójną propozycją całościowej reformy ustroju demokratycznego¹. Wśród jej zwolenników nie ma zgody co do wielu fundamentalnych kwestii dotyczących kierunków, a przede wszystkim zakresu postulowanych reform. W ich pismach nie znajdziemy również jednoznacznych odpowiedzi na kluczowe wątpliwości związane z tą formą sprawowania rządów, takie jak pytania o to, gdzie należy deliberować – czy deliberacja ma ograniczać się jedynie do kilku najważniejszych instytucji państwowych, czy też ma obejmować możliwie najwięcej organizacji, nawet tych, które z bieżącym życiem politycznym mają niewiele wspólnego?; o czym można deliberować – czy zmianom wskutek deliberacji mogą być poddane wszystkie zasady działania systemu politycznego, czy też niektóre (jak choćby same reguły prowadzenia sprawiedliwej deliberacji) muszą być stałe?; kto powinien brać udział w obradach – wszyscy obywatele czy jedynie ich wybrani reprezentanci?; jaki powinien być cel deliberacji – konsensus czy tak zwany

* Instytut Socjologii, e-mail: lukpawowski@wp.pl.

¹ Z taką właśnie całościową wizją demokracji deliberatywnej mierzy się niniejszy artykuł. Jeśli deliberację zdefiniujemy wężej, jako zespół praktyk jedynie wzbogacających system demokracji reprezentacyjnej – na przykład poprzez dostarczenie nowych metod konsultacji i podejmowania decyzji na poziomie lokalnym – wówczas wiele z przedstawionych tutaj argumentów krytycznych straci swoje zastosowanie (ciekawy przegląd takich technik można znaleźć na licznych stronach poświęconych partycypacji obywatelskiej, np. <http://partycypacjaobywatelska.pl/techniki/>). Jak jednak dowodzę w dalszej części tekstu, ambicje niektórych zwolenników demokracji deliberatywnej wykraczają poza chęć ulepszenia systemu przedstawicielskiego i stanowią nieudaną próbę zaproponowania kompleksowej alternatywy.

rozsądny pluralizm (*reasonable pluralism*), czyli pluralizm oparty na przemyślanych i dobrze uzasadnionych argumentach?; wreszcie, jakie są zasadnicze skutki samej deliberacji – czy prowadzi ona przede wszystkim do podejmowania lepszych decyzji politycznych, czy też jedynie decyzji podejmowanych lepiej?

Wszystkie te niespójności utrudniają nakreślenie jednoznacznego obrazu tej doktryny, a tym samym jej krytykę. Zwolennicy demokracji deliberatywnej zawsze mogą dowodzić, że dany argument polemiczny odnosi się wyłącznie do określonego nurtu teorii czy danego autora, ale nie dotyczy pozostałych. Z tego względu w niniejszym artykule zostanie przedstawiony przegląd słabych punktów deliberacji dotyczących zarówno teorii, jak i praktyki z nią związanej. Zanim jednak przejdę do krytyki demokracji deliberatywnej, przedstawię jej najważniejsze cechy, co do których panuje niemal powszechna zgoda, a także omówię te wady dominującej teorii i praktyki demokratycznej, na jakie deliberacja ma w zamierzeniu jej twórców odpowiadać.

■ Czym jest demokracja deliberatywna?

Najważniejszą cechą teorii demokracji deliberatywnej, odróżniającą ją od innych teorii demokratycznych, jest przeniesienie nacisku z metody podejmowania decyzji politycznych na proces ich wypracowywania. W większości teorii demokracji cechą deficytową tego systemu politycznego jest „władza ludu” przejawiająca się tym, że to właśnie lud – w drodze głosowania bezpośredniego lub poprzez przedstawicieli – daje wyraz swoim preferencjom. Genealogia tychże preferencji, ich zasadność, a nawet sprawiedliwość mają w tych teoriach – nazywanych agregacyjnymi – znaczenie drugorzędne. W przypadku teorii demokracji deliberatywnej porządek zostaje odwrócony. Równie ważny, jeśli nie ważniejszy, od samych preferencji jest sposób ich usprawiedliwiania, negocjowania, dialogicznego konfrontowania z preferencjami innych obywateli. Innymi słowy, można powiedzieć, że preferencje w ujęciu agregacyjnym pozostają niezależne od procesu ich zbierania i wyrażania. W ujęciu deliberacyjnym wyjściowe preferencje mogą, a nawet powinny być zmieniane właśnie w trakcie ich przedstawienia i konfrontacji z przekonaniem współobywateli.

„Teoria demokracji deliberatywnej (...) – piszą jedni z jej najznamiętszych propagatorów, Amy Gutmann i Dennis Thompson (2004: 13) – bierze pod uwagę argumenty przedstawiane przez obywateli i ich reprezentantów na rzecz deklarowanych preferencji. Domaga się uzasadnień. Teoria agregacyjna (...) uznaje preferencje za dane (...). Nie wymaga uzasadnienia dla

preferencji jako takich, lecz zmierza wyłącznie do znalezienia efektywnych i sprawiedliwych sposobów ich zestrojenia”. Tak więc źródłem legitymizacji decyzji politycznych nie jest przyjmowana bezdyskusyjnie wola jednostek, ale proces jej kształtowania i dochodzenia do określonych stanowisk (por. Held 2010: 302). Teorie demokracji deliberatywnej to zatem takie koncepcje, które za drogę do podejmowania decyzji politycznych uznają przede wszystkim dyskusję równych, wolnych i – jak przekonamy się dalej – dobrze poinformowanych obywateli. Zgodnie z tym podejściem istotą politycznego zaangażowania nie jest uczestnictwo samo w sobie, ale uczestnictwo spełniające określone kryteria.

Nie powinien dziwić fakt, że zwolennicy demokracji deliberatywnej z dużą rezerwą odnoszą się do innej, z pozoru pokrewnej im koncepcji, mianowicie modelu demokracji bezpośredniej. David Held w książce *Modele demokracji* wymienia trzy powody tego sceptycyzmu. „Najbardziej oczywistym z nich jest świadomość, że ideału tego nie da się zrealizować w wysoce złożonych i zróżnicowanych społeczeństwach współczesnych. (...) Po drugie nietrafna jest sama idealizacja bezpośredniego trybu podejmowania decyzji w małych społecznościach – przenosi ona na wszystkie formy życia politycznego zorganizowanego na zasadzie bezpośredniości ryzyko właściwe niewielkim, stosunkowo jednorodnym społecznościom, w których trzeba się liczyć z tendencjami do konformizmu, nietolerancją i personalizacją życia politycznego. (...) Po trzecie, wzrost zakresu uczestnictwa nie rozwiązuje sam przez się problemu jakości uczestnictwa” (Held 2010: 306).

Zwolennicy demokracji deliberatywnej przyznają, że istniejące systemy demokratyczne dopuszczają bezpośrednie konsultacje obywatelskie. Według Jamesa Fishkina, twórcy sondażu deliberatywnego i jednego z najważniejszych adwokatów deliberacji, problem polega jednak na tym, że konsultacje te przyjmują najczęściej formę nie publicznych dyskusji, ale różnorodnych sondaży i referendum. Ludzie nie mają tym samym szansy na skonfrontowanie swoich przekonań z innymi, a ich opinie nie są solidnie ugruntowane. Tymczasem stan wiedzy obywateli na temat bieżących problemów politycznych bywa zatrważający. Jak dowodzi Fishkin, nawet w czasach zimnej wojny większość Amerykanów nie potrafiła powiedzieć, czy Związek Radziecki jest członkiem NATO (Ryan 2004), a mniej więcej połowa obywateli Stanów Zjednoczonych przyznaje, iż nie zna poglądów Partii Republikańskiej i Partii Demokratycznej na wybrane kwestie, o które pytają ankieterzy. Co więcej, taki sam odsetek źle przewiduje stanowiska partyjne, przypisując Republikanom bardziej lewicowe poglądy niż Demokratom (Luskin, Fishkin, Jowell 2002: 457). W takiej sytuacji przeprowadzanie sondaży opinii publicznej czy

wprowadzenie innych form bezpośredniej konsultacji z obywatelami nie mają najmniejszego sensu. Deliberacja, aby przyniosła pożądane skutki, musi spełnić określone warunki. Ich lista różni się w publikacjach różnych autorów, wydaje się jednak, że stosunkowo najbardziej powszechną aprobatą cieszą się reguły zaproponowane przez Amy Gutmann i Dennisa Thompsona.

Najważniejszą z nich jest zasada wzajemności (*reciprocity*) mówiąca, że uczestnicy deliberacji muszą dostarczyć uzasadnienia dla decyzji, które chcą wprowadzić. Argumenty te nie mogą mieć wyłącznie charakteru proceduralnego (czyli np. „bo tak zdecydowała większość”, a zgodnie z zasadami demokracji to większość decyduje), lecz muszą być „możliwe do zaakceptowania przez wolnych i równych obywateli poszukujących sprawiedliwych reguł współpracy” (Gutmann, Thompson 2004: 3)². Aby tak się stało, deliberacja musi mieć charakter publiczny, to znaczy być otwarta dla wszystkich, których dotyczy. Otwartość tą, twierdzą Gutmann i Thompson, należy rozumieć dwojako. Po pierwsze, sam proces wymiany argumentów musi być przeprowadzony publicznie, po drugie, treść argumentów także musi być publicznie zrozumiana. Tym samym odwołanie się na przykład do boskiego objawienia, jakiego rzekomo doznał jeden z uczestników dyskusji, nie byłoby usprawiedliwione. Ten drugi wymiar otwartości łączy się ściśle z kolejną zasadą deliberacji, mianowicie zasadą sprawdzalności (*accountability*) stosowanych argumentów (Gutmann, Thompson 1999: 243 i nast.). Nie należy również zapominać, piszą Gutmann i Thompson, że ostatecznym celem deliberacji jest podjęcie decyzji, która okaże się wiążąca dla uczestników dyskusji. Związanie to nie może mieć jednak charakteru trwałego. Podjęcie decyzji w danej sprawie nie kończy dyskusji raz na zawsze. Wskutek pojawienia się nowych okoliczności czy argumentów może ona zostać wznowiona. Deliberacja jest więc procesem dynamicznym (Gutmann, Thompson 2004: 5).

² Por. także Gutmann, Thompson (1999: 243 i nast.). Joshua Cohen w uznawanym za „klasyczny” tekście na temat demokracji deliberatywnej wymienia jej podobne cechy. Zdaniem tego autora deliberacja powinna być wolna (*free*) – tzn. nieograniczona mocą istniejących niezależnie od niej norm zewnętrznych oraz prowadząca do ustaleń, które są wiążące dla uczestników wyłącznie na mocy swego deliberatywnego charakteru; równa (*equal*) – tzn. głos każdego z uczestników musi być jednakowo ważny i każdy musi mieć jednakowe prawo przedstawić swoje argumenty na forum; oraz oparta na rozumnych argumentach (*reasoned*). Zdaniem Cohena deliberacja powinna również zmierzać do osiągnięcia opartego na rozumności konsensusu (*rationaly motivated consensus*), lecz jeśli cel ten nie zostanie osiągnięty, ostateczna decyzja może zostać podjęta w drodze głosowania (zob. Cohen 1989). Zwłaszcza ten ostatni argument, przedstawiający konsensus jako zasadniczy cel deliberacji, jest zajadłe krytykowany zarówno przez wielu przeciwników, jak i zwolenników demokracji deliberatywnej.

Na podstawie powyższych zasad Gutmann i Thompson (2004: 7) definiują demokrację deliberatywną jako „rodzaj ustroju, gdzie wolni i równi obywatele (a także ich reprezentanci) uzasadniają podejmowane decyzje w ramach procesu, podczas którego wymieniają się argumentami wzajemnie akceptowalnymi i powszechnie dostępnymi, mając na celu wypracowanie porozumień wiążących w danej chwili dla wszystkich obywateli, ale możliwych do zakwestionowania w przyszłości”.

■ Cele deliberacji

Dlaczego jednak jako obywatele mielibyśmy w ogóle angażować się w tak skomplikowany i wymagający proces podejmowania decyzji? Zakres uzasadnień dla deliberacji podawanych w literaturze przedmiotu jest niezwykle szeroki. Zdaniem jednych służy ona przede wszystkim podniesieniu stopnia legitymizacji podejmowanych decyzji, dla innych jest swego rodzaju szkołą obywatelskości rozumianej jako umiejętność dyskusji i godzenia różnorodnych interesów. Deliberacja pomaga również, zdaniem jej zwolenników, wyjść poza społeczne partykularyzmy, rozszerza pole debaty publicznej, dopuszczając do głosu środowiska z jakichś względów marginalizowane³. Według niektórych jest zaś po prostu właściwą dla demokracji metodą postępowania, bardziej zgodną z duchem rządów ludu niż wspomniane wcześniej systemy agregacyjne⁴. Interesującego uzasadnienia dla konieczności wprowadzenia

³ Podkreślić można także wartość psychologiczną tego rodzaju możliwości. Szansa na głośne wypowiedzenie swoich poglądów czy wyrażenie niezadowolenia na forum publicznym może obniżyć temperaturę związanych z nimi emocji, a tym samym działać jako specyficzny „wentyl bezpieczeństwa”. Zaznaczam ten fakt jedynie na marginesie z dwóch powodów. Po pierwsze, jak wynika z analizy zawartej w tym artykule, ten minimalistyczny cel z pewnością nie odpowiada ambicjom większości teoretyków demokracji. Po drugie, ten sam skutek można osiągnąć także za pośrednictwem innych mechanizmów dostępnych w ramach systemu demokracji liberalnej, np. radykalnej zmiany preferencji wyborczych, protestów, absencji wyborczej itd.

⁴ Zob. także Fearon (1998). Gutmann i Thompson za punkt wyjścia swoich rozważań nad wartością deliberacji przyjmują pogląd stwierdzający, iż w systemie demokratycznym „ludzie nie powinni być traktowani wyłącznie jako przedmioty działań legislacyjnych, jako bierni poddani, którymi należy rządzić, ale jako aktywne podmioty (*agents*) biorące udział w zarządzaniu swoją społecznością czy to bezpośrednio, czy poprzez swych przedstawicieli” (Gutmann, Thompson 2004: 3). W dalszej części tekstu autorzy wymieniają cztery bardziej szczegółowe cele deliberacji: (1) podniesienie legitymizacji podejmowanych decyzji; (2) promowanie obywatelskiego (*public-spirited*) spojrzenia na kwestie polityczne; (3) wprowadzenie opartego na wzajemnym szacunku procesu podejmowania decyzji

deliberacji dostarcza James Fishkin. Według niego fundamentalnym celem teorii demokracji deliberatywnej (oraz sondażu deliberatywnego jako sposobu jej praktycznej realizacji) jest pogodzenie ze sobą trzech najważniejszych elementów dobrze funkcjonującego systemu demokratycznego: deliberacji, równości politycznej oraz zabezpieczenia przed tyranią większości lub zorganizowanych grup mniejszościowych. Dlaczego te trzy warunki są dla Fishkina tak istotne?

Wizja demokracji, która jakimś sposobem zawarłaby w sobie wszystkie trzy zasady – deliberację, równość polityczną i brak tyranii – jest niezwykle pociągająca z normatywnego punktu widzenia. Po pierwsze, istnieją oczywiste powody, dla których lepiej, by opinie obywateli były przemyślane. Demokracja jest poważniejsza, jeśli obywatele są lepiej poinformowani i uważniej przyglądają się kwestiom, nad którymi głosują. Po drugie, istnieją oczywiste powody, by wszystkie głosy były liczone równo. W sytuacji, gdy głosy jednych obywateli nie są w ogóle brane pod uwagę, a innym przypisuje się większe znaczenie, obraz opinii publicznej zostaje zniekształcony. Po trzecie, istnieją oczywiste powody, by unikać tyranii większości. Jeśli demokracja prowadzi do poważnego pokrzywdzenia jakiejś grupy mniejszościowej, wówczas jej normatywne pretensje stają się wątpliwe (Fishkin 2002: 225).

Problem polega na tym, że owe trzy fundamentalne atrybuty demokracji na pierwszy rzut oka wzajemnie się wykluczają. Dążenie do politycznej równości negatywnie odbija się na możliwościach deliberacji, a także stwarza zagrożenie tyranią większości. Relacja ta zachodzi również w kierunku odwrotnym. Powstały paradoks Fishkin (2002: 229) nazywa „trójletem” (*trilemma*), z którym teoria i praktyka demokratyczna jak dotychczas nie zdołały sobie poradzić⁵. Tymczasem, zdaniem Fishkina, we współczesnych demokracjach na znaczeniu zyskuje właśnie ideał politycznej równości realizowany między innymi kosztem deliberacji. Zgodnie z tą tezą jesteśmy obecnie świadkami odejścia od systemów demokratycznych ufundowanych na rządzie przedstawicielskim, gdzie deliberacja ograniczona była do wąskiej grupy

politycznych; (4) stworzenie możliwości naprawy popełnionych błędów (Gutmann, Thompson 2004: 10–12). Listę tę trudno jednak uznać za zamkniętą, ponieważ nawet w tej samej publikacji znajdujemy wiele innych uzasadnień dla teorii demokracji deliberatywnej.

⁵ W nowszej książce *When the People Speak: Deliberative Democracy and Public Consultation* Fishkin (2009) dodaje jeszcze jeden czynnik: „masową partycypację”, ale logika argumentu pozostaje niezmienną. Z kolei David Held opisuje to samo wyzwanie, przed jakim staje system demokratyczny, w jeszcze bardziej dosadnych słowach: „Na historię demokracji składa się nie tylko radość z uwolnienia się od arbitralnej władzy i polityki paternalistycznej, ale także niepokój, że system ten doprowadzi do rządów motłochu” (Held 2010: 299).

prawodawców, w kierunku demokracji plebiscytowej, gdzie niedoinformowana i zatowizowana większość odgrywa coraz większą rolę w procesie wyboru decyzji politycznych.

W tym miejscu można oczywiście zadać pytanie, czy poziom wiedzy obywateli we wszystkich współczesnych demokracjach jest rzeczywiście tak niski, jak sugeruje Fishkin, i – nawet jeśli tak jest – czy konsekwencje tego stanu rzeczy są dla demokracji w istocie tak dojmujące. Choć zdawać by się mogło, że demokracja wymaga od obywatela wysokiego zaangażowania – w interesie własnym, wspólnotowym, jak i dla podtrzymania całego systemu – „w historii idei politycznych funkcjonuje wpływowe stanowisko, które nie stawia przed obywatelami wysokich wymagań co do zainteresowania polityką i wiedzy o niej. To elityzm – w różnych swoich odmianach” (Raciborski 2011: 200). W wypadku demokracji dobrze to podejście oddaje koncepcja Josepha Schumpetera, zgodnie z którą w tym systemie to elity przedstawiają obywatelom swoje propozycje polityczne, licząc w zamian na głosy. Brak zainteresowania ze strony znacznej części odbiorców przekazu lub ich niewiedza nie zmienia logiki tego procesu ani nie podważa legitymizacji uzyskanych rezultatów. To naturalny stan rzeczy, z którym należy się pogodzić (Schumpeter 1995: 312 i nast.). Tym bardziej, że jak dowodzą zwolennicy tzw. szkoły heurystyk poznawczych, obywatel może z powodzeniem kompensować sobie brak wiedzy faktograficznej za pomocą skrótów myślowych i innych technik ułatwiających podejmowanie decyzji. Należą do nich między innymi: podążanie śladem politycznych autorytetów, kierowanie się stereotypami, mądrością ludową czy wąsko pojmowanym interesem własnym. Nie brakuje również badań dowodzących, że większe zainteresowanie polityką nie zmniejsza wcale podatności na partyjną propagandę (Raciborski 2011: 203–204).

Żadne z tych wyjaśnień nie byłoby zapewne przekonujące dla Jamesa Fishkina, albowiem inaczej definiuje on najważniejsze wyzwanie stojące przed współczesną demokracją. W tym ujęciu jest nim atomizacja opinii publicznej powodująca, że oddzieleni od siebie, zamknięci w homogenicznych grupach społecznych obywatele nie dokonują wyboru w oparciu o przemyślane poglądy, do których dochodzi się za pomocą bezpośredniej deliberacji, ale w oparciu o *quasi*-opinie produkowane przez mass media (por. Breiner 1993: 547–550). Aby poradzić sobie z tym problemem, Fishkin proponuje organizację sondaży deliberatywnych, czyli spotkań, podczas których wybrani w drodze losowania, ale jednocześnie dobrze poinformowani obywatele – tworzący reprezentatywną próbę społeczeństwa – będą mogli skonfrontować swoje poglądy i ewentualnie te poglądy zmienić. Samą deliberację definiuje Fishkin (2002: 223) bardzo prosto jako „bezpośrednią rozmowę, której uczestnicy

starannie podnoszą konkurencyjne argumenty i odpowiadają na nie celem wypracowania przemyślanych sądów na temat kwestii publicznych”. Tęgo rodzaju dyskusja jest niezbędnym elementem demokracji. Systemu demokratycznego nie można bowiem, według Fishkina, sprowadzić wyłącznie do rozwiązań proceduralnych – na przykład regularnych wyborów – ponieważ taka forma „zachowuje mechanizm demokracji pozbawiony jednak jej ducha” (Fishkin 2009: 179). Deliberacja jest zatem sposobem przywrócenia masowego zaangażowania w życie polityczne, a jednocześnie uniknięcia związanych z tym zagrożeń, przede wszystkim dominacji nieprzemyślanych i stronniczych opinii większości.

Listę potencjalnych korzyści płynących z deliberacji można oczywiście znacznie wydłużyć, jednak wszystkie argumenty, jakie padają na rzecz tego rozwiązania, dają się wyczerpująco podzielić na dwie podstawowe grupy. Cechą charakterystyczną argumentów należących do pierwszej grupy jest to, że abstrahując od pytania o wartość decyzji podejmowanych w ramach deliberacji, skupiają się one raczej na innych korzyściach wynikających z samego procesu deliberowania. Drugi typ argumentów odwraca ten porządek. Zgodnie z nimi wartość deliberacji tkwi nie tyle w samej procedurze, co w jakości podejmowanych decyzji. Demokracja deliberatywna ma prowadzić nie tylko do decyzji powszechniej akceptowanych czy lepiej zrozumiałych, ale do decyzji *lepszyc* niż te nieopowiedzone deliberacją.

W literaturze przedmiotu teorii demokracji deliberatywnej dzieli się zatem ze względu na cel deliberacji na dwa rodzaje: proceduralne i epistemiczne⁶. „Deliberatywni proceduraliści (*deliberative proceduralists*) utrzymują, że publiczna deliberacja jest koniecznością, ponieważ poprawnie przeprowadzona prowadzi – w przeciwieństwie do metod polegających na agregacji preferencji – do sprawiedliwych (*fair*) rezultatów. Zwolennicy deliberacji epistemicznej (*epistemic deliberativists*) zwracają z kolei uwagę na poznawcze konsekwencje publicznej deliberacji – twierdzą, że deliberacja stara się wypracować demokratyczne rozwiązania, które można określić jako racjonalne, roztropne lub nawet prawdziwe (*rational, wise, or even true*)” (Talisie 2005, s. 187). Każda z tych perspektyw ma mocne i słabe strony. Rozróżnienie to jest jednak kluczowe dla krytycznej dyskusji na temat demokracji deliberatywnej.

⁶ Terminy te są przez część autorów uznawane za niezręczne i niekiedy mówi się odpowiednio o instrumentalnych (*instrumental*) i ekspresyjnych (*expressive*) celach deliberacji (Gutmann, Thompson 2004: 21).

■ Krytyka demokracji deliberatywnej

Zarzuty kierowane pod adresem demokracji deliberatywnej również dzieli się na dwa szerokie bloki. O ile pierwszy typ odnosi się do samej idei deliberacji i kwestionuje jej przydatność dla podniesienia jakości funkcjonowania systemu demokratycznego, o tyle autorzy argumentów drugiego typu, nawet jeśli popierają ideały zwolenników demokracji deliberatywnej, zwracają uwagę na praktyczne trudności z ich urzeczywistnieniem. Podkreślają przy tym przede wszystkim słabości konkretnych rozwiązań instytucjonalnych proponowanych w celu realizacji ideałów deliberatywnych (Gutmann, Thompson 2004: 40).

To z pozoru bardzo przejrzyste rozróżnienie w toku analizy demokracji deliberatywnej staje się niekiedy trudne do zastosowania. Słabości teoretyczne przekładają się bowiem bezpośrednio na ułomności praktyczne, a niekiedy próby praktycznego zastosowania norm deliberacji prowadzą do odkrycia niedociągnięć teoretycznych. Z tego powodu w dalszej części artykułu, zamiast ściśle stosować się do powyższego podziału, analizuję kilka wybranych problemów związanych zarówno z teorią, jak i praktyką deliberacji. Jest to autorskie zestawienie wyzwań, które uznaję za najbardziej fundamentalne i najtrudniejsze do przezwyciężenia dla tych zwolenników demokracji deliberatywnej, którzy widzą w niej podstawę kompleksowej zmiany funkcjonowania systemu demokratycznego.

1. Demokracja deliberatywna a demokracja agregacyjna

Pierwszy z zarzutów, jakie można sformułować wobec zwolenników deliberacji, dotyczy nie tyle samej teorii deliberatywnej, co dokonywanej przez nich oceny innych modeli demokracji, nazywanych zbiorczo modelami agregacyjnymi. Jak już wspomniano na początku artykułu, zasadniczym celem tego rodzaju systemów demokratycznych jest zaprowadzenie porządku pozwalającego na pogodzenie rozmaitych preferencji obywateli. Źródła i zasadność preferencji nie są zwykle poddawane ocenie – jeśli oczywiście nie naruszają podstawowych norm etycznych czy praw innych ludzi – i są traktowane jako „dane wejściowe”. Zadaniem systemu politycznego polega na wypracowywaniu w oparciu o te preferencje decyzji zbiorowych, które zostaną uznane za sprawiedliwe (*fair*). O ostatecznym wyborze decyduje zazwyczaj agregacja istniejących opinii oparta na głosowaniu i przyjęciu rozwiązania cieszącego się poparciem zwykłej lub kwalifikowanej większości obywateli. Zasadą etyczną stojącą za takim sposobem orzekania jest utylitaryzm rozumiany jako dążenie

do maksymalizacji zadowolenia możliwie największej liczby obywateli (Held 2010: 302–303).

Ta stosunkowo prosta metoda podejmowania decyzji ma także inne zalety. Zdaniem krytycznych wobec niej Gutmann i Thompsona dwie najważniejsze to prowadzenie – przynajmniej w teorii – do jednoznacznych rezultatów oraz powstrzymanie się od oceny moralnej ludzkich preferencji. Dzięki tej drugiej cesze, piszą autorzy, teorie agregacyjne mogą wydawać się neutralne moralnie, a tym samym wolne od paternalizmu – na żadnym etapie postępowania nie wartościuje się bowiem tych lub innych poglądów, wymaga się jedynie, by ich zwolennicy przekonali do swego stanowiska odpowiednią część swoich współobywateli. Gutmann i Thompson zaznaczają jednak, że owa neutralność obowiązuje jedynie w teorii, ponieważ w momencie podjęcia decyzji wszystkim przegranym narzucony zostaje porządek uchwalony wolą większości czy też najbardziej zdyscyplinowanej mniejszości. A zatem „przyjmując istniejące lub też poddane minimalnej korekcie preferencje za dane i uznając je za punkt odniesienia dla kolektywnych decyzji, koncepcja agregacyjna z zasady godzi się na istniejący w społeczeństwie rozkład władzy i może go nawet umacniać” (Gutmann, Thompson 2004: 16).

Zwolennicy demokracji agregacyjnej bronią się przed tymi zarzutami, argumentując, że proponowany przez nich system dostarcza wyłącznie bezstronnych reguł podejmowania decyzji. Nie niosą one ze sobą żadnych treści moralnych czy politycznych, a jedynie wyznaczają zasady gry, w związku z czym nie można ich oskarżać o faworyzowanie jakiegoś stronnictwa. Byłoby to równie absurdalne, jak oskarżanie twórców piłki nożnej o dominację tej lub innej drużyny – wszystkie one grają przecież według tych samych reguł. Na ten argument zwolennicy deliberacji odpowiadają, twierdząc, że żadne reguły – nawet jeśli obowiązują każdego – neutralne nie są, lecz promują określony sposób postępowania. Pojedynek bokserski także toczy się według zasad jednakowych dla wszystkich, a mimo to zwinny osiłek zawsze poradzi sobie w nim lepiej niż flegmatyczny cherlak. Podobnie rzecz się ma przy ustalaniu reguł działania systemu politycznego. Z pozoru neutralne metody podejmowania decyzji – takie jak głosowanie – siłą rzeczy prowadzą do dominacji zwartych, zdyscyplinowanych i aktywnych politycznie grup. Dzieje się tak zwłaszcza wówczas, gdy potrzeby słabszych i preferencje silniejszych nie podlegają dyskusji, a jedynie ścierają się w kolejnych głosowaniach. To niewątpliwie prawda, jednak słabość tej linii rozumowania zwolenników demokracji deliberatywnej polega na tym, że opiera się ona na karykaturalnej wizji tzw. agregacyjnych modeli demokracji.

Po pierwsze, trudno sobie wyobrazić demokrację, w której wszystkie preferencje przyjmowane byłyby bezdyskusyjnie jako dane wejściowe, a zadanie systemu ograniczałoby się wyłącznie do wyłonienia spośród nich zwycięzcy. Niektóre propozycje – takie jak na przykład pozbawienie części obywateli prawa głosu ze względu na ich płeć czy pochodzenie etniczne – nie są w ogóle dopuszczane pod obrady, ponieważ wyklucza je pewien zbiór instytucji oraz wartości, w których demokracja jest osadzona. Inne zostają odrzucone nawet wtedy, gdy służą interesom większości, ponieważ uznaje się je za w jakiś sposób krzywdzące dla pozostałych obywateli. Dominujący w kulturze zachodniej model demokracji możemy – jak to czynią zwolennicy demokracji deliberatywnej – uznać wyłącznie za zbiór procedur regulujących proces podejmowania decyzji politycznych. Nie wolno nam jednak zapominać, że tak pojmowaną demokrację chroni przed zwyrodnieniem system instytucji równoważący wpływy poszczególnych grup, a także pewien zbiór wartości zabezpieczający podstawowe interesy wszystkich członków społeczeństwa. Składają się nań poszanowanie dla wolności jednostki, równe prawo udziału w życiu politycznym, swoboda wypowiedzi, zakaz dyskryminacji ze względu na płeć, rasę i inne cechy społeczne itd. Na wagę czynników kulturowych dla funkcjonowania demokracji zwracano uwagę już dawno (por. np. Dahl 1970: 22).

Nie ulega wątpliwości, że nie w każdym kraju wszystkie te normy obowiązują, a tam gdzie obowiązują, nie zawsze są przestrzegane. Mimo to nie sposób zaprzeczyć, że częstokroć zabezpieczają one słabszych członków społeczeństwa przed niesprawiedliwymi roszczeniami ze strony silniejszych. Stwarzają również możliwość wprowadzania do debaty publicznej coraz to nowych zagadnień, a także podjęcia swobodnej rozmowy nad tymi, które już w ramach tej debaty funkcjonują. Twierdzić, że do takich dyskusji nie dochodzi, ponieważ wszelkie preferencje obywateli traktuje się po prostu jako dane, zakrawa na niedorzeczność. Mieszkańcy współczesnych demokracji nie żyją w odrębnych światach – mogą ze sobą negocjować warunki współżycia i korzystają z tej możliwości czy to bezpośrednio, czy za pośrednictwem przedstawicieli. Sprowadzając cały demokratyczny system polityczny wyłącznie do prostej agregacji głosów, zwolennicy deliberacji mierzą się ze sztucznie osłabionym i *de facto* nieistniejącym przeciwnikiem.

Po drugie, pisząc o zagrożeniu tyranią większości – jak to czynią adwokaci deliberacji – należałoby najpierw dowieść istnienia jednej, stabilnej i zdyscyplinowanej większości, konsekwentnie dążącej do realizacji własnych interesów kosztem słabszych. Tymczasem nadal otwarte pozostaje pytanie, czy taki obraz funkcjonowania systemu demokratycznego odpowiada rzeczywistości, czy też bliższe prawdzie jest twierdzenie, że tak zwana większość nie może

tyranizować mniejszości, ponieważ układ sił politycznych jest na tyle dynamiczny, że członkowie zwycięskiego stronnictwa przy kolejnych głosowaniach trafiają do stronnictwa pokonanego i na odwrót (por. Dahl 1967: 24). Jeśli jednak taką wizję demokracji uznamy za nieprawdziwą i podtrzymamy tezę o istnieniu dominującej większości lub też za teoriami elity władzy przyjmie-my, że władzę polityczną sprawują w demokracji homogeniczne i stabilne mniejszości, wówczas musimy odpowiedzieć na pytanie, co miałyby skłonić te elitarne grupy do podjęcia otwartego dialogu z resztą społeczeństwa na zasadach deliberacji. Jest to problem tym bardziej istotny, że – jak słusznie podkreślają nawet zwolennicy demokracji deliberatywnej – sama w sobie nie dostarcza ona żadnej metody podejmowania decyzji politycznych, poza tymi rzadkimi sytuacjami, w których prowadzi do powszechnie akceptowanego konsensusu. W większości innych przypadków deliberacji muszą towarzyszyć jakieś metody ostatecznego rozstrzygnięcia – najczęściej zwykle głosowanie. Przy założeniu daleko posuniętej homogeniczności poszczególnych grup społecznych (a to założenie jest teoretykom deliberacji potrzebne do spost-ponowania modelu demokracji agregacyjnej) trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób deliberacja miałaby tę homogeniczność podważyć, szczególnie jeśli ostatecznie metoda podejmowania decyzji politycznych pozostaje w systemie deliberatywnym niezmienną.

2. Normatywny charakter deliberacji

Kolejny argument krytyczny, mimo że odnosi się już bezpośrednio do teorii demokracji deliberatywnej, ściśle wiąże się z poprzednim, a w dodatku dzieli nawet zwolenników modelu deliberatywnego. Przedmiotem kontrowersji jest zakres reguł kontrolujących działanie systemu politycznego. Czy demokracja deliberatywna wprowadza jedynie najbardziej ogólne zasady dotyczące procedur podejmowania decyzji politycznych, czy też deliberatywni demokraci muszą zająć jednoznaczne stanowisko również w pewnych kwestiach etycznych? Zwolennicy tego pierwszego stanowiska argumentują, że deliberacja to przede wszystkim metoda osiągnięcia zbiorowego porozumienia, która jednak nie może w żaden sposób wpływać ani na treść zagadnień podejmowanych w dyskusji, ani na jej ostateczny wynik. Ma wyłącznie zapewnić wszystkim grupom bezstronne i jednakowe warunki uczestnictwa. Wprowadzenie do niej treści moralnych naraża teorię demokracji deliberatywnej na zarzut tendencyjności kulturowej, promowania określonej wizji człowieka, dobrego społeczeństwa, racjonalności itp. Autorzy popierający drugie stanowisko twierdzą z kolei, że czysto proceduralne zasady nie istnieją i nawet przyznanie każdemu człowiekowi równego prawa głosu opiera się na jakiejś podstawie

moralnej – uznania wszystkich ludzi za równych względem prawa. Spór ten ma dla demokracji deliberatywnej fundamentalne znaczenie, a każde z rozwiązań wykazuje pewne słabości.

Amy Gutmann i Dennis Thompson starają się rozwiązać ten problem, podając trzecie, na swój sposób kompromisowe rozwiązanie. W punkcie wyjścia autorzy dokonują rozróżnienia na dwa rodzaje teorii politycznych, pierwszego i drugiego rzędu (*first-order* i *second-order theories*). Teorie pierwszego rzędu to takie, które dążą do rozwiązania sporów moralnych poprzez wykazanie, że alternatywne w stosunku do nich punkty widzenia i zasady powinny zostać odrzucone. Miarą ich powodzenia jest nie tylko zdyskredytowanie konkurencyjnych doktryn, ale również znalezienie rozwiązań dla poszczególnych problemów moralnych na gruncie swych własnych zasad. Jako przykłady teorii pierwszego rzędu Gutmann i Thompson podają utilitaryzm, libertarianizm oraz komunitarianizm. Teoria demokracji deliberatywnej jest ich zdaniem teorią drugiego rzędu, a więc „teorią o innych teoriach” – to znaczy dostarczającą narzędzi pozwalających na radzenie sobie ze sprzecznymi roszczeniami teorii pierwszego rzędu. Teorie drugiego rzędu nawiązują do zasad obowiązujących w teoriach pierwszego rzędu, „nie przesądzając jednak ostatecznie o ich zasadności”, a zatem mogą być podtrzymywane, nie wymagając zarazem „odrzućcia żadnej z szerokiego wachlarza zasad moralnych wyrażanych przez teorie pierwszego rzędu” (Gutmann, Thompson 1999: 260; por. także Gutmann, Thompson 2004: 13).

Przyjęcie takiego sposobu rozumienia demokracji deliberatywnej, zgodnie z którym zostaje ona niejako nadbudowana nad inne normatywne teorie polityczne, automatycznie prowadzi do radykalnego poszerzenia zakresu debaty publicznej. Jeśli deliberacja to jedynie zbiór wytycznych proceduralnych, wówczas właściwie każda kwestia może stać się przedmiotem publicznego sporu – o ile oczywiście zostanie on przeprowadzony według odpowiednich procedur. Mało tego, chcąc podkreślić elastyczność systemu demokracji deliberatywnej, który dostosowuje się do szybko zmieniającej się rzeczywistości społecznej, autorzy stwierdzają, że ostatecznie przedmiotem deliberacji mogą stać się nawet same reguły rządzące deliberacją. „Zasady demokracji deliberatywnej – piszą Gutmann i Thompson (2004: 132) – wyróżniają się pod dwoma istotnymi względami: są prowizoryczne moralnie (tzn. mogą ulec zmianie na drodze toczących się sporów moralnych) oraz prowizoryczne politycznie (tzn. mogą ulec zmianie na drodze toczących się sporów politycznych)”. W innym miejscu książki dodają zaś, że „teoria jest moralnie prowizoryczna, jeśli jej zasady mogą ulec zmianie w odpowiedzi na nowe refleksje moralne i odkrycia empiryczne. (...) Teoretyk demokracji deliberatywnej

musi dopuszczać możliwość zmiany wyznawanych przez siebie podstawowych zasad rządzących demokracją. Teoria deliberatywna może na przykład stać się mniej lub bardziej egalitarna, mniej lub bardziej libertariańska, pozostając przy tym w pełni deliberatywna” (Gutmann, Thompson 2004: 57)⁷.

Czy ta elastyczność oznacza, że na deliberatywnej wokandzie mógłby stać na przykład postulat przywrócenia niewolnictwa lub ograniczenia praw obywatelskich ze względu na płeć lub orientację seksualną? Na to Gutmann i Thompson zdecydowanie zgodzić się nie chcą⁸. „Pewne spory – na przykład wezwanie do tego, by wykluczyć Afroamerykanów, Żydów czy homoseksualistów z różnego rodzaju stowarzyszeń – jednoznacznie wymagają od demokracji potwierdzenia jej przywiązania do zasad niedyskryminacji i równych szans jako zasad dla niej fundamentalnych. Inne spory jednakże nie powinny być tak jednoznacznie rozstrzygane. Nazywamy je sporami deliberatywnymi” (Gutmann, Thompson 2004: 28). Spory deliberatywne nie dotyczą zdaniem autorów kwestii, w których rozróżnienie między dobrem a złem nie nastęca trudności, ale takich, w których każde stanowisko może być racjonalnie zaakceptowane przez każdą ze stron.

Jak jednak określić, czy dany konflikt zalicza się do pierwszej, czy drugiej kategorii? W jednym ze swych tekstów autorzy przyznają, że można tego dokonać w drodze deliberacji. Takie rozwiązanie w oczywisty sposób prowadzi nas do błędnego koła – obywatele zostają bowiem zmuszeni do deliberowania o tym, co może a co nie może stać się przedmiotem deliberacji. Uciec przed paradoksem można, wybierając inny sposób rozstrzygnięcia tego problemu, nawiasem mówiąc również autorstwa Gutmann i Thompsona, którzy wprowadzają pojęcie „izolacji instytucjonalnej” (*institutional isolation*), czyli ochrony pewnych fundamentalnych zasad przed możliwością ich zakwestionowania. Zakres tej ochrony miałby – zdaniem autorów – zależeć od stopnia „racjonalnej pewności” (*reasonable confidence*), jaką ludzie w danej epoce mogliby pokładać w określonej zasadzie. „Im większa byłaby ich racjonalna pewność,

⁷ Analogiczny pogląd na tę kwestię przedstawia Seyla Benhabib (1996: 79): „Charakterystyczna cecha modelu dyskursywnego polega na tym, że zakłada on, iż uczestnicy dyskusji muszą w jakimś sensie uznawać swoje wzajemne prawo do moralnego szacunku i wzajemności. Określenie dokładnej treści i zasięgu tych zasad samo dokonywałoby się na drodze dyskusji. Z tego względu, że dokładne znaczenie i konsekwencje norm powszechnego szacunku moralnego i egalitarnej wzajemności poddane byłyby dyskursywnemu uprawomocnieniu, możemy w tym wypadku mówić o uprawomocnieniu rekursywnym”.

⁸ Na ten sam problem zwracano także uwagę w odniesieniu do postulatów Seyli Benhabib (zob. Gould 1996: 178).

tym większy zakres izolacji byłby usprawiedliwiony” (Gutmann, Thompson 2004: 54). Pomijając problem operacjonalizacji owej racjonalnej pewności, należy zauważyć, że przyjmując to rozwiązanie, musimy zrezygnować z definiowania teorii demokracji deliberatywnej jako teorii drugiego rządu, albowiem wprowadza ona wówczas pewien zakres nienaruszalnych norm. To z kolei sprawia, że wraca do zbioru teorii pierwszego rządu, a więc koncepcji, których słabości miała w swym założeniu przewycięzać.

Powyższy paradoks widać wyraźnie w pracach Gutmann i Thompsona, którzy nieustannie lawirują między proceduralną a substancjalną teorią demokracji deliberatywnej. W pierwszym przypadku odmawiają bezwzględne poparcia dla jakiegokolwiek wartości, łącznie z samą deliberacją, w drugim zapewniają czytelnika, że pewne tematy należy z deliberacji wykluczyć ze względu na ich oczywistą moralną naganność. I tak w jednej z książek czytamy, że „demokracja deliberatywna to teoria drugiego rządu, a związku z tym (podobnie jak niektóre teorie proceduralne) daje pole do ciągłego konfliktu moralnego, który teorii pierwszego rządu starają się wyeliminować” (Gutmann, Thompson 2004: 127), a z nieco wcześniejszej dowiadujemy się, iż „demokracja deliberatywna z pewnością nie jest jedynie metodą czy procedurą, ale zawiera w sobie jednoznaczne zabezpieczenia podstawowych wolności i szans” (Gutmann, Thompson 1999: 261). „Zgodnie z naszą teorią, podstawowe zasady sprawiedliwości powinny być otwarte na zmiany w drodze procesu deliberacji” (Gutmann, Thompson 1999: 271), piszą autorzy kilka stron dalej w tej samej, wcześniejszej publikacji, a gdzieś pomiędzy jednym ekstremum a drugim oświadczają, iż perspektywa wzajemności rządząca demokracją deliberatywną ma charakter „zarówno proceduralny, jak i substancjalny” (Gutmann, Thompson 1999: 265). Z kolei powracając do nowszej książki ich autorstwa, *Why Deliberative Democracy?*, dowiemy się, że „zasada wzajemności ma się do sprawiedliwości w etyce politycznej, jak replikacja do prawdy w nauce. (...) Podobnie jak replikacja staje się niepotrzebna, kiedy jakaś prawda (na przykład prawo grawitacji) została już wielokrotnie potwierdzona, tak i powtarzanie deliberacji staje się niepotrzebne, kiedy jakieś przekonanie o tym, co sprawiedliwe (na przykład o zasadzie równej ochrony), zostało już poddane wyczerpującej deliberacji” (Gutmann, Thompson 2004: 133–134).

Ten krótki wybór niespójności obecnych w tekstach wybitnych adwokatów demokracji deliberatywnej jednoznacznie pokazuje, że z tym problemem deliberatywni demokraci nie zdołali sobie dotychczas poradzić.

3. Granice deliberacji

Problem granic deliberacji nie dotyczy jedynie kwestii istnienia pewnych podstawowych reguł normatywnych, które powinny być w demokracji bezwzględnie chronione, ale również wielu bardzo przyziemnych, a jednocześnie kontrowersyjnych decyzji, które deliberacji nie mogą zostać poddane, choćby ze względów bezpieczeństwa. Trudno na przykład przeprowadzić deliberację na temat wypowiedzenia wojny drugiemu państwu lub wysłania tajnych agentów z misją infiltracji niebezpiecznej organizacji mafijnej, nie narażając przy tym tych przedsięwzięć na klęskę (Shapiro 1999: 28–38). Deliberacja w takim wypadku jest wykluczona ze względu na specyficzny charakter kwestii, której ma dotyczyć.

Z tym zagadnieniem wiąże się kolejne: czy deliberacja powinna zostać wprowadzona tylko w wybranych instytucjach państwowych, czy też należy zobowiązać do niej również organizacje społeczne, prywatne firmy, stowarzyszenia itd.? Przeciw takiemu rozwiązaniu, obok przytoczonego wyżej argumentu, zgodnie z którym nie wszystkie kwestie mogą być analizowane publicznie, przemawia poszanowanie dla jednostkowej wolności. Nie każde stowarzyszenie chce podejmować decyzje w drodze deliberacji – na przykład w drużynie sportowej lepsze wyniki zwykle osiąga się, kiedy zarządzenia co do składu zespołu, formy treningów i taktyki zostają podjęte odgórnie przez trenera lub kapitana, a nie w drodze dyskusji wszystkich zawodników. Według analogicznych zasad, sankcjonujących przywództwo wąskiej grupy liderów, może funkcjonować wiele przedsiębiorstw, zespołów muzycznych, kółek teatralnych, chórów czy ruchów religijnych.

Czy wolno nam zmuszać członków tych niepolitycznych, prywatnych stowarzyszeń do deliberacji? Na tak postawione pytanie zwolennicy deliberacji nie odpowiadają, przyznają jednak, że „demokraci deliberatywni (...) powinni opowiadać się za rozszerzeniem praktyki deliberacji na społeczeństwo obywatelskie. Powinni zwrócić uwagę na cały szereg instytucji pośredniczących: te, które oddziałują na obywateli (np. media, organizacje ochrony zdrowia, profesjonalne drużyny sportowe), te, w których obywatele działają (grupy interesów, prywatne kluby, związki zawodowe, organizacje pracownicze), a także te, w których obywatele pracują (korporacje, małe przedsiębiorstwa, rząd, organizacje wojskowe)” (Gutmann, Thompson 2004: 61).

Poza czysto praktycznym problemem narzucenia wszystkim tym organizacjom deliberacji jako metody podejmowania decyzji, powyższy postulat prowadzi do dwóch poważnych problemów teoretycznych. Po pierwsze, skoro, jak często powtarzają zwolennicy demokracji deliberatywnej, w systemie tym większość reguł może podlegać zmianom i negocjacjom, to jak

jednocześnie możemy wprowadzić zasadę zmuszającą tak wielką grupę organizacji do funkcjonowania według standardów deliberatywnych? Jakże dokładnie to mają być standardy? Czy każdej organizacji wolno samodzielnie je renegocjować, czy też wymagana jest do tego bardziej powszechna zgoda? Po drugie, jaki status w takim systemie politycznym mają inne techniki prowadzenia działalności politycznej i osiągania celów z nią związanych, takie jak demonstracje, okupacje, lobbing, kampanie reklamowe, zbieranie funduszy itd.? Czy wszystkie one muszą zostać wyeliminowane i zastąpione deliberacją? (Walzer 1999: 58–69). Na tak dramatyczne zawężenie życia politycznego zwolennicy demokracji deliberatywnej nie mogą sobie pozwolić, nie ryzykując osunięcia się w opary absurdu. Z tego względu Gutmann i Thompson przyznają, że „kiedy niedeliberatywne metody prowadzenia polityki – marsze antywojenne, strajki okupacyjne i strajki robotnicze – są konieczne dla osiągnięcia celów deliberatywnych, wówczas teoria deliberatywna konsekwentnie zawiesza wymóg deliberacji. Należy podkreślić, że powyższe działania często prowokują więcej deliberacji, niż miałyby miejsce wówczas, gdyby w ogóle do nich nie doszło. Nawet jednak gdy tak nie jest, można je usprawiedliwić, jeśli owocują stworzeniem przyszłych okazji do deliberatywnej krytyki niesprawiedliwości” (Gutmann, Thompson 2004: 51).

Odpowiedź ta nie jest satysfakcjonująca nie tylko z powodu kolejnych trudności praktycznych, jakie ze sobą niesie – trudno sobie bowiem wyobrazić, kto i jak miałby bezustannie decydować o tym, czy lobbing w jednej sprawie lub protest w innej ostatecznie będą sprzyjały deliberacji. Nie jest satysfakcjonująca, ponieważ wiążąc z deliberacją wszystkie inne metody działalności politycznej, wymaga jednocześnie bardzo mocnego uzasadnienia, dlaczego deliberację powinniśmy cenić tak wysoko, by to jej podporządkować całe życie polityczne we współczesnej demokracji. Tego fundamentalnego uzasadnienia w pismach zwolenników demokracji deliberatywnej nie znajdziemy.

4. Skutki deliberacji

Jak już wspomniałem, nie uzgodniono do tej pory jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, na czym polega najważniejsza wartość deliberacji. Część autorów uważa, że jej skutkiem są decyzje bardziej sprawiedliwe niż te podejmowane w drodze prostej agregacji preferencji, cieszą się one również większą legitymizacją społeczną. Inni idą o krok dalej i twierdzą, że deliberacja prowadzi do rozwiązań, „które można określić jako racjonalne, roztropne lub nawet prawdziwe”, a zatem obiektywnie lepsze niż te osiągnięte za pomocą innych metod podejmowania decyzji. Spór ten bardzo ściśle wiąże się z omówionymi wcześniej, tworząc trudny do rozsupłania węzeł teoretycznych

niespójności. Co więcej, przy bliższej analizie okazuje się, że jest to konflikt chybiony, ponieważ obie jego strony poszukują odpowiedzi na pytanie o z góry przesądzonej odpowiedzi. W ostatecznym rozrachunku zwolennicy demokracji deliberatywnej, chcąc podtrzymać inne swoje twierdzenia, muszą bowiem uznać, że prowadzi ona do decyzji obiektywnie, a nie jedynie relatywnie lepszych. Przyjęcie takiego stanowiska nie rozwiązuje jednak wszystkich trudności.

Czy deliberacja prowadzi do decyzji bardziej sprawiedliwych niż agregacja preferencji? Jeśli przyjmiemy, że teoria deliberacji jest teorią drugiego rzędu, a więc dostarcza wyłącznie pewnych reguł prowadzenia debaty politycznej, to nie możemy odpowiedzieć na to pytanie. Proceduralna teoria demokracji nie przypisuje podjętym decyzjom żadnej wartości moralnej – kiedy wyboru dokona się zgodnie z procedurami, wówczas staje się on obowiązujący, nie ocenia się natomiast tego, czy jest to wybór dobry, czy zły. Jak wykazano wcześniej, deliberatywni demokraci niekiedy odchodzą jednak od czysto proceduralnego stanowiska i wprowadzają pewien minimalny zestaw wartości, które ich zdaniem powinny być w demokracji bezwzględnie chronione. Należą do nich chociażby wartości rządzące samą deliberacją, na przykład zasada wzajemnego szacunku czy otwartości. Godząc się na takie postrzeganie deliberacji, moglibyśmy powiedzieć, że dobre decyzje polityczne to takie, które są zgodne z tymi regułami, a dodatkowo przyczyniają się do ich dalszego przestrzegania w przyszłości, czyli pozwalają na dalszą i być może jeszcze lepszą deliberację. Tym samym popadamy jednak w błędne koło uzasadnień. Uznajemy bowiem decyzję podjętą w wyniku deliberacji za dobrą, jeśli zachowuje standardy deliberacji i pozwala na podniesienie poziomu przyszłych dyskusji. W takim wypadku deliberacja – a zatem rzecz, której przydatności mieliśmy dowieść – staje się jednocześnie kryterium oceny tej przydatności.

Powracamy więc do konieczności wprowadzenia zewnętrznych kryteriów oceny deliberacji. Na kryteria moralne wielu autorów popierających deliberację nie chce się jednak zdecydować, obawiając się zarzutu o tendencyjność kulturową i promowanie wartości zachodnich kosztem wartości innych kultur. Sposobem wyjścia z tej trudności jest stwierdzenie, iż deliberacja prowadzi do rozwiązań obiektywnie lepszych, to znaczy właśnie „racjonalnych, roztropnych lub nawet prawdziwych”. Takie rozwiązanie także ma swoje konsekwencje. Nie chodzi wyłącznie o niewątpliwe trudności w określeniu, na czym polega w danej kwestii rozwiązanie racjonalne czy prawdziwe, ale o problem trwałości decyzji podjętej w wyniku tak rozumianej deliberacji. Jedynym sposobem na ponowne otwarcie debaty po zakończeniu jej „racjonalną” lub „prawdziwą” decyzją byłoby udowodnienie, że zmieniły się

okoliczności zewnętrzne mające na tę decyzję zasadniczy wpływ. W przypadku fundamentalnych pytań etycznych – na przykład o dopuszczalność aborcji lub przyzwolenie na kontrowersyjne praktyki religijne – taka zmiana warunków siłą rzeczy występuje niezwykle rzadko (o ile w ogóle następuje). Dla przeciwnika aborcji jest ona morderstwem niezależnie od tego, jakimi technologiami i w jakich warunkach się jej dokonuje, a dla zwolennika jej dopuszczalności pod pewnymi warunkami pozostaje wolnym wyborem kobiety, wolny wybór jest zaś wartością, która nie może być zmieniana w zależności od warunków zewnętrznych. A zatem w tego rodzaju wypadkach ponowne otwarcie dyskusji już po przyjęciu uchwały w wyniku przeprowadzonej deliberacji byłoby właściwie niemożliwe do uzasadnienia. Raz dokonany wybór obowiązywałby bezterminowo (por. Friberg-Fernros, Karlsson Schaffer 2010).

Istnieje jednak inny typ decyzji, dotyczący tych obszarów życia zbiorowości, w których warunki zewnętrzne nieustannie wpływają na zmianę naszego pojmowania tego, co w danej sprawie rozumne. Przykładowo decyzja o wprowadzeniu nowego podatku może nam się wydawać słuszna w pewnym momencie, ale po jakimś czasie, w nowej sytuacji ekonomicznej, uznajemy ją za szkodliwą. Gdybyśmy i te kwestie chcieli regulować za pomocą deliberacji, wówczas problemem jest z kolei pytanie o to, komu przysługuje prawo do stwierdzenia, że do takiej zmiany warunków doszło, w związku z czym należy rozpocząć debatę od nowa. Jeśli takie prawo przyznamy każdemu obywatelowi, to nietrudno wyobrazić sobie sytuację, w której deliberacja byłaby przedłużana w nieskończoność ze względu na nieustannie zmieniające się okoliczności.

Podsumowując, gdybyśmy procedurę deliberacji chcieli ograniczyć tylko i wyłącznie do wąskiego zbioru kwestii regulujących względnie stałe zagadnienia, wówczas raz podjętych decyzji właściwie nie będzie można zmienić. Jeśli z kolei uznamy, że deliberować należy, jeśli nie o wszystkich, to przynajmniej o większości pojawiających się problemów politycznych, wówczas żadnej decyzji nie będzie można podjąć.

5. Sondaż deliberatywny – analiza krytyczna

Omówione problemy nie ograniczają się wyłącznie do rozważań teoretycznych, ale zyskują nowe, interesujące wymiary przy próbie zrealizowania ideałów deliberacji w praktyce. Widać to doskonale na przykładzie sondażu deliberatywnego Jamesa Fishkina – jak dotychczas najbardziej ambitnego przedsięwzięcia tego rodzaju.

Podstawowym celem sondażu deliberatywnego jest przewyżczenie wspomnianego już wcześniej „trójlematu demokracji”, polegającego na

niemożności jednoczesnego urzeczywistnienia trzech najważniejszych cech tego systemu – politycznej równości, braku tyranii i deliberacji właśnie. W jaki sposób sondaż deliberatywny spełnia te warunki? Obecność deliberacji jest w nim oczywista z definicji. Polityczną równość zapewnia się poprzez losowy dobór próby, dzięki czemu każdy obywatel ma jednakową szansę na znalezienie się w gronie kilkuset obradujących. Problem tyranii, czyli dominacji większości lub dobrze zorganizowanej mniejszości, eliminuje zaś zdaniem Fishkina kilka czynników: jednakowe materiały, na podstawie których uczestnicy przygotowują się do dyskusji; identyczne prawa regulujące udział każdego w tejże dyskusji, w tym dokładnie taka sama ilość czasu przysługująca każdemu uczestnikowi na wypowiedź; oraz obecność moderatorów czuwających nad przebiegiem obrad w małych, kilkunastoosobowych grupach, do jakich przydziela się uczestników sondażu. Wszystkie te elementy mają za zadanie zneutralizować jedną z zasadniczych wad wszelkich debat, polegającą na dominacji osób najlepiej przygotowanych i wykształconych nad innymi dyskutantami. Zdaniem amerykańskiej politolog, Jane Mansbridge, Fishkin swój cel osiągnął:

Moderatorzy sondaży deliberatywnych starają się zapobiec dominacji lepiej wykształconych, która występuje w przypadku większości innych form działalności politycznej (...). Wybory odbywające się w demokracjach, gdzie nie ma obowiązku głosowania ani głęboko zaangażowanych partii robotniczych, prowadzą do wyraźnego zróżnicowania klasowego pod względem frekwencji wyborczej. Nawet w przypadku demokracji bezpośredniej, jak np. zgromadzeń miejskich organizowanych w Nowej Anglii, osoby wykształcone częściej biorą w nich udział i częściej zabierają głos (Mansbridge 2010: 57).

Następnie Mansbridge pisze, że sondaże deliberatywne, nawet jeśli nie stwarzają warunków całkowitej równości, z pewnością sprzyjają jej bardziej niż tradycyjne wybory czy zwykłe zgromadzenie obywateli. Opisy faktycznie przeprowadzonych sondaży deliberatywnych, transmitowanych w telewizji, budzą jednak poważne wątpliwości, czy tak rzeczywiście jest. Oto jakie emocje – zdaniem samego Jamesa Fishkina – mogą towarzyszyć uczestnikom sondażu deliberatywnego:

Oczekiwanie na to wydarzenie, na uczestnictwo w dyskusji, na możliwość zadania pytań ekspertom i politykom, na to, iż prawdopodobnie w ciągu tego procesu zostaniemy nagrani i pokazani w telewizji. Już na długo przed samą deliberacją, w ciągu tygodni dzielących rekrutowanie od przyjazdu na miejsce, wielu uczestników zaczęło zwracać większą uwagę na istotne dla tematu informacje, częściej omawiać je z rodziną i przyjaciółmi oraz samodzielnie o nich myśleć (Luskin, Fishkin, Jowell 2002: 459).

Opis ten, mający pokazać siłę motywacji wywoływanej przez udział w sondażu deliberatywnym, uświadamia nam jednocześnie, jak wyjątkowa jest to sytuacja dla większości ludzi i w związku z tym jak bardzo podatna na oddziaływanie wszelkich nierówności wynikających z wykształcenia, zdolności do publicznego zabierania głosu oraz kompetencji intelektualnych. Twierdzenie, że wówczas eliminowany jest element „tyranii” czy to ze strony lepiej poinformowanych uczestników, czy też ze strony dominujących w dyskursie publicznym poglądów, jest więc twierdzeniem na wyrost, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę pracę moderatorów⁹.

Także inne sposoby redukcji wejściowych nierówności najpewniej nie są skuteczne. Jeden z nich polega, jak już wspomniałem, na dostarczeniu uczestnikom jednakowych materiałów, które mają zapoznać ich z różnymi punktami widzenia danego problemu. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę najprostsze nawet statystyki mierzące zdolność czytania ze zrozumieniem, wówczas stanie się jasne, że w przypadku reprezentatywnej próbki na przykład społeczeństwa amerykańskiego (ale również społeczeństw europejskich) dostarczenie ludziom materiałów na piśmie niczego nie zmieni. Nawet jeśli założymy, że zmotywowani występowaniem uczestnicy sondażu postanowią zapoznać się z dostarczonymi materiałami, duża część po prostu nie będzie ich w stanie zrozumieć, skoro – jak pokazują statystyki – ponad 40% Amerykanów nie potrafi pojąć instrukcji stosowania lekarstwa, a jeden na siedmiu nie rozumie tekstu trudniejszego niż dziecięca książeczka z obrazkami¹⁰. Tak znaczące różnice nie mogą zostać zlikwidowane w ciągu kilku tygodni.

Wbrew nadziejom twórców sondażu, nie eliminuje on więc problemu nierówności. Byłoby tak jedynie wówczas, gdyby uczestnicy w momencie rozpoczęcia dyskusji dysponowali jednakową wiedzą na dany temat oraz jednakowymi umiejętnościami wyrażania swych poglądów. Aby tak się stało, musieliby przystępować do sondażu jako *tabula rasa* lub też „pod zasłoną niewiedzy”. Warunku tego nie można jednak spełnić, ponieważ rujnuje on zasadniczą ideę Fishkina polegającą na zebraniu przypadkowych przedstawicieli różnych środowisk i zderzeniu ze sobą różnych perspektyw (zob. Fishkin, Luskin, Jowell 2000: 657–666). To zderzenie praktycznej i teoretycznej niemożliwości zrealizowania najważniejszego postulatu deliberacji prowadzi do paradoksu, z którego nie sposób się wyplątać. Przewaga jednych obywateli nad drugimi

⁹ Argument stwierdzający, że sondaż deliberatywny powiela nierówności intelektualne i kompetencyjne obecne w życiu codziennym, jest zarzutem chyba najczęściej wykorzystywanym przez przeciwników sondażu (zob. Posner 2003; Przeworski 1999).

¹⁰ Źródło: http://www.readfaster.com/education_stats.asp#readingstatistics, oraz http://usatoday30.usatoday.com/news/education/2009-01-08-adult-literacy_N.htm.

polegająca na nierówności wiedzy, jaką dysponują „na wejściu”, na zróżnicowanych umiejętnościach zrozumienia prezentowanych argumentów, a także przedstawienia własnych poglądów, nie znika w wyniku przeniesienia tych ludzi do mikrokosmosu grupy zebranej w celu prowadzenia sondażu deliberatywnego. Twierdząc co innego, autorzy sondażu obiecują nam więcej niż są w stanie zrealizować – to problem praktyczny¹¹. Problem teoretyczny polega na tym, że nawet gdyby takie zrównanie było możliwe i zostało dokonane, sama deliberacja straciłaby sens – oto na sali mielibyśmy bowiem reprezentatywną próbkę ludzi bez właściwości. Sondaż z jednej strony stara się zebrać w jednym miejscu mikrokosmos społeczeństwa wraz z obecnymi w nim konfliktami, sojuszami, sympatiami itd., z drugiej nakazuje wszystkie te cechy życia zbiorowości pozostawić na zewnątrz, aby nie zakłócały przebiegu dyskusji opartej na zasadzie równości. Spełnienie obu tych wymogów naraz jest niemożliwe.

Czy jednak te ułomności mają tak istotne znaczenie? W tym miejscu powracamy do argumentów na rzecz demokracji deliberatywnej wymienionych wcześniej. Gdyby celem procesu deliberacji było wyłącznie podniesienie legitymizacji podejmowanych decyzji, poprawienie stanu wiedzy obywateli na dany temat lub nauczanie ich sztuki dyskusji i argumentacji, wówczas utrzymujące się w grupach nierówności nie byłyby tak istotne. Problem polega na tym, że sondaż deliberatywny wychodzi poza te dążenia. Jakie więc cele sobie stawia? W tej kwestii Fishkin i jego współpracownicy są niekonsekwentni. Z jednej strony piszą bowiem, iż „sondaż deliberatywny został zaprojektowany po to, by pokazać, co ludzie myśleliby o danych kwestiach, gdyby poważniej się nad nimi zastanowili i gdyby dysponowali większą ilością informacji na ich temat. Jest to próba spojrzenia na hipotetyczne społeczeństwo, bardziej zaangażowane i lepiej poinformowane w sprawach polityki niż

¹¹ Na opinie uczestników oddziaływać mogą zresztą nie tylko najlepiej przygotowani uczestnicy, ale również skład małych, kilkunastoosobowych grup, w których odbywa się znaczna część dyskusji. Fakt ten potwierdza sam Fishkin, kiedy w podsumowaniu jednego z sondaży pisze: „Zaistniała niewielka tendencja polegająca na zmianie opinii ludzi zgodnie z opiniami małych grup, do których należeli (być może był to rezultat prostego konformizmu, ale być może również zasadnej perswazji)” (Luskin, Fishkin, Jowell 2002: 485). W przypadku sondażu deliberatywnego organizowanego w Australii i poświęconemu statusowi Aborygenów Fishkin przyznaje, że zawayano w nim liczbę przedstawicieli tej grupy, ponieważ ich obecność miała wpływ na poglądy pozostałych uczestników: „Jak się okazało, wszystkie grupy przesunęły się w tym samym kierunku (mówiąc ogólnie, w kierunku polityki pojednania z aborygeńską mniejszością), ale grupy, w których było więcej Aborygenów, przesunęły się w tym kierunku wyraźniej” (Fishkin 2009: 39). Widać więc, że nie tylko jakość argumentów, ale i skład grup ma wpływ na ostateczne decyzje uczestników sondażu.

rzeczywiści obywatele w ich naturalnym otoczeniu” (Luskin, Fishkin, Jowell 2002: 458). Trudno jednak uwierzyć, by w całym – dodajmy bardzo kosztownym – przedsięwzięciu chodziło jedynie o zaspokojenie ciekawości dotyczącej hipotetycznych decyzji społeczeństwa podejmowanych w nieco zmienionych warunkach. Ostatecznym celem sondażu deliberatywnego jest wypracowywanie decyzji i to decyzji *lepszyc*.

O tym, że ambicje amerykańskiego profesora są daleko większe niż on sam niejednokrotnie twierdzi, świadczą wypowiedzi samego Fishkina, na przykład wówczas, gdy stwierdza, że „choć organizacja tego rodzaju sondażu to poważny koszt, błędy rządu kosztują jeszcze więcej” (Fishkin, Luskin, Jowell 2000: 665). Celem jest zatem uniknięcie nieprzemyślanych kroków, podobających się wyłącznie niedoinformowanemu elektoratowi, i wybór lepszych rozstrzygnięć. Te daleko idące aspiracje, w połączeniu z twierdzeniem, jakoby warunki sondażu deliberatywnego eliminowały oddziaływanie nierówności społecznych, mają poważne konsekwencje. Fishkin i jego zwolennicy próbują nas bowiem przekonać, że udało im się w rzeczywistości zrealizować warunki „idealnej sytuacji komunikacyjnej”. Może to prowadzić do twierdzenia, że podjęte w czasie sondażu decyzje opierają się na czysto rozumowym opracowaniu uzyskanych informacji. W takim wypadku decyzje te stałyby się całkowicie odporne na krytykę – jak bowiem można kwestionować rozstrzygnięcia, które wcześniej uznaliśmy za bezstronne i rozumne? Autor sondażu deliberatywnego przekonuje, że rozstrzygnięcia będące jego rezultatem nie mają charakteru wiążącego, ale jest to deklaracja trudna do podtrzymania tym bardziej, że sam Fishkin nie jest pod tym względem konsekwentny.

Omawiając wcześniej Fishkina diagnozę współczesnej demokracji, podkreślałem krytyczny stosunek amerykańskiego politologa do jej „plebiscytowego” charakteru. Według tego autora demokracja jest dziś zdominowana przez wszechobecne sondaże, których wyniki kształtują decyzje polityczne. Zasadnicza wada tego systemu polega na tym, że tradycyjny sondaż zbiera opinie nieprzemyślane i przypadkowe. Zdaniem Fishkina ludzie mają opinie – rozumiane jako ugruntowane poglądy – na o wiele mniej spraw, niż to wynika z sondaży. Ankietowani bardzo często nie chcą zdradzić, że czegoś nie wiedzą, dlatego wolą udzielić odpowiedzi przypadkowej niż przyznać się do swojej ignorancji. Na potwierdzenie swoich słów Fishkin przywołuje słynny sondaż przeprowadzony przez George’a Bishopa z Uniwersytetu Cincinnati (Fishkin 2009: 2). Bishop pytał w nim ludzi o ich opinię na temat ustawy *Public Affairs Act*. Okazało się, że duży odsetek ankietowanych popierał ustawę lub był jej przeciwny, mimo że w rzeczywistości taka ustawa nigdy nie istniała. Kiedy dwadzieścia lat później dziennikarze „The Washington Post”

zapytali Amerykanów, czy *Public Affairs Act* powinna zostać uchylona, znów duży odsetek badanych wyraził swoją opinię na temat nieistniejącego prawa.

Przytoczony przez samego Fishkina przykład podaje w wątpliwość zdrowy rozsądek obywateli i każe zadać pytanie, dlaczego nie mieliby oni stosować dokładnie tej samej strategii odpowiedzi podczas sondażu deliberatywnego. Amerykański politolog mógłby w tym miejscu argumentować, że w sytuacji zwykłego sondażu ludziom bardzo często brakuje podstawowych danych potrzebnych do udzielenia odpowiedzi. Sondaż deliberatywny rozwiązuje ten problem, ponieważ dostarcza uczestnikom wystandaryzowanych informacji, które rozszerzają ich wiedzę na temat danego zagadnienia. To z pozoru dobry argument, ale gdy dokładniej zapoznamy się z tekstami Fishkina, okaże się, że jego zdaniem nawet osoby zainteresowane danym zagadnieniem i posiadające wiedzę na jego temat bardzo często udzielą równie nieprzemyślanych odpowiedzi, ponieważ posługują się tendencyjnymi informacjami. Lobbyści, media, grupy interesów nieustannie wysyłają do zwykłych obywateli rozmaite komunikaty, czyniąc ich tym samym bardzo podatnymi na manipulację (Fishkin 2009: 6). Okazuje się więc, że w życiu codziennym większość obywateli nie potrafi dokonywać selekcji informacji i niezależnie kształtować swoich opinii. Zamiast rozsądkiem, kierują się oni podszywani im przez różne środowiska sposobami interpretacji otaczającego świata. Dlaczego w czasie sondażu deliberatywnego miałyby być inaczej? Odpowiedź Fishkina jest jednoznaczna – ze względu na specyfikę sytuacji, jaką jest sondaż deliberatywny oraz stworzone w nim „idealne” warunki dyskusji. O zastrzeżeniach do tego elementu teorii Fishkina pisałem wcześniej, nie ma więc potrzeby wracać do nich ponownie. Zamiast tego warto zwrócić uwagę na inną ciekawą konstrukcję myślową, na której zbudowana jest ta koncepcja.

Fishkin odmawia ludziom zdolności do kierowania się racjonalnością w codziennych sytuacjach, dowodząc, że uniemożliwia im to bezustanna manipulacja przede wszystkim ze strony mediów. Aby zdrowy rozsądek wydobyć, obywatel musi się znaleźć w specjalnych, dobrych okolicznościach stworzonych w ramach sondażu deliberatywnego. To dość karkołomne założenie, ponieważ, mówiąc w pewnym uproszczeniu, twierdzi się w nim, że ludzie są rozsądni tylko od święta. Nie współgra ono również z pozostałą częścią wizji amerykańskiego politologa, który za podstawę przyjmuje ideał demokracji ateńskiej i jak najszerzego zaangażowania obywateli w życie publiczne (w tym nawet powrotu do losowego wybierania ludzi na urzędy) (Fishkin 2009: 11 i nast.). Słabość teorii Fishkina w omawianym kontekście nie polega na założeniu, że ludzie w swoim postępowaniu kierują się rozsądkiem, ale na tym, że robią to bardzo rzadko i w bardzo wyjątkowych sytuacjach. Rodzi

się tym samym poważna niespójność, polegająca na wielkiej wierze w rozum człowieka w czasie sondażu deliberatywnego i braku tej wiary w odniesieniu do codziennego życia obywateli. Autorzy sondażu przeceniają neutralizujący nierówności charakter warunków, w jakich się on odbywa, do tego stopnia, że uznają ludzi za zdolnych do podejmowania racjonalnych decyzji jedynie w tych właśnie okolicznościach. Nie rozwiązują również szeregu problemów teoretycznych, z którymi boryka się teoria demokracji deliberatywnej, a którym poświęcony był niniejszy artykuł. Dotyczą one między innymi zakresu tematów podejmowanych w ramach deliberacji, celów, jakie ma ona osiągnąć, a także instytucji, które powinna objąć. Wreszcie, nie dają odpowiedzi na pytanie, jak chcą zachować różnorodność ludzi tak, by mieli o co się ze sobą spierać, a jednocześnie zlikwidować między nimi wszelkie różnice, które zagrażałyby równemu udziałowi wszystkich obywateli w tym sporze.

■ Podsumowanie

Pojęcie demokracji deliberatywnej funkcjonuje w teoriach demokracji od kilku dekad, a w ciągu dwóch ostatnich kryjąca się za nim teoria stała się przedmiotem intensywnej pracy wielu autorów pragnących poprawić jakość funkcjonowania współczesnych demokracji. Deliberacja w założeniu jej adwokatów to albo kompleksowy projekt reformy całego systemu, albo jedynie recepta na pewne słabości modelu demokracji nazywanego agregacyjnym. Nawet spełnienie tych ograniczonych ambicji wymaga jednak przewyżnienia szeregu trudności teoretyczno-praktycznych – oba rodzaje trudno bowiem oddzielić – a to zadanie jak dotychczas nie zostało wykonane.

Należy wyraźnie podkreślić, że celem przedstawionej krytyki nie jest pojęcie deliberacji jako takiej ani tym bardziej konkretne przypadki aktywizacji obywateli, skłaniające ich do rzeczowej rozmowy na ważne w danym miejscu i czasie tematy. Nie ulega wątpliwości, że dyskusje społeczne prowadzone spokojnie, w duchu wzajemnego szacunku i z wykorzystaniem raczej argumentów niż grupowej siły, wzbogacają demokratyczną politykę i mogą podnieść poczucie satysfakcji z udziału w życiu zbiorowym. Rzecz w tym, że takiej debaty nie da się zaprogramować odgórnie i systemowo. Musi się ona toczyć w sposób oddolny, nieco chaotyczny, niekontrolowany i odbiegający od standardów deliberatywnego wzoru, czyli tak jak się to dzieje w faktycznie istniejących demokracjach. Nie da się zmusić ludzi, by z dnia na dzień, z roku na rok czy nawet z dekady na dekadę wszystkie organizacje, do których należą, poddali rządowi deliberatywnym. Nawet przy założeniu najlepszych intencji każdego człowieka konsekwentna realizacja tego ideału raz po raz

napotykałaby na trudności wynikające z paradoksów drzemiących w nim samym oraz konfliktów z takimi wartościami, jak jednostkowa wolność, poszanowanie prywatności czy polityczna równość¹², cenionymi również przez deliberatywnych demokratów. Debaty opisywane w książkach poświęconych demokracji deliberatywnej mogą więc stanowić co najwyżej pewne uzupełnienie dla działającego obecnie systemu demokratycznego, ale nie tworzą kompleksowego planu jego reformy. Innymi słowy, demokracja deliberatywna może i powinna być rozumiana jako pewna forma korekty demokracji przedstawicielskiej, ale nie jako konkurencyjna dla niej wizja. Jak słusznie zauważa Andrzej Waśkiewicz (w druku), zinstytucjonalizowana deliberacja nie może zastąpić reprezentacji i stać się fundamentalną zasadą ładu demokratycznego. To oznacza, że nieustannie musimy poszukiwać dodatkowych źródeł inspiracji dla reformowania „rządów ludu”.

LITERATURA PRZYWOŁYWANA

- Benhabib Seyla (1996), *Toward a Deliberative Model of Democratic Legitimacy*, w: Seyla Benhabib (red.), *Democracy and Difference: Contesting the Boundaries of the Political*, Princeton: Princeton University Press, s. 67–94.
- Breiner Peter (1993), *Review of James Fishkin's „Democracy and Deliberation”*, „The Journal of Politics”, t. 55, nr 2, s. 547–550.
- Cohen Joshua (1989), *Deliberation and Democratic Legitimacy*, w: Alan Hamlin, Philip Pettit (red.), *The Good Polity. Normative Analysis of the State*, Oxford: Basil Blackwell, s. 17–34.
- Dahl Robert (1967), *Pluralist Democracy in the United States*, Chicago: Rand McNally.
- Dahl Robert (1970), *A Preface to Democratic Theory*, Chicago: University of Chicago Press.
- Fearon James (1998), *Deliberation as Discussion*, w: Jon Elster (red.), *Deliberative Democracy*, Cambridge: Cambridge University Press, s. 44–68.
- Fishkin James (2002), *Deliberative Democracy*, w: Robert L. Simon (red.), *The Blackwell Guide to Social and Political Philosophy*, Oxford: Blackwell Publishers, s. 221–238.
- Fishkin James (2009), *When the People Speak: Deliberative Democracy and Public Consultation*, Oxford: Oxford University Press.
- Fishkin James, Luskin Robert, Jowell Roger (2000), *Deliberative Polling and Public Consultation*, „Parliamentary Affairs”, nr 53, s. 657–666, <http://cdd.stanford.edu/research/papers/2000/fishkin-dpoll-consultation.pdf>.

¹² Ten problem widać wyraźnie w przypadku sondażu deliberatywnego Jamesa Fishkina. Gdyby decyzje podejmowane w jego ramach były dla władz w jakiś sposób wiążące, wówczas głos każdego z kilkuset uczestników wylosowanych do sondażu miałby większą wartość niż głos obywatela z ogromnej części społeczeństwa, która nie miała szansy wziąć w nim udziału.

- Friberg-Fernros Henrik, Karlsson Schaffer Johan (2010), *The consensus paradox: Why deliberative agreement impedes rational discourse*, <http://www.mothugg.se/wp-content/uploads/2010/04/The-consensus-paradox.pdf>.
- Gould Carol (1996), *Diversity and Democracy: Representing Differences*, w: Seyla Benhabib (red.), *Democracy and Difference: Contesting the Boundaries of the Political*, Princeton: Princeton University Press, s. 171–186.
- Gutmann Amy, Thompson Dennis (1999), *Democracy and Disagreement*, w: Stephen Macedo (red.), *Deliberative Politics. Essays on Democracy and Disagreement*, Oxford: Oxford University Press, s. 243–280.
- Gutmann Amy, Thompson Dennis (2004), *Why Deliberative Democracy?*, Princeton: Princeton University Press.
- Held David (2010), *Modele demokracji*, tłum. Wojciech Nowicki, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Luskin Robert, Fishkin James, Jowell Roger (2002), *Considered Opinions: Deliberative Polling in Britain*, „British Journal of Political Science”, t. 32, s. 455–487, <http://cdd.stanford.edu/research/papers/2002/considered-opinions.pdf>.
- Mansbridge Jane (2010), *Deliberative Polling as the Gold Standard*, „The Good Society”, t. 19, nr 1, s. 55–62, <http://cdd.stanford.edu/research/papers/2010/mansbridge-tgs-gold.pdf>.
- Posner Richard (2003), *Law, Pragmatism, and Democracy*, Cambridge: Harvard University Press.
- Przeworski Adam (1999), *Minimalist Conception of Democracy: A Defense*, w: Ian Shapiro, Casiano Hacker-Cordón (red.), *Democracy's Value*, Cambridge: Cambridge University Press, s. 23–55.
- Raciborski Jacek (2011), *Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Ryan Alan (2004), *Time out?*, „New York Review of Books”, 21 października.
- Schumpeter Joseph (1995), *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*, tłum. Michał Rusiński, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Shapiro Ian (1999), *Enough of Deliberation: Politics is about Interests and Power*, w: Stephen Macedo (red.), *Deliberative Politics. Essays on Democracy and Disagreement*, Oxford: Oxford University Press, s. 28–38.
- Talisso Robert (2005), *Deliberative Democracy Defended: A Response To Posner's Political Realism*, „Res Publica”, nr 11, s. 185–199.
- Walzer Michael (1999), *Deliberation and What Else?*, w: Stephen Macedo (red.), *Deliberative Politics. Essays on Democracy and Disagreement*, Oxford: Oxford University Press, s. 58–69.
- Waśkiewicz Andrzej (w druku), *Dobro wspólne i społeczeństwo obywatelskie w teorii demokracji deliberatywnej i reprezentacji grupowej*, w: Anna Giza, Anna Przybylska (red.), *Partycypacja obywatelska: od teorii do praktyki społecznej*, Warszawa: Scholar.

Łukasz Pawłowski

DELIBERATIVE DEMOCRACY AND ITS WEAKNESSES

The aim of the article is to present and critically discuss the theory of deliberative democracy in light of its potential to replace the current model of representative democracy. The author believes that whereas deliberation can be an important supplement to any democratic system – improving the quality of political life as well as increasing civic activity – deliberative democracy is not a comprehensive doctrine offering an alternative to institutions of political representation. The article underlines both theoretical and practical difficulties in realizing the deliberative ideal in its more ambitious, comprehensive form. Theoretical weaknesses of deliberative democracy lay in many critically important, yet unresolved questions, e.g. what are the limits of deliberation, i.e. which issues and by whom may be deliberated upon?; how one should arrive at political decisions – by means of simple voting or by reaching an unanimous consensus?; what will be the status of such decisions, i.e. will they be subject to renegotiation and if so, under what conditions? The discussion on practical challenges in realizing the deliberative ideal focuses on James Fishkin's Deliberative Poll – the most ambitious project of this kind undertaken so far.

Słowa kluczowe: demokracja deliberatywna, reprezentacja polityczna, demokratyzacja, suwerenność, granice deliberacji, kryzys demokracji, sondaż deliberatywny.

Key words: deliberative democracy, political representation, democratization, sovereignty, limits of deliberation, crisis of democracy, Deliberative Poll.

E S E J R E C E N Z Y J N Y

Katarzyna Jasikowska

Krzysztof Gorlach

Uniwersytet Jagielloński*

PAŃSTWO ODCHODZI? PAŃSTWO POWRACA? PAŃSTWO SIĘ ZMIENIA

Esej recenzyjny na temat książki Stephena Paula Haigha
Future States. From International to Global Political Order
(Farnham: Ashgate, 2013)

■ Wstęp

Monografia Stephena Paula Haigha, *Future States. From International to Global Political Order* (2013), zainspirowała nas do zarysowania kilku wybranych trendów w refleksji na temat tego, jak zmienia się instytucja państw narodowych (*nation-states*) w kontekście procesów globalizacyjnych. Cezury czasowe tych rozważań wyznacza z jednej strony początek lat dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia, z drugiej zaś kryzys finansowy z 2008 roku (w niwelowaniu którego zasadniczą rolę odegrały właśnie państwa dysponujące publicznymi pieniędzmi) oraz proces tworzenia, przy aktywnym współdziałaniu państw, największej przestrzeni handlowej na świecie – Transatlantyckiego Partnerstwa w dziedzinie Handlu i Inwestycji (ang. *Transatlantic Trade and Investment Partnership*; TTIP) pomiędzy Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi. Naszym zamierzeniem jest zarysowanie teoretycznych wątków i empirycznych ustaleń dotyczących kondycji państw narodowych współcześnie, ale w kontekście realnych procesów z dziedziny polityki i gospodarki. Celem tego zabiegu jest ilustracja oraz weryfikacja prezentowanych hipotez. Praca Haigha jest jedną z najnowszych prób udzielenia teoretycznej odpowiedzi na pytanie o kondycję państw narodowych, czyli „neośredniowiecznie zakorzenionych państw kosmopolitycznych”.

* Instytut Socjologii, e-mail: k.gilarek@onet.eu; kgorlach@interia.pl.

■ Dlaczego problem losów państw narodowych jest ważny i co się zmieniło w toku ostatniej dekady w debacie na ten temat?

W europejskiej części świata państwa narodowe są jednym z najlepiej oswojonych sposobów organizowania społeczeństw, zarówno na płaszczyźnie politycznej, jak i symbolicznej. Dlatego lata dziewięćdziesiąte zeszłego stulecia, kiedy to przyspieszeniu uległy procesy globalizacyjne, zaowocowały akademickimi dyskusjami dotyczącymi kondycji państw narodowych. Upraszczając, można je sprowadzić do kluczowego pytania: czy w wyniku oddziaływania procesów globalizacyjnych państwa narodowe są skazane na zanikanie, czy wręcz przeciwnie, ich rola będzie wzrastała?

W 1999 roku David Held, Anthony McGrew, David Goldblatt i Jonathan Perraton wyróżnili trzy różne sposoby interpretowania globalizującego się świata. Pierwszym z nich było podejście hiperglobalistów (*the hyperglobalists thesis*), wedle których głównym kołem zamachowym zmian społecznych jest gospodarka, która w kontekście narastających procesów globalizacyjnych prowadzi do powstawania nowego typu organizowania się społeczeństw. Jest to wizja świata, w której nie ma miejsca na państwa narodowe (por. Ohmae 1995). W wyłaniającym się nowym łańdże „prawa rynku” są ważniejsze od decyzji politycznych. Gospodarka uzyskuje prymat nad polityką, a państwa mogą być zarządzane podobnie jak przedsiębiorstwa. Jak pisze Katarzyna Gilarek (2003b: 54), „neoliberalizm [lat dziewięćdziesiątych – K.J. K.G.] odniósł sukces w tym sensie, że przekonał polityków i elektoraty, że logika dziejących się przemian jest następująca: początek stanowią obiektywnie istniejące trendy gospodarcze, dopiero w następnej kolejności mamy do czynienia z politycznymi reakcjami na owe trendy”. Państwa narodowe podlegają nieuchronnym procesom globalizacyjnym, dotyczy to zwłaszcza dziedziny gospodarki, i zgodnie z logiką zachodzących zmian skazane są na zanikanie.

Według zwolenników drugiego podejścia, określonego mianem sceptycznego (*the sceptics thesis*), procesy globalizacyjne nie stanowią żadnego *novum* w dziejach ludzkości, a państwa narodowe posiadają zdolność ich regulowania i mediowania. Jednym z głównych zadań państw narodowych jest w tym ujęciu utrzymywanie regionalnych bloków gospodarczych będących sposobem na zwiększanie zakresu ich suwerenności. Władza koncentruje się na szczeblu regionalnym, a państwa współuczestniczą w realizacji jej transferu.

Wreszcie trzecie ujęcie reprezentują zwolennicy transformacji (*the transformationalist thesis*), dla których procesy globalizacyjne prowadzą do zmiany charakteru oraz funkcji państw narodowych. W dobie globalizacji budowanie

sieci transnarodowych zależności jest kluczem do utrzymania narodowej niezależności. Jak pisze Ulrich Beck (2005: 322), „zmieniają się wszystkie formy państwa, a więc zmieniają się formy zjawiskowe «państwowości» rozumianej jako instytucjonalno-pojęciowa forma, która pozwala na tworzenie, organizowanie i reprodukcję politycznej władzy”.

Naszym zdaniem państwa narodowe ani nie „zanikają”, ani nie „powracają”, ale ulegają transformacji. „Państwa narodowe próbują poddać kontroli procesy globalizacyjne. Na gruncie europejskim owa próba kontroli, manifestująca się uczestnictwem w strukturach unijnych, ma na celu wykorzystanie procesów globalizacyjnych jako stymulatora rozwoju. Właśnie poprzez zbiorowe podejmowanie decyzji, które pozostają wiążące dla wszystkich państw członkowskich jak i starających się o członkostwo, globalne procesy są kanalizowane i poddawane kontroli. Poprzez takie działania państwa narodowe są w stanie, z jednej strony, sprostać wymogom globalnego rynku, a z drugiej, wymaganiom stawianym przez obywateli” (Gilarek 2003a: 85). Podobne w swoim charakterze są tezy zaprezentowane przez Haigha, dotyczące „neośredniowiecznie zakorzenionych państw kosmopolitycznych”, chociaż na innej zgoła płaszczyźnie.

Z kolei Saskia Sassen (2006), której propozycja teoretyczna również wpisuje się w nurt myślenia zwolenników transformacji, proponuje nowatorskie ujęcie problemu, krytykując charakteryzowanie globalizacji przez odwoływanie się tylko do globalnych procesów. Jej zdaniem żyjemy w czasach transformacji określanej mianem globalizacji, która w głównej mierze dzieje się w obrębie tego, co narodowe. Globalne procesy zachodzą poprzez narodowe kanały. Są to procesy pozbawiające wymiaru narodowego instytucje, które powstały jako narodowe, takie jak: terytorium, prawo, gospodarka, bezpieczeństwo, władza czy członkostwo. Mamy więc do czynienia z postępującą denacjonalizacją publicznych i prywatnych instytucji (przy równoczesnej renaucjonalizacji innych dziedzin, np. pewnych składowych polityki migracyjnej). Dwie współistniejące dynamiki stanowią o współczesnej transformacji: tworzenie globalnych instytucji i procesów (np. Światowa Organizacja Handlu, rynki finansowe, nowy kosmopolityzm, trybunał zbrodni wojennych itd.) oraz odbywające się w lokalnych kontekstach procesy zorientowane na globalne agendy i instytucje (np. działania aktywistów zaangażowanych w lokalne sprawy dotyczące ochrony środowiska, narodowa monetarna i fiskalna polityka krytyczna w stosunku do powstających globalnych rynków, odwoływanie się w krajowych sądach do Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka itd.). Istnienie odmiennych historycznych formacji wynika z lokalnych kombinacji trzech czynników: terytorium, władzy i praw, definiowanych w lokalnych układach:

publiczne – prywatne, prawa – zwyczaju, metropolii – kolonii, narodowe – ponadnarodowe.

Ostatni wybrany przez nas rys współczesności, dotyczący kondycji państw narodowych, to kwestia re-stratyfikacji świata (Bauman 1997). Baumanowska globalizacja to proces ponownego uwarstwienia oraz budowania nowej samoodtworzącej się hierarchii o ogólnoświatowym zasięgu. Ilustracji na poparcie tej tezy można szukać w raportach ONZ lub w Biblii – w zależności od światopoglądowych deklaracji. W tym ostatnim chodzi o „zasadę Mateusza” mówiącą, iż bogaci będą jeszcze bogatsi, a biedni jeszcze biedniejsi. W ujęciu Baumana (2000) idea państwa narodowego nie traci na popularności, gdyż jest potrzebna do zaspokajania szeregu istotnych potrzeb: od symbolicznej przynależności do bezpieczeństwa socjalnego.

Reasumując, współczesne próby odpowiedzi na pytanie o kondycję państw narodowych coraz rzadziej wskazują na ich nieuchronne odejście. W teoretycznych analizach kładzie się nacisk na znaczenie lokalnych kontekstów (instytucje, terytorium, władza, członkostwo, prawo, bezpieczeństwo socjalne, tożsamość, historia), w jakich operują państwa próbujące kontrolować, zmieniać i kanalizować globalne procesy. Poprzez realizację nowych zadań i potrzeb artykułowanych przez obywateli państwa narodowe ulegają daleko idącej transformacji.

■ Realne procesy i empiryczne ustalenia w kontekście teoretycznych analiz

Nie jest naszym celem wnikliwe referowanie kolejnych globalnych kryzysów. Stawiamy jednak tezę, że upadek banku Lehman Brothers w 2008 roku, eufemistycznie określany mianem kryzysu kredytów wysokiego ryzyka, skłania ku ponownemu zwróceniu uwagi na charakter transformacji, jakiej podlegają współcześnie państwa narodowe. Jak pisze Harold James (2010: 11), „istotną cechą debaty na temat europejskich rozwiązań dotyczących skutków kryzysu było to, że bardzo szybko przeniosły się one na poziom poszczególnych państw: zapomniano o wspólnych interesach europejskich (...). Wspólną cechą wszystkich kryzysów jest to, że nasilają one żądania zwiększenia redystrybucji, a tego można dokonać tylko w ramach mechanizmów fiskalnych w obrębie jednego państwa”. Kryzys jest szansą na powstanie długoterminowego trendu „deglobalizacyjnego”, polegającego między innymi na nacjonalizacji wcześniej międzynarodowego sektora finansowego.

Stąd: „państwo współczesne jest potężne jak nigdy w dotychczasowej historii, a lud chce, a nawet coraz bardziej chce, aby takie ono właśnie było. (...)”

Ludy chcą, aby istniało państwo narodowe i będą przeciwstawiać się potężnemu skądinąd procesowi globalizacji i rozmywania się państw narodowych. Oczywiście owo pragnienie ludów nie przesądza o wieczności państwa narodowego, ale z pewnością póki co jest źródłem jego witalności” (Raciborski 2011: 251, 280). Procesy kolonizowania społeczeństwa przez państwo nasilają się. W takim ujęciu kryzys stał się, paradoksalnie, siłą państw narodowych.

Jedną z bezpośrednich konsekwencji globalnej recesji, z jaką musi obecnie mierzyć się korporacyjny świat, jest „upolitycznienie” wielu wymiarów życia gospodarczego, takich jak przemysł spożywczy, telekomunikacja, technologie informacyjne czy usługi finansowe. Państwa stają się ostrożne w otwieraniu poszczególnych gałęzi gospodarki dla korporacji i „zazdrośnie strzegą lokalnych interesów” (Bremmer 2014). W praktyce oznacza to preferowanie lokalnych i państwowych firm w odróżnieniu od potencjalnych zagranicznych prywatnych inwestorów, blokowanych dodatkowo przez lokalne firmy i konsumentów. Państwa narodowe stają się strażnikami dostępu do pożądaných przez inwestorów rynków.

Procesem, który naszym zdaniem stanowi dobrą ilustrację opisanych transformacji państw narodowych, jest Transatlantyckie Partnerstwo w dziedzinie Handlu i Inwestycji (TTIP). Polska, podobnie jak 27 innych krajów Unii Europejskiej, udzieliła Komisji Europejskiej mandatu na reprezentowanie jej w negocjacjach ze Stanami Zjednoczonymi. Rezultaty zakończonej niedawno szóstej rundy negocjacji w sprawie usuwania barier hamujących współpracę gospodarczą pomiędzy UE i USA są tajne. Jak pisze Martin Pigeon (2014: 36): „Stany Zjednoczone zakazują rozpatrywania ich «stanowisk negocjacyjnych» przez inne państwa i przez Parlament Europejski. Zgodziły się jedynie na to, by można było zapoznać się z papierowymi dokumentami, w przeznaczonej do tego celu czytelnicy, nie mając żadnej możliwości ich skopiowania czy choćby zrobienia notatek”. Na stronach internetowych Ministerstwa Gospodarki RP można znaleźć lakoniczną informację na temat tego, czym zakończyła się szósta runda negocjacji. Możemy się na przykład dowiedzieć, jakie sektory gospodarki są przedmiotem dyskusji (przemysł tekstylny, chemiczny, farmaceutyczny, kosmetyczny, urządzeń medycznych, motoryzacyjny, ICT, sektor inżynieryjny, pestycydy)¹. Ministerstwo Gospodarki zamierza ujawnić zapisy TTIP dopiero po ich podpisaniu, powołując się na „zastrzeżony charakter informacji, jakie państwa członkowskie UE otrzymują w tej sprawie”².

¹ Źródło: <http://www.mg.gov.pl/Wspolpraca+miedzynarodowa/Handel+zagraniczny/TTIP/Stan+negocjacji+TTIP>.

² Źródło: http://di.com.pl/news/49667,0,Umowa_TTIP_będzie_ujawniona_po_podpisaniu_-_twierdzi_ministerstwo.html.

W kontekście problematyki transformacji państw narodowych należy zwrócić uwagę na kluczowe argumenty krytyki planowanego partnerstwa. Oprócz braku transparentności samego procesu negocjacji, obawy budzi możliwość wzmocnienia władzy korporacyjnej kosztem władzy państwowej oraz możliwe utrudnienia w regulowaniu przez państwa globalnych procesów gospodarczych w taki sposób, aby uwzględniały publiczny interes. Argumenty te nie są artykułowane ani z pozycji państwa (reprezentowanego przez Komisję Europejską), ani z pozycji biznesowych grup interesu, ale z pozycji obywateli. Warto zilustrować tę kwestię na konkretnym przykładzie relacji władzy państwowej w stosunku do zagranicznych inwestorów operujących na terenie danego kraju. Jeśli w TTIP znajdą się zapisy o sposobie rozstrzygania sporów między poszczególnymi państwami a zagranicznymi inwestorami (np. zagranicznymi korporacjami), to wówczas możemy się spodziewać rosnącej liczby pozwów korporacji przeciwko państwom (Breville, Bulard 2014). W ostatnich latach obserwujemy znaczący wzrost liczby takich spraw. W rezultacie zapadających w wielu sprawach wyroków, państwa są zmuszone płacić z publicznych pieniędzy odszkodowania prywatnym firmom. Należy podkreślić, iż arbitrami w rozstrzyganiu tego typu spraw nie są sądy krajowe, ale instancje takie jak: Międzynarodowe Centrum Rozstrzygania Sporów Inwestycyjnych (ICSID), Komisja Narodów Zjednoczonych do spraw Międzynarodowego Prawa Handlowego (UNCITRAL) czy haski Trybunał Arbitrażowy. Od ich decyzji stronom nie przysługuje prawo odwoływania się. „Taki system nie tylko przynosi profity najbogatszym, ale wywiera wpływ na ewolucję nauk prawnych i międzynarodowego sądownictwa, które coraz bardziej wymykają się spod wszelkiej kontroli demokratycznej w świecie rządzonym przez przemysł niesprawiedliwości” (Breville, Bulard 2014: 35). Jeżeli więc zapisy dotyczące sposobów rozstrzygania sporów w biznesie na linii państwo – zagraniczne podmioty zostaną przyjęte w takiej formie, będziemy mieli do czynienia z nowym podziałem władzy i nowymi mechanizmami wykluczania w jej sprawowaniu. Silne jak nigdy państwa doprowadzą do kolejnych transferów publicznych pieniędzy do prywatnych firm (ja to się działo wcześniej przy ratowaniu sektora finansowego). Warto zadać pytanie, czy taka transformacja państw narodowych nie poszła za daleko. Czy państwa narodowe nie są za silne? Albo, ujmując to bardziej precyzyjnie, czy ich chwilowa siła nie przysporzy im kłopotów w przyszłości?

Naszym zdaniem praca Stephena Haigha (2013) pozwala przybliżyć nas do udzielenia odpowiedzi na te pytania. Autorowi nie chodzi bowiem o żaden nawet metaforyczny powrót do epoki średniowiecza, ale o rodzaj argumentów na rzecz transformacji państw narodowych w kierunku struktur

i lojalności, przywołujących pewne historycznie ułokowane skojarzenia. W jego ujęciu, z którym się zgadzamy, państwa narodowe zarówno poddają się temu procesowi transformacji, jak i same go tworzą. Przekładając to na płaszczyznę realnych procesów, można powiedzieć, że ustalanie zasad TTIP odbywa się za pośrednictwem państw, które tym samym „wzmacniają globalizację” i zarazem stwarzają nowe możliwości transferów władzy i zasobów do sektora prywatnego.

■ Kluczowe wątki koncepcji Haigha

Haigh rozpoczyna swoje rozważania od rozstrzygnięcia, na czym polega istota globalizacji. Globalizacja jest – jego zdaniem – w swej istocie uniwersalistyczna: w jej ramach podkreśla się powiązanie i współzależność różnych miejsc i przestrzeni, stanowiących elementy świata. Granice między poszczególnymi miejscami (państwami) stają się „przepuszczalne”, choć dotyczy to przede wszystkim kapitału, w mniejszym zaś stopniu ludzi (pracowników). Obserwowane zmiany dotyczą nie tylko sfery materialnej, ale także obszarów polityki, kultury czy sfer społeczno-psychicznych. Taka całościowo ujęta koncepcja zastępuje klasyczną opozycję narodowe – międzynarodowe swoistą unifikacją społecznego świata oraz relatywizacją istniejących w jego obrębie różnic. W tym kontekście państwo jawi się jako wyraz tendencji partykularystycznych. Autor posługuje się szeroką perspektywą historyczną, wskazując na pokój westfalski w 1648 roku, który jest traktowany jako punkt zwrotny w dziejach (przynajmniej Europy) uznania ponadlokalnych struktur. Procesy wzmacniania państwa narodowego stanowią w wieku XVIII i XIX jednocześnie odejście od przednowoczesnego (średniowiecznego) układu politycznego, który bazował na funkcjonowaniu dwóch dominujących aktorów, tj. papieża (instytucji uniwersalnej) oraz bezpośrednich suwerenów (lokalnych panujących). Można domniemywać, że ci ostatni to instytucje partykularystyczne, chociaż autor nigdzie wprost nie formułuje takiej opinii. Wspomniane państwo narodowe, nabierające znaczenia w efekcie procesów modernizacyjnych, to pozostałości słabej średniowiecznej monarchii (Haigh 2013: 57). Czy zatem współczesna epoka globalizacji to jakiś powrót do owej formuły średniowiecznej? Tej kwestii poświęcone są dwie kolejne części pracy Haigha.

We wstępie do części drugiej swojej książki Haigh dokonuje analizy pojęcia suwerenności w dobie globalizowania się społeczeństw. Zdecydowanie odrzuca tezę wskazującą, że suwerenność staje się obecnie pojęciem pustym, choć zgadza się, że globalizacja stanowi dla niej trudny test. Konieczne jest bardziej subtelne i mniej formalne ujęcie suwerenności. Istnieje potrzeba

rozważenia nie tylko tego, jakie są prawa państw do podejmowania określonych działań (suwerenność formalna), ale też na ile posiada ono zdolność do podejmowania określonych działań (suwerenność substancjalna). Znaczenia nabiera nowe ujęcie suwerenności jako instrumentu w rękach różnych podmiotów tworzących „wielocentryczny świat zróżnicowanych, relatywnie autonomicznych aktorów” (Haigh 2013: 65). Państwa nie są już samodzielnymi graczami na centralnej scenie politycznej, ale współlistnieją z innymi aktorami, reprezentującymi „inny świat” (np. organizacje międzynarodowe, organizacje pozarządowe, miasta itp.) oraz „ten sam świat” (państwa). Według nas, autor powielił tutaj sposób rozumowania, który ma długą tradycję w socjologicznych rozważaniach na temat współrzędzenia (*governance*) (por. Wnuk-Lipiński 2004).

Analiza przemian atrybutów, funkcji i zdolności państw zostaje dokonana z perspektywy dwóch wymiarów: władzy (*authority*) oraz terytorialności (*territoriality*). Wybiega ona jednak poza proste ujęcie wskazujące na rosnące powiązania i zależności. Globalizacja to nie tylko rosnąca współzależność państw, ale też zmiany w sferze formalnoprawnych aspektów suwerenności, które z jednej strony ograniczają ich władzę, a z drugiej pozwalają czerpać określone korzyści. Ponadnarodowe powiązania mają znaczący wpływ na władzę suwerenną zarówno w sensie jakościowym, jak i ilościowym. Trudno znaleźć tutaj jednak jakieś bliższe oznaczenie mechanizmu takiego wpływu. Autor używa dość dziwnego – naszym zdaniem – argumentu na rzecz zachowania suwerenności państw, wskazując na to, że mimo iż państwa oddają część swojej suwerenności innym podmiotom, to o ich pozycji suwerena świadczy to, że jest to „świadomy” akt. Innymi słowy państwo nadal pozostaje władcą, tyle że w wymiarze metapolitycznym. Bardziej przypomina to chyba przewrotny argument o charakterze wyłącznie formalnoprawnym, aniżeli analizę procesu, jakiej oczekiwałby socjolog władzy czy polityki. Co właściwie oznacza stwierdzenie, że państwo, w którym żyjemy, „świadomie” decyduje się na TTIP bądź chciało przyjąć szeroko oprotestowane (i w efekcie odrzucone) ACTA? Personalizowanie państwa („świadomie podejmującego decyzje”) jest jedynie zabiegiem retorycznym – gdyż świadomi bądź nieświadomi mogą być jego obywatele/ obywatelki, którzy zechcą bądź nie zechcą udzielić legitymizacji do podejmowania określonych działań. Pytanie, kto jest suwerenem – naszym zdaniem – nadal oczekuje na odpowiedź. Jeżeli państwo nie słucha żądań obywateli, to czyje interesy reprezentuje? Czy interesy państwa można oddzielić od interesów obywateli?

Z kolei analiza suwerenności w kontekście terytorialności koncentruje się na argumentach, iż potoczne twierdzenia dotyczące utraty znaczenia

terytorium w dobie globalizacji są nieprawdziwe. Autor dokonuje na wstępie ich rekapitulacji: „globalizacja rzekomo posiada istotny i szkodliwy wpływ na terytorium poprzez gospodarkę (handel, produkcję i finanse); elektroniczną komunikację (środki masowego przekazu) i podróże; choroby i degradację środowiska; i w końcu przez szerokie spektrum kwestii związanych z bezpieczeństwem” (Haigh 2013: 74). Przeciwno takiemu rozumowaniu przywołuje się trzy typy argumentów. Pierwszy dotyczy błędnego utożsamiania „terytorium” z „miejscem” (*place*) jako wyrazu – jak to określa Haigh – „westfalskiej” ortodoksji. Gdyby jednak skupić się na funkcjach państwa, to wówczas jego granice jawią się bardziej jako zasięg określonej sieci powiązań, a nie wyłącznie fizycznych barier. Innymi słowy, granice stają się bardziej płynne, tworząc obszary przystosowania, współpracy, porozumienia itp. Nie oznacza to oczywiście – to drugi argument Haigha – że terytorium (w sensie fizycznej przestrzeni) nie ma znaczenia w formowaniu się politycznej organizacji społeczeństwa czy w polityce jako takiej. Niemniej jednak należy je traktować – jak pisze przywoływany przez Haigha (2013: 75) Ole R. Holsti – raczej jako bazę społeczności politycznej, a nie po prostu jako nieruchomość (*real estate*). Wreszcie argument trzeci wskazuje na to, iż aby walczyć z negatywnymi skutkami globalizacji (jak międzynarodowa przestępczość zorganizowana, terroryzm, epidemie, zagrożenia dla środowiska, agresywna polityka ponadnarodowych korporacji itp.), samo państwo winno czynić granice bardziej „przepuszczalnymi” w celu chociażby lepszej koordynacji działań z innymi podmiotami. Państwa powinny prowadzić politykę otwartości, gdyż wzmocnienia to cały system międzynarodowy i tym samym także ich pozycję. To właśnie pozwala zrozumieć, dlaczego państwa „sponsoringują i wzmocniają globalizację” (Haigh 2013: 80). To bardzo istotne, gdyż w tej perspektywie państwa jawią się nie jako oponenty, ale raczej jako stimulatory globalizacji.

Skoro niejako wracamy od średniowiecznego (czy też: neośredniowiecznego) porządku społeczeństwa, w którym istnieje wielu aktorów wpływających na rytm życia publicznego, w którym władza jest podzielona pomiędzy różne podmioty, to mogłoby się wydawać, że rola państw ulega zmniejszeniu. To aktorzy globalni (korporacje, instytucje międzynarodowe) przejmują rolę papieża, społeczności regionalne i lokalne zaś – rolę lokalnych suwerenów. Okazuje się jednak, że państwa mają w tym kontekście do spełnienia istotną rolę. Różne gęste i kompleksowe oddziaływania globalno-lokalne niosą ze sobą wymóg istnienia szczególnej podpory, której struktura i funkcje bliskie są działaniom już istniejących państw. Można zatem powiedzieć, że gdyby państwo nie istniało, to w obecnych warunkach globalizacji „należałoby je stworzyć” (Haigh 2013: 82). Mocne to stwierdzenie i zawierające jednoznaczność

tezę o istotnej, choć zmieniającej się roli państwa w okresie globalizacji. W naszym odczuciu brak tutaj jednak odpowiedzi na przychodzące natychmiast do głowy pytanie: komu jest potrzebne państwo narodowe w dobie procesów globalizacyjnych oraz do jakich celów (jeśli oczywiście na pierwszą część pytania odpowiemy, wskazując jakieś podmioty)? Dla kogo lub czego państwo ma stanowić instytucjonalną podporę? Czyje decyzje, posunięcia i kroki ma legitymizować?

Teraz dopiero dochodzimy do sedna sprawy, jeśli chodzi o kondycję państw narodowych współcześnie. Otóż kluczowym obszarem, w którym można najlepiej dokonać analizy przemian państw, są ich relacje ze społeczeństwem, zwłaszcza zaś te, które posiadają charakter napięć wynikających ze zmieniających się tożsamości, rozpoznania oraz legitymizacji (por. Marsh 2008). Haigh (2013: 88) rozważa w swojej książce różne koncepcje społeczeństwa obywatelskiego, ze szczególnym uwzględnieniem perspektywy zarysowanej przez Hegla, a najwięcej miejsca poświęca ideom Jürgena Habermasa. Istotą procesu przeobrażeń legitymizacji jest w tym kontekście, z jednej strony, silne przejawianie się systemu międzynarodowego (uzależnienie państw od siebie nawzajem), z drugiej zaś, wyraźniejsze sygnalizowanie idei pluralistycznych społeczeństw. Najlepszą formą jest więc liberalne państwo demokratyczne, jako że w jego ramach dokonuje się swoiste połączenie praw indywidualnych z publicznymi. Globalizacja narzuca jednak i wzmacnia procesy, które wymagają przystosowania różnych grup (nie tylko narodów) w obrębie poszczególnych państw, a w tym przypadku idea i praktyka demokratycznego państwa liberalnego nie wystarcza. Jednym z najbardziej zasadniczych normatywnych wymogów, jakich doświadczają państwa narodowe, jest konieczność bycia wielonarodową instytucją. Państwa powinny przybrać charakter wielonarodowych konstytucyjnych demokracji, czyli oferować takie ramy polityczne, które są zdolne do pełnego rozpoznania praw jednostek oraz rozmaitych społeczności, grup etnicznych, mniejszości itp. (Haigh 2013: 97).

To tylko jedna strona medalu. Ważne są nie tylko same relacje między państwami a społeczeństwami, ale też uznanie ze strony całego systemu, do którego dane państwo należy. W systemie westfalskim – jak podkreśla autor – polegało to na uznaniu przez wszystkich niezależnej państwowości. Jednak współcześnie ten aspekt uznania państw już nie wystarcza. Jak pisze Haigh (2013: 97): „Kiedy globalizacja zaczyna zastępować międzynarodowość, system państw staje się sprawą problematyczną”. Kwestia tożsamości, która do tej pory kojarzona była z relacjami między społeczeństwem a państwem, uzyskuje teraz właściwy kontekst z uwagi na „uniwersalną ideę praw człowieka”. Ta idea wzmacniana jest dodatkowo przez – jak to określa Haigh (2013: 105)

– materialne aspekty globalizacji, które umożliwiają tworzenie się wspólnot ponad granicami poszczególnych państw, wychodzących poza wyłącznie ekonomiczne, finansowe czy nawet kulturowe wymiary i akcentujących wspólne biologiczne warunki ludzkiej egzystencji. W tym kontekście ciekawe jest pytanie o wpływ procesów globalizacyjnych doświadczanych przez obywateli w codziennym życiu (takich jak praca, internet, posiadanie rodziny bądź przyjaciół za granicą) na ich poczucie narodowej tożsamości. Czy doświadczenia tego typu osłabiają ten sentyment? Otóż wedle Richarda Sinnotta (2008) doświadczanie globalizacji poprzez pracę i internet może w nieznacznym stopniu osłabiać poczucie narodowej tożsamości (badania te dotyczyły mieszkańców państw Europy Zachodniej i Azji Południowo-Wschodniej). Natomiast odbieranie zagranicznych stacji telewizyjnych nie powoduje zmniejszania się poczucia narodowej tożsamości przy jednoczesnym wzmacnianiu ponadnarodowych identyfikacji. Jak pisze Sinnott (2008: 146), „wiara w to, że globalizacja grozi utratą pracy, nie wpływa na siłę narodowej tożsamości, ale wpływa na postrzeganie nierówności, zwiększa zdolność dostrzegania braku szacunku dla określonych nacji i ich niesprawiedliwego traktowania w kwestiach politycznych i gospodarczych”. Co więcej, jak dowodzą Ikuo Kabashima i Gill Steel (2008), także w zakresie politycznego uczestnictwa obywateli procesy globalizacyjne jedynie w niewielkim stopniu przyczyniają się do zwiększenia ich politycznej aktywności, i to głównie w kontekście chęci i gotowości prowadzenia dyskusji na określone tematy.

Omówione dotąd rozważania Haigha kończą drugą część omawianej monografii i stanowią jednocześnie wprowadzenie do sformułowania tytułowej koncepcji „neośredniowiecznie zakorzenionego państwa kosmopolitycznego” (*neo-medieval, embedded cosmopolitan state*). Haigh (2013: 138) powołuje się na pracę Jörga Friedrichsa, którego artykuł na temat znaczenia „nowego średniowiecza”, opublikowany w 2001 roku, staje się punktem odniesienia dla jego własnej koncepcji. Idea Friedrichsa oparta jest na założeniu dotyczącym istnienia porządkujących życie polityczne zasad, które mają zapewnić stabilizację w niestabilnych warunkach, a które są rezultatem istniejących podziałów władzy i podporządkowania. W średniowieczu stabilność ta polegała na podwójnym uniwersalizmie, którego ucieleśnieniem było istnienie Kościoła oraz Cesarstwa Rzymskiego. Obecnie stabilność jest utrzymywana przez rywalizujące ze sobą uniwersalne wymogi systemu państw narodowych oraz ponadnarodowej gospodarki rynkowej. Obydwa wymienione wzory organizacyjne z ambicjami uniwersalistycznymi działają jako efektywna przeciwwaga dla odśrodkowych tendencji (w obrębie państw), będących rezultatem fragmentaryzacji życia społecznego. Zasadnicze pytanie, jakie się

w tym momencie pojawia, dotyczy tego, czy zasady te stanowią fundamenty porządku neośredniowiecznego. Próbując odpowiedzieć na to pytanie, autor przywołuje koncepcję Hedleya Bulla i wskazuje na pięć kryteriów, dzięki którym można stwierdzić zaawansowanie procesu powstawania porządku neośredniowiecznego (Haigh 2013: 140). Te pięć kryteriów to: integracja państw, dezintegracja państw, odnowienie stosowania siły przez podmioty prywatne w relacjach międzynarodowych, organizacje ponadnarodowe oraz technologiczna unifikacja świata.

Haigh, odwołując się do koncepcji rozmaitych autorów, stwierdza, że współczesne państwo jest poddane i jednocześnie aktywnie uczestniczy w procesach globalizacyjnych. W efekcie przybiera formę zakorzenionego państwa kosmopolitycznego albo – wyrażając tę myśl nieco inaczej – „wielonarodowego konstytucyjnego państwa demokratycznego”. Inaczej niż w erze westfalskiej, państwo nie tworzy podziału między tym, co wewnętrzne a tym, co międzynarodowe, ale raczej dokonuje ich połączenia. Można też powiedzieć, że państwo dokonuje swoistego pojednania między ideą narodowości (*nationality*) a wolności (*liberty*) (Haigh 2013: 194–195). Zasadniczy dylemat dotyczy możliwości uniwersalizacji, upowszechniania się reguł demokratycznych oraz indywidualistycznej koncepcji praw człowieka, stanowiących podstawy nowego porządku globalnego opartego na wielonarodowych państwach demokratycznych. Przeciwnicy takiej perspektywy podkreślają, że nie jest to takie oczywiste i można wskazywać na możliwość upowszechniania się czy uniwersalizacji nie-demokratycznych państw. Uważamy, że tego typu przykłady myślenia można odnaleźć w chińskiej koncepcji separowania praw człowieka od propozycji współpracy gospodarczej kierowanej do państw Globalnego Południa, rosyjskiej idei „suwerennej demokracji”, próbach montowania światowej koalicji konserwatywnej przeciwko „zepsutemu” Zachodowi podejmowanych przez prezydenta Putina, czy też ostatnio w głoszonej przez premiera Węgier koncepcji „końca demokracji liberalnej”. Czy takie idee mogą zostać zrealizowane jako alternatywa dla wskazywanej przez Haigha koncepcji neośredniowiecza? Uważa on, że jest to niemożliwe, ponieważ „silne wzory organizacyjne”, takie jak demokracja i prawa człowieka, rynki, nauka, naukowa racjonalność i technologia, społeczeństwo obywatelskie, międzynarodowy system prawny, reprodukcja symboliczna i idea postępu, są na tyle potężne, że są w stanie pokonać wszelkie tendencje odśrodkowe (Haigh 2013: 198). W naszej ocenie jest to bardzo europocentryczna wizja porządku świata, skrajnie normatywna i niepoparta żadnymi argumentami poza osobistym przekonaniem autora.

■ Zakończenie

Zakończenie chcielibyśmy podzielić na dwie zasadnicze części. W pierwszej podejmujemy próbę syntetycznej oceny omawianej książki, natomiast w drugiej staramy się krótko ustosunkować do kilku ogólniejszych kwestii związanych z transformacją państw narodowych w dobie globalizacji.

Zgadamy się z autorem przede wszystkim w diagnozie, iż przemiana (transformacja) państw narodowych jest jednym z elementów dokonujących się procesów globalizacyjnych, w których państwa te odgrywają aktywną rolę. Wątpliwości nasze budzi jednak zbyt duża pewność autora co do kierunku zarysowanych przez niego przemian. Zdecydowanie zbyt duża i nieugięta jest jego wiara w rolę i znaczenie takich koncepcji, jak demokracja, prawa człowieka, racjonalność, nauka itp. Naszym zdaniem jako socjologów zdecydowanie brakuje w rozważaniach Haigha analizy realnych procesów społecznych, analizy konfliktów itp., które kształtują przebieg wspomnianej transformacji. Optujemy ponadto za bardziej sceptycznym podchodzeniem do idei kultury zachodniej, takich jak demokracja, prawa człowieka, racjonalność, nauka itd., wskazujących na „nieuchronność” określonych zjawisk i procesów.

Największym walorem pracy Haigha jest wskazanie kluczowego rozszczępienia państwa i społeczeństwa, którym jest ujawnienie pluralistycznych idei dopuszczających do głosu w sprawach państwa ludzi niekoniecznie zamieszkujących jego terytorium (czy jego obywateli). Autor dostrzega zatem niewydolność tak zwanego demokratyczno-liberalnego państwa w „zarządzaniu” owymi ideami i działaniami. Nie potrafi jednak odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, kto jest współcześnie suwerenem, czyli do kogo należy ostatecznie władza.

Odwołując się do koncepcji Haigha, można dowodzić, że po kryzysie z 2008 roku neośredniowiecznie zakorzenione państwa kosmopolityczne są silne jak nigdy dotąd. Współczesne uniwersalizmy, z jednej strony rynku, a z drugiej systemu państw narodowych, stwarzają dogodną sytuację dla budowania pozycji poszczególnych państw zarówno na globalnej arenie, jak i względem obywateli. Niemniej, kiedy odwołamy się do realnych procesów aktualnie zachodzących w sferze gospodarki (jak np. TTIP), można zaryzykować stwierdzenie, że uniwersalizm rynku wydaje się uzyskiwać przewagę nad uniwersalizmem systemu państw narodowych. Państwa, kanalizując globalizacyjne procesy, dokonują istotnego transferu władzy i zasobów na korzyść prywatnych firm i ponadnarodowych instytucji. Jeżeli teza ta okaże się prawdziwa, wówczas transformacja neośredniowiecznie zakorzenionych państw kosmopolitycznych przyczyni się do osłabienia ich związku z obywatelami, który jest najważniejszym obecnie powodem ich istnienia.

LITERATURA PRZYWOŁYWANA

- Bauman Zygmunt (1997), *Glokalizacja, czyli komu globalizacja, a komu lokalizacja*, „Studia Socjologiczne”, nr 3, s. 53–69.
- Bauman Zygmunt (2000), *Globalizacja i co z tego dla ludzi wynika*, tłum. Ewa Klekot, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.
- Beck Ulrich (2005), *Władza i przeciwwładza w epoce globalnej*, tłum. Jerzy Łoziński, Warszawa: Scholar.
- Bremmer Ian (2014), *The New Rules of Globalization*, „Harvard Business Review”, styczeń-luty, <http://hbr.org/2014/01/the-new-rules-of-globalization/ar/1>.
- Breville Benoit, Bulard Martine (2014), *Jak puścić państwo w skarpetkach*, „Le Monde diplomatique. Edycja polska”, nr 07/101 (lipiec), s. 34–35.
- Carter Bob (2006), *The restructuring of national states in the global economy*, w: Peter Fairbrother, Al Rainnie (red.), *Globalisation, State and Labour*, London: Routledge, s. 136–150.
- Fairbrother Peter, Rainnie Al (2006a), *The enduring question of the state*, w: Peter Fairbrother, Al Rainnie (red.), *Globalisation, State and Labour*, London: Routledge, s. 1–11.
- Fairbrother Peter, Rainnie Al (2006b), *The state we are in (and against)*, w: Peter Fairbrother, Al Rainnie (red.), *Globalisation, State and Labour*, London: Routledge, s. 29–52.
- Gilarek Katarzyna (2003a), *Europejskie oblicze globalizacji*, „Przegląd Socjologiczny”, t. 52, nr 2, s. 71–88.
- Gilarek Katarzyna (2003b), *Państwo narodowe a globalizacja – dynamika powstawania nowego ładu*, Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek.
- Haigh Stephen Paul (2013), *Future States. From International to Global Political Order*, Farnham: Ashgate.
- Held David, McGrew Anthony, Goldblatt David, Perraton Jonathan (1999), *Global Transformations. Politics, Economics and Culture*, Cambridge: Polity Press.
- Herrschel Tassilo (2014), *Cities, State and Globalisation. City-Regional Governance in Europe and North America*, London: Routledge.
- Hirst Paul, Thompson Grahame (1996), *Globalization in Question. The International Economy and the Possibilities of Governance*, Cambridge: Polity Press.
- James Harold (2010), *Koniec globalizacji. Czego nauczył nas wielki kryzys?*, tłum. Renata Włoch, Warszawa: Scholar.
- Kabashima Ikuo, Steel Gill (2008), *Globalisation and political participation*, w: Takashi Inoguchi, Ian Marsh (red.), *Globalisation, Public Opinion and State. Western Europe and East and Southeast Asia*, London: Routledge, s. 196–219.
- Marsh Ian (2008), *Globalisation and citizen attitudes to politics and the state*, w: Takashi Inoguchi, Ian Marsh (red.), *Globalisation, Public Opinion and State. Western Europe and East and Southeast Asia*, London: Routledge, s. 254–273.
- Ministerstwo Gospodarki (2014), *Stan negocjacji TTIP*, <http://www.mg.gov.pl/wspolpraca+miedzynarodowa/handel+zagraniczny/ttip/stan+negocjacji+ttip>.
- Ohmae Kenichi (1995), *The End of the Nation State: The Rise of Regional Economies*, New York: Free Press.

- Pigeon Martin (2014), *Cicho, sza, my dla was negocjujemy*, „Le Monde diplomatique. Edycja polska”, nr 07/101 (lipiec), s. 36–37.
- Puls Biznesu (2014), *TTIP może być największym porozumieniem gospodarczym w historii*, <http://www.pb.pl/3552176,66188,ttip-moze-byc-najwiekszym-porozumieniem-gospodarczym-w-historii>.
- Raciborski Jacek (2011), *Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Sassen Saskia (2006), *Territory, Authority, Rights: From Medieval to Global Assemblages*, Princeton: Princeton University Press.
- Sinnott Richard (2008), *Identity, inequality and globalisation*, w: Takashi Inoguchi, Ian Marsh (red.), *Globalisation, Public Opinion and State. Western Europe and East and Southeast Asia*, London: Routledge, s. 121–147.
- Wnuk-Lipiński Edmund (2004), *Świat międzyepoki. Globalizacja – demokracja – państwo narodowe*, Kraków: Znak.

Katarzyna Jasikowska
Krzysztof Górlach

WITHDRAWAL OF THE STATE? RETURN OF THE STATE? CHANGE OF THE STATE.
REVIEW ESSAY ON THE BOOK BY STEPHEN PAUL HAIGH *FUTURE STATES.
FROM INTERNATIONAL TO GLOBAL POLITICAL ORDER*
(FARNHAM: ASHGATE, 2013)

The main argument of the book is that as a result of globalisation processes we may observe a superb example of transformation of the Westphalian international states system into neo-medieval embedded cosmopolitan states. And, maybe even more importantly, that nation states are both objects as well as active creators of those global processes. Those new contemporary form of states create new forms of identities, loyalties and political representations.

Słowa kluczowe: państwa narodowe, procesy globalizacyjne, neośredniowiecznie zakorzenione państwo kosmopolityczne.

Key words: nation states, globalisation processes, neo-medieval embedded cosmopolitan state.

R E C E N Z J E

Jacek Raciborski

KONTROWERSJE TEORETYCZNE WOKÓŁ ZJAWISKA APATII POLITYCZNEJ POLAKÓW

Recenzja książki Lecha Szczegóły *Bierność obywateli*.

Apatia polityczna w teorii demokratycznej partycypacji

(Warszawa: Dom Wydawniczy Elipsa, 2013)

Lech Szczegóła – politolog z Uniwersytetu Zielonogórskiego – podejmuje problemy centralne dla teorii demokracji. Przy tym są to problemy intensywnie badane przez co najmniej trzy dyscypliny: politologię, socjologię i psychologię społeczną. Trudno w tym obszarze o idee całkowicie nowe, o wyniki analiz empirycznych, które ukazywałyby jakieś prawidłowości zachowań ludzi w sferze polityki, o których dotychczas nie wiedzieliśmy. Autor był świadom tej wyjściowej trudności, dlatego też przedmiotem analizy uczynił nie apatię polityczną, bierność oraz ich opozycję – aktywność, partycypację, lecz teorie tych zjawisk formułowane na gruncie nauk społecznych. To była słuszna decyzja i otworzyła Autorowi możliwość napisania oryginalnej pracy. Dobry pomysł zaowocował trafną conceptualizacją problemu, przejawiającą się między innymi w przejrzystej konstrukcji książki. Już w tym miejscu podkreślić trzeba pewien jej ogólny walor. Lech Szczegóła napisał pracę będącą pochwałą apatii politycznej. Bywa stronniczy w szukaniu argumentów na rzecz tezy, iż apatia jest w gruncie rzeczy zjawiskiem funkcjonalnym dla współczesnych demokracji, a ujmowana w perspektywie jednostkowej nie narusza podmiotowości obywatela. Pozostaję krytyczny wobec takiej oceny konsekwencji apatii politycznej i krytycznie oceniam niektóre interpretacje zastanych teorii przedstawione przez Autora, a dokonywane z myślą, aby zdemistyfikować popularne wyobrażenia na temat bierności i aktywności politycznej. Niemniej dzięki tej stronniczości powstała praca wyostrzająca problemy, podkreślająca opozycje i nakazująca ponowny namysł nad pojęciami i wskaźnikami wykorzystywanymi do badania i opisywania postaw politycznych.

W podsumowaniu Szczegóła nieoczekiwanie zaczął wykazywać więcej zrozumienia dla perspektywy partycypacyjnej, czym stępił nieco ostrze pracy.

Przedstawię książkę w planie zaproponowanym przez Autora, czyli odnosząc się do poszczególnych jej rozdziałów.

Rozdział pierwszy zatytułowany „Debata klasyczna. Normatywne źródła problematyki bierności obywateli” odtwarza doktrynalne korzenie dwóch wizji demokratycznego ładu politycznego i wynikających z nich wzorców obywatelstwa. Autor podąża utartą drogą, wskazując, iż z jednej strony jest to wizja republikańska, czerpiąca z tradycji antycznej i wymagająca od obywatela politycznego zaangażowania, a z drugiej strony jest to wizja liberalna, która akceptuje, a w niektórych wariantach nawet wymaga obywatela pasywnego. Szczególnie życzliwie Szczegóła odnosi się do argumentów Josepha Schumpetera na rzecz liberalnej i elitystycznej demokracji, natomiast od siebie namiętnie krytykuje „potoczno-dydaktyczną” teorię demokracji. Zarzuca jej, że uznaje „za nie wymagający dowodu fakt niezbędną aktywnego udziału obywateli w życiu politycznym” (s. 25). Otóż można dyskutować, jaki poziom zaangażowania obywateli jest niezbędny, aby demokracja trwała, ale niezbędność zaangażowania obywateli w tym ustroju rzeczywiście nie wymaga żadnego dowodu, bo rozstrzyga się to na mocy definicji demokracji (tak czy inaczej to *demos* jest źródłem władzy). Nawet u Schumpetera musi w końcu pojawić się ten głoszący (a więc aktywny) obywatel, rozstrzygający o tym, kto ma rządzić. Przy tej okazji nadmienię, że interpretacja koncepcji Schumpetera przedstawiona przez Szczegóła jest zbyt mało krytyczna. Autor nie wskazuje wewnętrznych sprzeczności jego teorii, na przykład skoro obywatele są całkowicie niekompetentni i „głupieją”, gdy mają odnosić się do spraw publicznych, to po co wyłaniać rządzących w drodze głosowania, lepiej losować z jakiejś puli. Wszak w demokracji ateńskiej i kilku miejskich republikach włoskich takie procedury praktykowano.

Widzę w tym rozdziale pewien schematyzm i istotne uproszczenia w odczycaniu tradycji antycznej. Oczywiście rozumiem, iż Autor nie mógł w detalach omawiać bardzo żywych sporów o wzorce obywatelstwa starożytności, prowadzonych od czasu Constanta, ale powinien przynajmniej zasygnalizować istnienie poważnych różnic między ateńskim a rzymskim wzorcem obywatelstwa. Zignorował istnienie tego drugiego, chociaż to właśnie w starożytnym Rzymie mógłby znaleźć istotne elementy późniejszego liberalnego modelu obywatelstwa. W doktrynie czy państwowej ideologii Rzymu, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, było to podkreślenie znaczenia prawa. „Czym jest bowiem państwo – czytamy u Cyncerona (1960: 51) – jeżeli nie opartym na prawie związku obywateli”. W praktyce rzymskiej republiki obywatel mógł

być pasywny i była cała mnogość obywatelskich statusów, aż po obywatelstwo zbiorowe. A obywatelstwo ekstensywne, szeroko nadawane, nie może się łączyć z oczekiwaniami intensywnej partycypacji. Obywatelstwo było dobrem zewnętrznym, zapewnianym i gwarantowanym przez państwo, i odnosiło się przede wszystkim do równej ochrony jednostek przez prawo, czego nie należy mylić z równością praw.

W rozdziale pierwszym jest sporo wywodów erudycyjnych i świeżych myśli. Szczegóło umiejętnie korzysta z inspiracji klasyków. Widać to chociażby w fragmencie o liberalnej koncepcji demokracji, w której jego zdaniem zawiera się – choć raczej *implicite* – pochwała politycznej bierności obywateli. Ale zarazem z dorobku przywołanych myślicieli można by zestawić cytaty uzasadniające tezę przeciwną. Nieco jednostronna też wydaje mi się rekonstrukcja liberalizmu w kontekście opozycji aktywność–bierność. Zabrakło podkreślenia, że liberalizm eksponuje podmiotowość obywateli i ich zdolność do obrony swojej wolności i praw, czyli to nie jest bierność, lecz stan rezerwy. Lud w rezerwie – używając określenia Margaret Canovan – winien przekształcać się w razie potrzeby w lud w działaniu. Podobnie z przedstawieniem republikanizmu – nie we wszystkich nurtach jest on tak aktywistyczny, jakby chciał Autor. Republikanizm bywa arystokratyczny i oczekuje, aby lud był posłuszny „nauczycielom”, którzy jako jedyni są zdolni rozpoznać dobro wspólne. W całości jednak rozdział pierwszy czyta się znakomicie i dobrze przedstawia klasyczne dylematy relacji między jednostką a wspólnotą polityczną.

Pomysł na rozdział drugi zatytułowany „Debata współczesna. Politologiczne konteksty problemu apatii politycznej” był podobny jak pomysł organizujący rozdział pierwszy. Autor przedstawił w nim relację jednostka–państwo jako praktyczny problem współczesnych demokracji przedstawicielskich. Wyeksponował zarazem dwoisty stosunek politologii do problemu apatii politycznej, wynikający z teoretyczno-ideologicznych wyborów badaczy. Słusznie Szczegóło eksponuje te związki, które owocują brakiem zgody wśród badaczy co do systemowych konsekwencji politycznej bierności. Twierdzi jednakże, iż w politologii dominuje akceptacja perspektywy liberalnej i pogodzenie się z biernością obywateli. Pisze: „Ich udział w – powtórzmy – konstytutywnej dla demokracji procedurze nie musi (i nie może) być powszechny. Dzieje się tak bez znaczącego, empirycznie uchwytne skutku dla efektywności działania instytucji jej systemu politycznego” (s. 108). Za chwilę wszakże, też akceptując, przywołuje argumenty na rzecz znaczenia frekwencji wyborczej, co sprawia wrażenie, jakby Autor nie dostrzegął, iż uwikłał się w sprzeczności. Jeżeli uczestnictwo wyborcze „służy – obiektywnie – legitymizacji porządku ustrojowego”, „stwarza możliwość wyrażenia swoich preferencji”, „stanowi

ważną i skuteczną formę poparcia – obywatelskiej lojalności” (s. 108), to co w demokracji ma większe znaczenie? Czy można mianem drugorzędnego określić problem legitymizacji ładu politycznego?

Autor może się wprawdzie osłonić, że to nie jest jego stanowisko, tylko stanowisko politologii. W pracy bowiem mieszają się cały czas „stanowiska politologii”, Autora oraz poszczególnych nurtów politologii. Jest to pułapka całej tej metaanalizy. Trudność oddzielenia, co właściwie twierdzi Autor o zjawisku bierności politycznej, a co jest sprawozdaniem z dokonań na tym polu filozofii politycznej, politologii i socjologii, pogłębia maniera posługiwania się formami bezosobowymi i stroną bierną. Czytelnik musi więc częstokroć domniemywać, jakie stanowisko zajmuje Autor pracy. Wysoka jest cena za tę fałszywą skromność. Oto przykład: „Mówiąc o schematyzmie wniosków płynących z badań wyborczych **miano na myśli** [wyr. – J.R.] jedno, raczej niekwestionowane w nich ustalenie” (s. 89). Kto miał na myśli: Autor, omówieni wcześniej badacze, jakiś inny konkretny badacz?

W rozdziale tym jest kilka poważnych błędów odnoszących się do opisu praktyki badawczej naukowców zajmujących się studiami nad wyborami. Przykładowo Szczegół stwierdza: „Wartość modeli poszukujących wzoru trwałych dyspozycji do głosowania zawodzi wobec faktu istnienia grupy wyborców sporadycznych, mobilizowanych (lub nie) przez towarzyszące danej elekcji okoliczności sytuacyjne” (s. 83). Nic nie zawodzi, gdyż modele regresji – bo o nie zapewne idzie Autorowi – mają probabilistyczny charakter i szacują wpływ każdej zmiennej niezależnej na zmienną zależną przy kontroli wpływu pozostałych zmiennych niezależnych wprowadzonych do modelu. „Poszukiwanie wzoru trwałych dyspozycji do głosowania” dawno zakończyło się sukcesem i w Polsce, i na świecie. Dodatkowo zwraca uwagę pewna nierównowaga w traktowaniu przez Autora stron sporu o systemowe konsekwencje bierności politycznej. Od republikanów (partycypacjonistów) domaga się on argumentów empirycznych, że demokracja coś traci z powodu niskiej partycypacji. Natomiast nie domaga się żadnego empirycznego dowodu od liberałów (elitystów), że wysoka partycypacja jest szkodliwa dla demokracji. Przywołany przez Szczegół wywód Samuela Huntingtona, w którym przewidywał „przeciążenie państwa” związane z wielką aktywizacją biernych wcześniej grup w Stanach Zjednoczonych pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku, również powinien zostać w pracy krytycznie skomentowany. Nie nastąpiło bowiem żadne przeciążenie Ameryki – państwo to pozostało „lekkie” w porównaniu z państwami europejskimi. Wołając o empiryczne dowody na rzecz funkcjonalności partycypacji (zwłaszcza wyborczej) wobec demokracji, Autor powinien też wykazać więcej zrozumienia dla trudności

operacjonalizacji zagadnienia, gdyż w grę wchodzi tutaj trudno mierzalne stany systemu politycznego, jak na przykład poziom jego legitymizacji czy jakość działania rządu.

Referując współczesną debatę na temat bierności politycznej, jej przyczyn i konsekwencji, Autor pominął kilka ważnych spraw. Zignorował w szczególności dyskusję o naturze postaw politycznych wywołaną słynnym artykułem Philipa Converse'a z 1964 roku (*The Nature of Belief Systems in Mass Publics*), oraz debatę o problemie wiedzy obywatelskiej i jej wpływu na zachowania wyborcze. Gdy idzie o Stany Zjednoczone, to klasyczne dla tej drugiej kwestii badania przeprowadzili Michael Delli Carpini i Scott Keeter (1993). Gdy idzie o Polskę, to stosowne badania przeprowadził Recenzent i jedna z ich konkluzji brzmi: „Różnice w wiedzy obywatelskiej między tymi, którzy uczestniczą w wyborach a tymi, którzy tego nie robią, są bardzo duże (...). Płynie stąd pewne pocieszenie, że aktywni wyborcy są jednak bardziej kompetentnymi obywatelami niż niegłosujący” (Raciborski 2011: 222). Lech Szczegóło powołuje się na tę moją pracę, ale w innych kontekstach.

Poważna dezinterpretacja zawarta w tym rozdziale dotyczy też perspektywy teoretycznej przyjętej przez Bernarda Berelsona, Paula Lazarsfelda i Williama McPhee w klasycznej pracy *Voting* (1954). Perspektywa ta, którą proponuję nazywać paradygmatem socjalno-strukturalnym, ma bardzo niewiele wspólnego w wyjaśnianiu zachowań wyborczych z teorią racjonalnego wyboru, a taką właśnie ścisłą więź Autor ustanowił w swej analizie (zwłaszcza s. 78–79, także rozdz. V). Wyjaśnię w kilku zdaniach, na czym to nieporozumienie polega. Teoria racjonalnego wyboru w każdym swoim wariacie przyjmuje założenie indywidualizmu (jest to zazwyczaj indywidualizm i ontologiczny, i metodologiczny). Jednostki głosują na podstawie własnych preferencji, które są trwałe, kompletne, przechodnie. Tymczasem najważniejsza konkluzja autorów *Voting* brzmiała, iż głosowanie, a także zainteresowanie kampanią wyborczą, jest doświadczeniem grupowym. Decyzje wyborcze mają kolektywny charakter w tym sensie, że ludzie głosują jako członkowie grup, do których przynależą (stąd olbrzymia zbieżność preferencji w rodzinach, małych grupach religijnych, kręgach przyjacielskich). Wyborcy indywidualnie nie kalkulują – u Lazarsfelda jest zupełnie inaczej niż w przypadku ekonomicznej teorii demokracji Anthony'ego Downs'a. Ponadto wyjaśnianie w kategoriach rachunku korzyści i kosztów, co czyni Autor, nie wystarcza, by nazywać taką procedurę teorią racjonalnego wyboru.

Interesujące i wykraczające poza sprawozdanie z lektur są rozważania zawarte w rozdziale trzecim: „Partycypacja w warunkach procesu demokratyzacji”. Szczegółę zajmuje w nim związek między partycypacją polityczną

obywateli a konsolidacją demokracji w krajach nowych demokracji. Autor eksponuje te badania, które sugerują związek negatywny: wysoka partycypacja mas nie sprzyja procesowi konsolidacji demokracji. Teza ta jest wybitnie kontrowersyjna, zwłaszcza jeśli wśród kryteriów konsolidacji umieścimy – rozsądne przecież – oczekiwanie, że obywatele dają wyraz akceptacji reguł demokratycznego ładu poprzez swoje zachowania, na przykład głosując lub uczestnicząc w pokojowych manifestacjach. Sprawa kryteriów konsolidacji demokracji nie została tutaj starannie przedyskutowana, ale nie czynię z tego istotnego zarzutu, albowiem wypełnienie tego postulatu groziłoby dyscyplinie wywodu w tym rozdziale.

Esencja recenzowanej książki znajduje się w rozdziałach ostatnich: czwartym i piątym, gdzie autor dokonuje rekonstrukcji stanowisk polskich badaczy w sporze o źródła pasywności obywatelskiej Polaków. Zadanie to wymagało odwołania się do ogólniejszych studiów nad transformacją ustrojową w Polsce i innych krajach pokomunistycznych. Wywód został zorganizowany wokół wyidealizowanej (w sensie Leszka Nowaka) opozycji dwóch stanowisk: a) bierność polityczna Polaków jest konsekwencją cech procesu systemowej transformacji; b) bierność polityczna Polaków jest postawą wytworzoną w toku długiego procesu historycznego, jest elementem dziedzictwa historycznego naszego społeczeństwa. To bardzo udana decyzja Autora, która ułatwiła zdyscyplinowanie wywodu i stworzenie względnie spójnej siatki pojęciowej służącej porównywaniu koncepcji/teorii odnoszących się do zjawiska bierności czy apatii politycznej. W przyszłości ten aparat pojęciowy może ułatwiać projektowanie badań empirycznych nad zjawiskiem apatii politycznej.

Po tej ogólnej ocenie muszę jednak zgłosić wiele wątpliwości co do trafności odczytania niektórych koncepcji, a także zasygnalizować istotne braki analizy. Lech Szczegółła, rekonstruując elementy dziedzictwa mogące odpowiadać za pasywność Polaków, praktycznie przemilcza XIX wiek, w którym to okresie niezwykle intensywnie formowały się w Europie postawy obywatelskie, a wśród mieszkańców ziem polskich – z wielorakich powodów, nie tylko braku państwowości – proces ten był ułomny. Również okres II RP nie został skonceptualizowany z punktu widzenia jego udziału w formowaniu wzorów kultury politycznej. Pomijam już sprawę dziedzictwa I RP, ale i ten czas był rozważany w literaturze z perspektywy jego konsekwencji dla współczesności (np. prace Witolda Kuli, koncept kultury folwarcznej przedstawiony przez socjologa Janusza Hryniewicza). Nie jest więc tak, aby nie było w literaturze historyczno-socjologiczno-politologicznej tezy o decydującym znaczeniu wskazanych okresów dla bierności politycznej Polaków.

Okres komunizmu zajmuje bardzo ważne miejsce w naukowych wyjaśnieniach obecnych postaw politycznych Polaków. Szczegółą fakt ten należycie wyeksponował, ale nie wszystkie ważne propozycje dotyczące hipotetycznych mechanizmów wpływu dziedzictwa komunistycznego na postawy i zachowania polityczne Polaków zostały dostrzeżone i skomentowane. Na przeszkodzie stanął brak w książce pytania o powody, dla których bierność polityczna Polaków, mierzona wskaźnikiem frekwencji wyborczej, jest najwyższa wśród wszystkich demokratycznych europejskich państw pokomunistycznych. A pytanie to stawiało wielu badaczy, między innymi Mikołaj Cześnik, Jerzy Wiatr, Radosław Markowski, Mirosława Grabowska, Jacek Raciborski. W punkcie wyjścia należało przedstawić te koncepcje, które wskazują na niejednorodność dziedzictwa komunistycznego. Najbardziej znana jest propozycja Herberta Kitschelta, który wyróżnia komunizm biurokratyczno-autorytarny, narodowo-akomodacyjny oraz patrymonialny i podkreśla, że te różne dziedzictwa wpływają na całą instytucjonalną infrastrukturę demokracji w krajach byłego bloku wschodniego (Kitschelt, Mansfeldova, Markowski, Tóka 1999). Kitschelt – autorytet światowej politologii – został całkowicie przemilczany przez Szczegółę. Zróżnicowania dziedzictwa komunistycznego obszernie omówił także Jerzy Wiatr w swojej książce *Europa pokomunistyczna* (2006). Szczegółą nie rozważył problemu, jak bardzo nieciągły był polski komunizm, w związku z czym w różnych fazach mógł formować odmienne dyspozycje. Do 1956 roku był to reżim mobilizacji o totalitarnym charakterze. Po 1956 roku przekształcił się w reżim autorytarny, który początkowo tolerował depolityzację mas, a później – w epoce Gierka i jeszcze bardziej Jaruzelskiego – wręcz ją promował. Pisało o tym bardzo wielu autorów, w szczególności Andrzej Walicki i Jadwiga Staniszkis.

Niezależnie od przedstawionych uwag krytycznych, trzeba odnotować, że Szczegółą jest jednym z pierwszych, który podjął próbę uporządkowania dyskusji o wpływie dziedzictwa PRL na postawy polityczne współczesnych Polaków i przy tym odniósł się do empirycznych badań tej kwestii. Grupa koncepcji podkreślających, że bierność polityczna jest konsekwencją cech strukturalnych naszego społeczeństwa oraz charakteru transformacji ekonomicznej i politycznej, została przedstawiona istotnie skromniej. Autor nie pokusił się też o bliższe zreferowanie wyników badań empirycznych nad różnymi przejawami apatii politycznej. Dość konsekwentnie utrzymał się na poziomie metaanalizy. Trudno mu z tego czynić zarzut, ale decyzja ta spowodowała, że z pracy niewiele dowiadujemy się o różnych manifestacjach zjawiska apatii politycznej.

Lech Szczegóła bardzo często w recenzowanej książce narzeka na brak spójnych teorii, złożonych z powiązanych ze sobą i zweryfikowanych twierdzeń na temat czy to zjawiska politycznej apatii w ogólności, czy też poszczególnych jej aspektów. Odnoszę wrażenie, że mimowolnie oddaje tym hołd pozytywistycznym postulatam uprawiania nauk społecznych i często proponuje język, który nie może być efektywnie wykorzystany w badaniu postaw obywateli wobec polityki. Idzie przede wszystkim o sytuacje, w których świat polityki i obywatelstwa opisujemy za pomocą instytucji prawnych (na przykład: „Obywatelem jest jednostka przynależna państwu” – jak Autor zechce weryfikować tę tezę, skoro nie ma tu żadnych hipotez, procedur ich empirycznej weryfikacji itp.) lub gdy przyjmujemy konstruktywistyczną perspektywę w wyjaśnianiu zjawisk życia społecznego. Inny przykład nieuzasadnionych oczekiwań Autora pod adresem socjologicznych koncepcji i schematów pojęciowych dotyczy typologii aktywni–bierni, o której napisał: „Jej analityczna przydatność zawodzi w odniesieniu do właściwości populacji obywateli obojętnych, indyferentnych, apolitycznych czy politycznie wyalienowanych. Ich zachowania rzadko przybierają postać spójnych i konsekwentnie realizowanych wzorów” (s. 235). Tylko że to nie jest argument za małą przydatnością tej opozycji: niespójność jest stałą cechą postaw i poglądów ludzi, nie tylko w sferze polityki, co udokumentowano w tysiącach studiów. Spodziewałbym się po doświadczonym przecież Autorze lepszego zrozumienia, na czym polega istota typologii.

Przekonują mnie za to końcowe propozycje Szczegóły dotyczące sposobu sprecyzowania pojęcia apatii politycznej jako pewnej odmiany bierności politycznej. Podzielałam również jego pogląd, że wielce obiecującą perspektywą badania tego zjawiska jest koncepcja kultury politycznej, chociaż nie jest to postulat nowy. Ma też sens analizowanie zjawiska apatii politycznej w kategoriach korzyści – kosztów – zasobów i szerokie rozumienie zarówno zasobów, jak i korzyści z partycypacji (w tym korzyści psychologicznych), ale powinowactwo analizy Szczegóły z teorią racjonalnego wyboru jest czysto semantyczne, tak jak już wcześniej sygnalizowałam.

Podsumowując, książka Lecha Szczegóły *Bierność obywateli* nie odkrywa nowych lądów, nie poszerza dotychczasowej wiedzy o społecznych determinantach pasywności politycznej, ale mimo to godna jest polecenia. Służy pogłębieniu samoświadomości teoretycznej politologów, socjologów, psychologów społecznych i może skłaniać ich do poszukiwania bardziej wnikliwej odpowiedzi na pytanie: po co demokracji powszechne polityczne zaangażowanie obywateli.

LITERATURA PRZYWOŁYWANA

- Berelson Bernard, Lazarsfeld Paul F., McPhee William N. (1954), *Voting. A Study of Opinion Formation in a Presidential Campaign*, Chicago: University of Chicago Press.
- Cyceron (1960), *Pisma filozoficzne*, t. 2: *O państwie. O prawach. O powinnościach. O cnotach*, tłum. Wiktor Kornatowski, Warszawa: PWN.
- Delli Carpini Michael, Keeter Scott (1993), *Measuring Political Knowledge. Putting First Things First*, „American Journal of Political Science”, t. 37, nr 4, s. 1179–1206.
- Kitschelt Herbert, Mansfeldova Zdenka, Markowski Radosław, Tóka Gábor (1999), *Post-Communist Party Systems. Competition, Representation, and Inter-party Cooperation*, Cambridge: Cambridge University Press.
- Raciborski Jacek (2011), *Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Wiatr Jerzy J. (2006), *Europa pokomunistyczna. Przemiany państw i społeczeństw po 1989 roku*, Warszawa: Scholar.

INFORMACJE DLA AUTORÓW PÓŁROCZNIKA: „STUDIA SOCJOLOGICZNO-POLITYCZNE. SERIA NOWA”

„Studia Socjologiczno-Polityczne. Seria Nowa” przyjmują do publikacji wyłącznie teksty oryginalne. Złożone teksty nie mogą jednocześnie być rozpatrywane pod kątem publikacji na łamach innych czasopism lub w ramach publikacji książkowych.

„Studia” będą publikowały także teksty w języku angielskim, jeśli zostaną napisane starannym językiem i przejdą procedurę kwalifikacyjną.

Artykuły zgłaszane do publikacji winny być nadsyłane w formie komputerowego wydruku na pocztowy adres Redakcji oraz pocztą elektroniczną (jako załączniki) na adres m.bielecki@is.uw.edu.pl. Artykuły i eseje recenzyjne powinny być opatrzone tytułami oraz posiadać abstrakt w języku polskim i angielskim (ok. 900 znaków) i kilka słów kluczowych. Tekstów nie zamówionych Redakcja nie zwraca.

Wymagania techniczne

Autorów prosimy o stosowanie się do następujących dyrektyw: format A4; czcionka Times New Roman 12; interlinia 1,5; wyrównanie do lewego marginesu, margines prawy 35 mm; paginacja w prawym dolnym rogu; numeracja stron ciągła; tytuł całości pogrubionymi literami i wyśrodkowany; pozostałe tytuły wyrównane do lewej, wyróżnione pogrubieniem. Akapity należy rozpoczynać od wcięcia.

Tabele odpowiednio ponumerowane i zatytułowane, wykresy kolejno ponumerowane i podpisane. Rysunki, mapy i wykresy mogą być wyłącznie czarno-białe. Tabele, mapy i rysunki należy dołączyć na końcu tekstu.

Tekstów nie należy podpisywać. Dane autora (imię i nazwisko, stopień i tytuł naukowy, afiliacja, telefon, adres pocztowy i elektroniczny) powinny być załączone – w celu zapewnienia anonimowości – w osobnym pliku.

Opiniowanie i kwalifikowanie tekstów do druku

1. Wraz z tekstem autor składa oświadczenie, że praca jest wyłącznym i oryginalnym dorobkiem autora(ów), że udział innych osób, które przyczyniły się do powstania tekstu, został odnotowany (np. w formie przypisu lub podziękowania za udostępnienie danych, opracowanie metody pomiaru, konsultację metodologiczną).
2. Jeśli do powstania tekstu przyczyniło się udzielone autorowi(om) wsparcie (stypendium autorskie, grant badawczy itp.), to autor zobowiązany jest podać w tekście źródła finansowania publikacji.
3. Każdy nadesłany tekst jest opiniowany przez dwóch recenzentów, z których jeden jest członkiem Rady Redakcyjnej lub Zespołu, a drugi recenzentem zewnętrznym.
4. Redakcja „Studiów Socjologiczno-Politycznych. Seria Nowa” przywiązuje dużą wagę do standardów rzetelności naukowej i respektowania zasad dobrych praktyk w nauce. W szczególności Redakcja będzie ujawniać ewentualne przypadki plagiatu.
5. Po zakwalifikowaniu tekstu do druku partner wydawniczy, tj. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, zawiera z Autorem umowę wydawniczą, w której udziela on nieodpłatnej licencji na rzecz Uniwersytetu Warszawskiego.

Rekomendowany format not bibliograficznych na końcu tekstu

- Szczepański Jan (1969), *Elementarne pojęcia socjologii*, Warszawa: PWN.
- Wejland Andrzej P. (1991), *Ukryte porównania*, „Studia Socjologiczne”, nr 1-2, s. 9–108.
- Kymlicka Will (1995), *Multicultural Citizenship. A Liberal Theory of Minority Rights*, Oxford–New York: Clarendon Press–Oxford University Press.
- Gutmann Amy, Thompson Dennis (2004), *Why Deliberative Democracy?*, Princeton, NJ–Oxford: Princeton University Press.
- Stokes Susan C. (1998), *Pathologies of deliberation*, w: Jon Elster (red.), *Deliberative Democracy*, Cambridge, UK–New York: Cambridge University Press.
- Shapiro Ian (2006), *Stan teorii demokracji*, tłum. Izabela Kisilowska, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Shklar Judith N. (1987), «*The Sources of Social Power: A History of Power from the Beginning to A.D. 1760*» by Michael Mann (recenzja), „The Journal of Interdisciplinary History”, t. 18, nr 2, s. 331–332.

Przy tym systemie not bibliograficznych odsyłacz w tekście ma następującą postać: (Szczepański 1969: 31) lub: jak pisze Jan Szczepański (1969: 31). Jeśli w tekście są przypisy, powinny być nieliczne, krótkie i umieszczone na końcu, przed Literaturą przywoływaną.